



# SFINKS

Zeszyt 28.

KWIECIEŃ, 1910. NR 4

Cena zeszytu rb. 1.

## Treść Zeszytu IV (28), Kwiecień 1910 r.

	Str.
Dr. ADOLF CHYBIŃSKI . . . . .	Fryderyk Chopin . . . . . 1
JULJA KREZYŃSKA . . . . .	Luciferus, poemat . . . . . 11
WALERY GOSTOMSKI . . . . .	W kaplicy Sykstyńskiej (c. d.) . . 27
F. ARNSTAJNOWA . . . . .	Z cyklu „Odloty“ . . . . . 43
WACŁAW SIEROSZEWSKI . . . . .	Jak liść jesienny, powieść (c. d.) 45
JULJA DICKSTEINÓWNA . . . . .	Od mitów ku wierzeniom . . . . 69
JAN LEMAŃSKI . . . . .	Kapitalista . . . . . 83
LEOPOLD MÉYET . . . . .	Zapomniana Dedykacja . . . . . 106
WACŁAW GRUBIŃSKI . . . . .	Balzac o małżeństwie . . . . . 111
MARJAN WAWRZENIECKI . . . . .	Nieco o nudnej nauce archeologii przehistorycznej . . . . . 121
WŁ. BUKOWIŃSKI . . . . .	Wrażenia Teatralne . . . . . 127
IGNACY MATUSZEWSKI . . . . .	Jeszcze o „Laury“ Wyspiańskiego 138

### PRZEGLĄDY I SPRAWOZDANIA:

JÓZEF DĄBROWSKI . . . . .	Przyczyny upadku Polski . . . 142
A. STRZELECKI . . . . .	Epos. Najznakomitsze poematy epic- kie wszystkich krajów i narodów w streszczeniach i wyciągach . . 149
	Przeгляд prasy . . . . . 153
	Nowe książki . . . . . 157
	Ogłoszenia.

### DODATKI ARTYSTYCZNE:

Portret CHOPINA.  
Rysunki i Winiety MARJANA WAWRZENIECKIEGO.  
Inicjały EUGIENJI MEJROWEJ.  
Na okładce: rysunek M. WAWRZENIECKIEGO.

### SPROSTOWANIE.

W poemacie „Luciferus“.

Na str. 12, wiersz 9 powinno być: *Dosięgła drżących.*

Na str. 13, wiersz 8 powinno być: *Lalko złocista.*

Na str. 13, wiersz 4 powinno być: *Ziemi, w pierś której otchlan-  
ne tchnął: wierzę —*

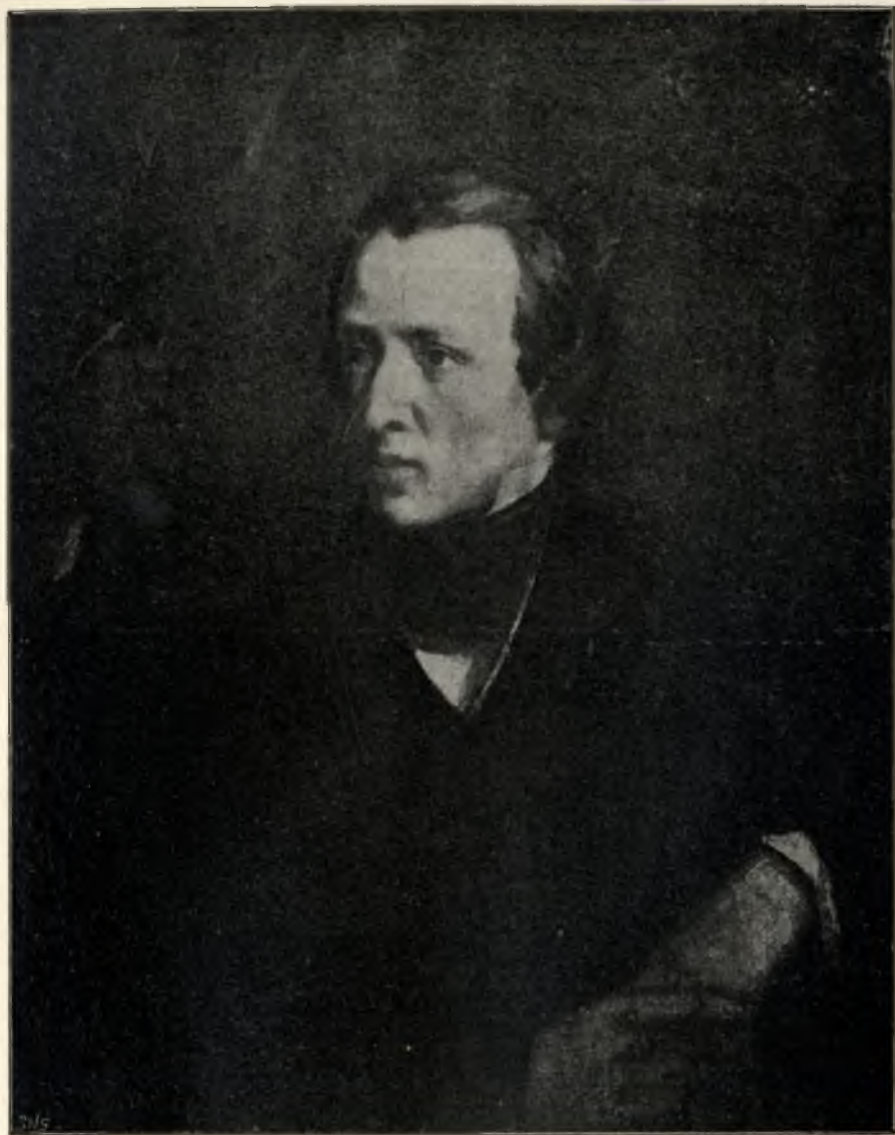
Papier z fabryki C. A. Moesa.

Klisze wykonano w zakładzie fotochemigraficznym Wierzbickiego i S-ki.

193

5 4 4 1 1 2

Bibl. Publ. m. st. W-wy



*Fryderyk Chopin.*



Dr. ADOLF CHYBIŃSKI.

## FRYDERYK CHOPIN.



szystkie jubileasze artystyczne odznaczają się tem, że jest w nich coś z fałszywej nuty, coś „ludzkiego, nazbyt ludzkiego“. Robią wrażenie usiłowania odświeżenia tego, co świe-

żem nie jest lub jest niem względnie. Wskazuje się zazwyczaj na najlepsze dzieła dostojnika sztuki, twierdzi się w zapale, iż sztuka jego nie straciła na swej „wiecznej świeżości“, dodając: „jakkolwiek“, „pomimo“, „choć“... i t. d. Zastrzeżeń nigdy nie braknie... Minie słomiany zapal jubileuszowy, i znowu świat chce wiedzieć tylko o najlepszych dziełach jubilat, któremu nie pomogą rozprawy uczonych w piśmie, uczone prace specjalistów, widzących wszystko przez szkła optymizmu naukowego i uwielbienia, do jakiego nie posuwają się nigdy nawet

najbardziej obdarzeni temperamentem artyści. Jubileusz chopinowski był inny... Autorowie licznych artykułów i prac daremnie szukali dzieł słabszych, któreby im posłużyły w celu zrobienia owych „jakkolwiek“ i „pomimo“, daremnie wysilali się na spokojne jubileuszowe ponowne „mowy pogrzebowe“, a im bardziej zagłębiali się w dzieła Mistrza, tem większym stawał się ich entazjizm—i entazjizmem tehną ich ekspektoracje. Stwierdzili, że Chopin jest nie tylko zupełnie świeży, ale i—jak wyraził się jeden z muzycznych publicystów niemieckich — „verdammt modern“; zatrzymali się przy stosunku Chopina do dzisiejszej muzyki i ze zdziwieniem zauważyli to, czego przedtem ujrzeć nie zdołali — t. j. że „Chopin jest ojcem dzisiejszej muzyki“, który w małych formach wypowiedział i zdziałał rzeczy wielkie. Był to olbrzym, stojący na granicy dwóch wielkich epok, wywierający wpływy na losy dzisiejszej muzyki i podobny do góry, która im większa i wyższa, tem dłuższy za sobą cień rzuca. A w cieniu indywidualności Chopina skryły się inne wielkie indywidualne jednostki. Chciano szukać jakiejś gienetycznej linii rozwojowej w twórczości Mistrza—daremnie! Chopin kilkunastoletni był już gotów; przyszedł na świat, jako artysta-magnat, który nie potrzebował „dorabiać się“ i żyć w wieku dojrzałym z kapitałów kunszta, zebranych przez mozolną i wytrwałą pracę takiego Haydna lub Mendelsohna, a nawet Beethovena. Chopin był wczas dojrzałym, życie zaś swe obrócił na niezawodzące go nigdy tworzenie arcydzieł, z których jedno nie było podobne do drugiego. Chopin posiadał bogactwa gotowe; nie udoskonalał, nie przemieniał, nie poprawiał — mógł szczyścić się tem, że wysiłku i mozola rozumowego nie znał. Mazurek, wpisany do „Stammbuechu“ pięknej hrabiny lub zakochanej uczenicy w chwili, gdy nie spodziewał się, iż wypełni tę „vornehme Pflicht“, przyniosłoby sławę nie o wiele mniej-

szym od niego; najślabszy mazurek, najślabszy wale, zapewniłyby trwałość sławy kompozytorowi, któryby szczyt się być ich autorem i nie więcej nie napisał. Chopinowi nie sprawiała żadnej trudności inwencja; siłą jej przewyższył poprzedników i następców, a jeżeli jego umysł był w tym kierunku niekiedy wyteżony, to chyba tylko celem nadania raz pomyślanej idei jeszcze silniejszego i wymowniejszego wyrazu. To czyni go podobnym do Beethovena. Nie znajdziemy w jego dziełach prawie wcale dwóch pomysłów melodyjnych, podobnych do siebie—chyba to, że lubi zaczynać swe tematy od dominantowych harmonji. Ta bezpośredniość inwencji, wolnej od wszelkiej wyrozumowanej groteski melodyjnej lińji, wolnej od dążności do „podobania się“, inwencji, pełnej rasowej piękności i wyrafinowanej szlachetności, a mimo to naturalnej, musiała mieć nieodzowne następstwa. To, co jest szczere, naturalne, impulsywne i wyjęte jakby z dna duszy, wolnej — jak wszystko u Chopina—od konwencjonalnych obłonek, nie mogło być ujęte w formy, których budowa wewnętrzna jest oparta na obmyślanych z góry stosunkach części do siebie i do całości, na prawach, przewidujących na-przód pojawienie się tematu lub jego części w tem a nie innem miejscu. Forma naturalna, forma, będąca niezem innym, jak tylko skryzalizowanym zewnętrznym symbolem uczucia lub szeregu uczuć i pokrewnych psychicznych fenomenów, logicznych w swym procesie, lecz nie znanych w swych granicach — otóż ta forma nie mogła pogodzić się z tem, co było do czasów Chopina tradycją wieków. To co jest spontanicznem i naturalnem, płynącym jak lawa z krateru, nie mogło być pomieszczone w kształcie klasycznej sonaty, formującej stylowo materiał surowy. Chopin stał się rewolucjonistą, jakiego muzyka nigdy nie wydała; nie miał bowiem żadnej tradycji, jakkolwiek ta burza wisiała w powietrzu, gdy Beethoven bez reszty

rozwiązał problemat klasyczny i gdy sam już czuł, że pójść dalej—znaczy wyswobodzić muzykę. Żył za krótko... Chopin stał się jednym z najklasyczeńszych przykładów, jak idea tworzy sobie sama formę dla siebie, nie naodwrot. Dlatego nie przyjął niczego od swych poprzedników. Sam stworzył jednak formy dla siebie i nie dla swych następców: Chopina naśladować w formie, równałoby się naśladowaniu jego idei, te zaś są tak wyłączną jego własnością, iż naśladownictwo można od razu rozpoznać. Chopin nie burzył bynajmniej klasycznych kanonów; stał na ubożu i to dało mu siłę. Nie burzył, ale wznosił gmach, w którym nie było ani jednego budulca nieindywidualnego. Gmach ten nie był tytanicznym, jak twórczość Beethovena; ale był odrębnym. Z chwilą, gdy Chopin nie przyłączył się do łańcucha genezy, w którym pierwsze ogniwa były klasyczne, oznaczało to niesolidaryzowanie się, oznaczało bunt. Nie stał jednak w odosobnieniu. Muzyka wymagała gruntownej przemiany wartości. Przyjaciel Chopina, Hektor Berlioz, zburzył dotychczasowy schemat instrumentacji. Wykazał, ile skarbów nieznanych i nie przeczuwanych leży w instrumencie, zwanym orkiestrą. Chopin wykazał, jak niewyzyskanym instrumentem był fortepian. Przez ich epokowe odkrycia otrzymała muzyka olbrzymi słownik nowych wyrażeń, które były w stanie wyrazić wszystko; wyrażenia te były przewidywane i przeczuwane, ale ich nie znaleziono przedtem. Znano wiele środków na wypowiedzenie jednego i tego samego uczucia, jednej i tej samej idei, ale nie znano słownika, mieszającego wyrażenia wszystkich uczuć, wszystkich nastrojów, wszystkich wrażeń. Beethoven, jak drugi Michał Anioł, wyolbrzymiał do gigantycznych kształtów swe idee i nadawał im tysięczne postacie. Chopin posiadał olbrzymie bogactwo tych idei, z których przeważna ilość nie była przedtem znana. Posiadał również bezprzykładną



treściwość. Co inni wyrażali w długich sonatach i symfoniach, on wyraził treściwiej, plastyczniej, głębiej — a silniej. Jedno preludjum Chopina jest w stanie nakryć n. p. wszystkie symfonie Mendelsohna lub Schumanna. Koncentracja treści, i wyrazu, i formy u Chopina jest czemś bezprzykładnem w dziejach muzyki. Tylko uwielbiany przez Chopina Jan Sebastjan Bach mógł w małych formach dać tyle treści, czasem także Mozart. Zdumiewającą jest ta rozmaitość wyrazu w dziełach naszego Mistrza. Zbytecznem byłoby wymieniać, co Chopin wyraził — gdyż był w stanie znaleźć najplastyczniejszy wyraz na wszystko, co dusza w swych głębiach mieści. Również zbytecznem jest wskazywać na subtelne różnice w wypowiedzianiu pokrewnych uczuć i nastrojów, którym jest wspólne ogólne tło psychiczne. Na jedno wszakże nie zwrócono należytej uwagi: mianowicie na impresjonizm Chopina, polegający na szybkim, lecz nieabłaganie logicznem przerzucaniu się z jednego nastroju w drugi. Pomocną była Chopinowi fenomenalna czułość modulacji harmonicznych, które wzbogacił z chwilą, gdy zrozumiał, jak wielkim ciężarem dla swobodnego rozwoju muzyki był gien-rałbas. Ucho współczesnych, związane z cyfrowanym schematem, nie mogło się przyzwyczaić do epokowych nowatorstw Chopina — epokowych, gdyż na nich spoczął olbrzymi rozwój pojęć harmonicznych od sonaty e-moll Chopina do „Elektry“ Straussa i dzieł M. Regera, oraz Cl. Debussy'ego. Pod tym względem jest Chopin ojcem nowożytnej muzyki. Z chwilą, gdy rozumiano Wagnera i jego szkołę, rozumiano także Chopina i przekonano się, że jeszcze nie zdążył romantyzm muzyczny odbyć ostatecznej fazy rozwoju (Schumann, Spohr, Mendelssohn), a już neoromantyczny kierunek był w utworach Chopina całkowicie skryształizowany. Stanowisko naszego Mistrza w nowożytnej muzyce przypomina włoskiego mistrza Klaudju-

sza Monteverdiego (I poł. XVII wieku), który jednym potężnym uderzeniem swej genialnej twórczości otworzył nieznane szlaki ówczesnej muzyce. Obydwa olbrzymom ducha przypadły w udziale napaści ciasnych i złośliwych a moenych w piórze zoilów.

Chopin jest także pod innym względem heroldem postępu muzycznego i podstawą nowożytnej muzyki. Wspomnieliśmy już o jego zerwaniu z tradycyjnymi formami. Nawet sonata nie była dla niego formą nietykalną. Zmienił ją w budowie—pozostawił tylko charakter i następstwo części składowych. Ale *formę wolną* uświęcił tehniem swego genialnego. Od Chopina rozpoczął się ten proces w całej muzyce. Liszt przejął odrazu styl Chopina; jego „Apparitions“ dowodzą, iż był pierwszym chopinistą. Wolną formę przeniósł także na muzykę symfoniczną, tworząc t. zw. poematy symfoniczne. Jedyne prawem formalnym była logika wewnętrzna, logiczne snucie myśli i jasne i naturalne przedstawienie stosunku części do całości. Forma wolna jest doskonała, jeśli utwór nie zawiera miejsc, których stosunek do części poprzedzających lub następujących nie tłumaczyłby się jasno sam przez się. Dzieła Chopina są pod tym względem klasycznie doskonałymi.—Również Wagner stał się w tym kierunku reformatorem. Schemat dawnej opery zastąpił dramatem muzycznym, w którym wewnętrzna akcja psychologiczna tworzy formę, nie zaś naodwrot. Także na polu pieśni przeprowadzono w tym duchu reformę. Zamiast pierwotnego schematu pieśni klasycznej wprowadzono wolną formę, zwaną „durchkomponiertes Lied“. Już u Schuberta znajdziemy ślady tej reformy, którą ugruntował Liszt, rozwinął zaś i ostatecznie ustalił Hugo Wolff. Dzisiejsza twórczość dowodzi trwałości tych reform, które w swym zakresie zapoczątkował Fryderyk Chopin.

Muzyka Chopina jest muzyką *wirtuoza*, który opano-

wał swój instrument w celach twórczych, nie bacząc na to, czy jego utwory będą łatwe, czy trudne do wykonania. Są wszystkie bardzo trudne. Zauważyć nam należy, że i pod tym względem Chopin stanowi epokę. Chciejmy poznać jej dzieje i zacznijmy od czasów dzisiejszych! Powszechnie przyjętym epitetem, jakim mniej przenikliwi krytycy obdarzają współczesną muzykę symfoniczną, jest: „wirtuozostwo instrumentacji“. Poczytuje się niemal za błąd, a conajmniej za jednostronność, jeśli kompozytor wykazuje szczególnie wybitne opanowanie instrumentacji, która od prymitywnych prób rozwinęła się w miarę odkrywania własności instrumentów do potężnego zespołu, drgającego tysiącami barwami i zapowiadającego jeszcze dalszy rozwój. Porównując dzisiejszą orkiestrę z orkiestrą Bacha lub Händla, przyznamy jej tę samą wyższość, jakiej nie odmówimy Bachowi i Händlowi w porównaniu z Gabrielim lub Monteverdim. Tylko ciasne umysły mogą nie zrozumieć kardynalnego prawa postępu i rozwoju. Celem osiągnięcia coraz świetniejszego kolorytu i coraz bardziej wyrafinowanych i zróżniczkowanych środków wyrazu zwiększyła się trudność techniczna pojedynczych instrumentów. Klasycznym przykładem są nawet dzieła jednego i tego samego kompozytora. I tak np. Beethoven, który ciągle stopniował ekspresyjną zdolność muzyki, potęgował stale trudność techniczną orkiestry. Porównajmy zadanie techniczne waltorni w pierwszej, szóstej i dziewiątej symfonji, a zrozumiemy konieczność jego postępowania. Wirtuozostwo instrumentalne w muzyce XIX stulecia jest niezaprzeczone. Małe porównanie niechaj posłuży dla zrozumienia tej kwestji: porównajmy „instrumentację“ poezji Mickiewicza i Słowackiego — a przyznamy temu ostatniemu stanowczą wyższość. Chopin, posługujący się wirtuozowską fakturą, nie miał zamiaru czynienia koncesji na rzecz wirtuozostwa, jako takiego; potęgując tru-

dnosci techniczne, czynił to litylko celem uplastycznienia wyrazu muzycznego. Skomplikowane i wyrafinowane stany psychiczne wymagały bardziej złożonych kombinacji w rytmie, rysunku melodji, w uderzeniu ręki, w rozróżnianiu brzmienia jednego i tego samego tonu i t. d. Wirtuozowską w porównaniu z poprzednikami i bardziej skomplikowaną jest jego czysto kompozytorska technika. Bogactwo i różnorodność idei wymaga bogatszych harmonji, które komplikowały się w miarę subtelniejszych odcieni tego, co wyrazić musiał. Chopin jest najdoskonalszem zespoleniem treści, formy i środków technicznych, które zawsze służą myśli, nigdy sobie samym. Co więcej — twórczość Chopina może być tylko wtedy zupełnie zrozumiałą, jeśli zrozumie się techniczne środki gry wirtuozowskiej. Te groteskowe pozornie biegniki i pasaże, ta olśniewająca blaskiem pomysłów koloratura instrumentalna, te pojedyncze i podwójne tryle — wszystko to nie jest efektem dla efektu. Najwyczejniejszy chromatyczny biegnik posiada różne znaczenie w różnych utworach Chopina: raz brzmi, jak swawolny śmiech, innym razem, jak rozszalały poświst wichru; czasem wyraża jakby skargę lub westchnienie omdłałe. Jakżeż wielką bierze na siebie odpowiedzialność wykonawca jego dzieł! O żadnym kompozytorze nie można powiedzieć w tym stopniu, co o Chopinie, że im większa jest *dojrzałość* w opanowaniu *najsubtelniejszych* wirtuozowskich środków, tem bliższe jest rzeczywistości zrozumienie Chopina. Z drugiej jednak strony śmiesznem jest twierdzenie, że Chopina mogą grać dobrze i nie-wirtuozowie, jeśli go „czują“. „Pełna temperamentu“ gra amatorów może być nawet bardzo interesującą; w istocie więzi ona zawsze uwagę bez względu na to, czy grany utwór jest rozumiany, lub nie. Z drugiej jednak strony niewielu pianistów zdaje sobie sprawę z tego, na czem polega wykonywanie Chopina, którego

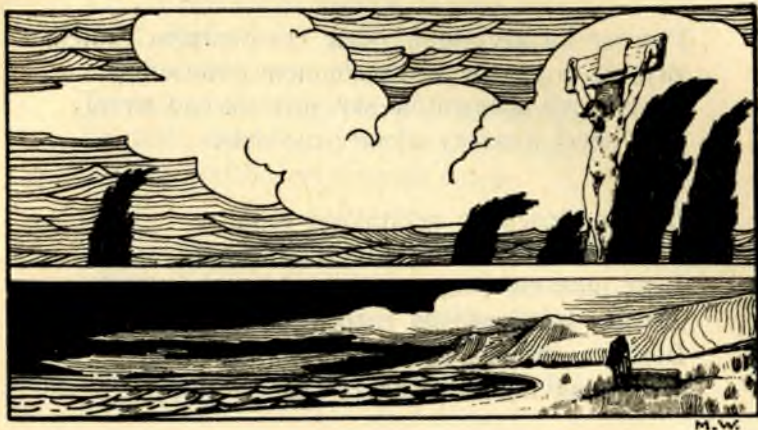
działa wywierają wrażenie same przez się; kwestją jednak jest, czy to wrażenie odpowiada temu, które twórca miał na myśli. Istnieje pewna kategoria pianistów, obdarzonych silnym temperamentem i niezaprzeczoną intuicją. Intuicja pozwala im istotnie wyczuć wiele tajemnych właściwości chopinowskiej interpretacji. Temperament jednakże, który zawsze idzie w parze z chęcią efekciarstwa, powoduje hipertrofię tempa, nierówność i niedbalstwo w cyzelowaniu szczegółów, których Chopin nie byłby cyzelował, gdyby były zbyt liczne. Wstrętne gwałcenie sztuki Chopina przez taki nadmiar rubata (swobodnej interpretacji) wywołuje równy niesmak, jak wykonywanie jego dzieł przez „cudownych smarkaczy“, którzy... hm! „rozumieją“ np. scherza lub sonaty!... W takich razach i Chopin i... Bach stają się popisowemi paleówkami, dającymi „panem“ jednym, a „circenses“ drugim. Czy sztuka Chopina, pełna namiętnej tęsknoty i rozpacz, erotyzmu i djonizyjskiej rozkoszy, może być zrozumiała dla nich?

Że *harmonije* Chopina stały się podwaliną pojęć harmonicznych w muzyce drugiej połowy XIX wieku, to podnoszono już wielokrotnie. Nie zauważono jednak, iż pewne dążenia, właściwe dzisiejszej muzyce i zdążające ku uwolnieniu muzyki z pęt tonalności, znajdziemy u Chopina. Pojawiają się one sporadycznie, w małych rozmiarach lub jako konsekwentne przeprowadzenia (n. p. w ostatniej części sonaty b-moll). I to również jest ostrzeżeniem, iż a priori nie można potępiać tych prądów, zwłaszcza wtedy, gdy objawiają się w talencie wielkim i świadomym swych celów.

*Chopin, jako typ twórczego gienjusz, jest czemś niedościgłym, jako jednolitość szczególnych darów, nierozzerwalnie z sobą skoordynowanych. Jemu jednemu można najmniej uczynić zarzutów. Są więksi od niego, a jednak*

posiadają więcej nierówności. Dzieje całej muzyki wskazują na fakt, że zazwyczaj z wielkiej masy dzieł jednego mistrza, pozostaje stosunkowo niewiele trwałych. U Chopina przeciwnie—i to stawia go w jednym szeregu z Bachem, Beethovenem i Wagnerem. U jednych mistrzów dominuje jedna lub dwie zalety ponad innymi; a Chopina panuje najzupełniejsza harmonja w wielkości darów.





JULJA KRECZYŃSKA.

## LUCIFERUS.

Poemat, odznaczony na konkursie poetyckim „SFINKSA“ imienia JULJUSZA SŁOWACKIEGO.

### I.

Słońce konało we krwi. Pieśń szaleńczą  
Wichry mu, tańcząc, wyły na żegnanie:  
Szyd był w tej pieśni, ból i urąganie, —  
Bunt, jakim nocą cele więzień jęczą.  
Lotne im ciała spazm rozpaczy prężył  
W krzyku okropnym: „Słońce mrok zwyciężył!”

Wtem — jak psy, pana poskromione bieżem,  
Zamilkły wichry i przyległy dołem,

Patrząc ku szczytom, gdzie On dumnym czołem  
Błyskał w płomieniu rzeźbionem obliczem,  
Z czarnych djamentów skrzydeł miecejące strzały  
W wyjącej tłuszczy wieniec oszalały.

Do gór strachlate przytulając łona,  
Trwały w grobowem słów oczekiwania.  
Lecz głos nie rozdarł ciszy. W łun świtania  
Żrenicy jego gwiazda roziskrzona  
Dotarła drżącej, strzał przeszła grotem,  
W otchłań mileżącej grozy waląc młotem.

Został sam. Chłonał oczyma pożogę,  
Co krwią śmiertelnej była słońca rany —  
Zdał się w hymn duszy własnej zastachany,  
Z której wypuścił gołębicę - trwogę,  
A w krąg nadziei szmaragdowych liści  
Osadził sępa czarnej nienawiści.

I nieruchomy — podobien kolumnie —  
Stał, nad mogiłą słońca wzniośszy głowę.  
Usta — jak cięcie miecza purpurowe —  
Usta, milczeniem zaciśnięte dumnie,  
Śpiewały, krwawe, hymn modlitwy cichy,  
Co radość zemsty sączy w dusz kielichy:

„Bądź pochwalony — strzałami przebity  
Mroku — w codziennym pokonany boju!  
Rozpaczą walki w bezowocnym znoju!  
Krwii tej rabinem, którą zmywasz szezycy!  
Bądź pochwalony radością sług noey  
I majestatem królewskiej niemocy! —



Ty, co oblicze w ludzkie rzeźbisz bogi,  
 Bądź pochwalony, promienisty panie!  
 Skąpcze, płynący na skarbów rydwanie!  
 Pomnij, o światły, żeśmy sobie wrogie,  
 Że, jeśli moc się za którym przysięże,  
 To bez nadziei przeciwnik połąże.

Czoło twe blednie pod klątw huraganem,  
 Lalka złocista, zdobiona wawrzynem!...  
 To — ja, którego zwano twoim synem,  
 Śpiewam twą zgubę tryumfu peanem —  
 I wszystkie twory wtór podadzą pieśni,  
 Gdy cud miłości mej się ucieleśni.

Z twojego raja wydarłem jedyną  
 Podporę jego — najcudniejsze wiano  
 Twojej potęgi — Prawdę niepoznaną,  
 Przy której żrenie blasku słońca giną.  
 Dziś władam tajnią mojej twej i sławy,  
 A ty u nóg mych — bezbronny trup krwawy!

Własne cię twory w krąg swej woli chwycą,  
 Czyniąc dla stóp swych wydeptaną drogą, —  
 To, co ich wczoraj napełniało trwogą,  
 Jutro zwycięską zmiażdżą rękawicą,  
 I ognie boskich weieleń twych zaleją  
 Huraganową swych żądań nadzieją!...

Przyciecht — — gdy nagle zapadły w głębiny  
 Trup słońca błysnął różanym majakiem  
 Na firmamencie — i upiornym znakiem  
 Sztywniał w modrocie, kształt rysując siny —  
 I swą gasnącą mocą drwił: „Szalony! —  
 Sto grodów, wieżyc, huf nieprzeliczony

Świateł za sobą mam! Ty przeciw — jeden...“  
 — „Przyszłości za mną pokoleń miliony —  
 Zwalone bogi, i wiary, i trony,  
 I snów miłości rozkwiecony eden —  
 Ból szczęścia, prawdy zbudzony spojrzeniem...“  
 Lecz siny majak już się rozwiął tchnieniem

I, w chmur się waląc skłębionych odmęty,  
 Liljową barwą kształt niepewny mienił,  
 Zahaczał, mgłami mroku się zapienił —  
 Tytan światłości jak ktoś zadrżał ścięty,  
 Raz jeszcze, martwy, ogarnął swe leństwo —  
 — „Kłam!“ — ryknął gromem: wróżbę czy przekleń-  
 [stwo.

Padł w otchłań. Ciemność welonem pokryła  
 Błękit i szczyty, przepaście, doliny.  
 Noc swe widmowe rozwarła krainy,  
 Baśń złud się wokół roztacza przemiła —  
 I wszystko w sennym omdlało uścisku — —  
 Tylko On jeden czuwał na urwisku.

Codzień gościńcem srebrnym drogi mlecznej  
 Wysyłał serce na tęsknot goniłwy,  
 I ukochania najświętsze modlitwy  
 Śpiewał na modrych strunach harfy wietrznej,  
 I, ku dolinom ziemi schylon twarzą,  
 Był jak szaleńcy, co sny szczęścia marzą.

Śnił... że od strony, gdzie zbóż płoną krasy,  
 Gdzie las jesieni żarzy się nalotem,  
 Ujrzy Ją, panią swych damań, z powrotem  
 Na przedzie ludzkiej rozmodlonej masy,  
 I witał chwilę, kiedy całej ziemi  
 Dusza w jej źrenic blasku się oniemi —

Ziemi, dla której Ją przyniósł w ofierze,  
 I mękę strasznej zapalił rozłąki,  
 Krwawymi kwiaty zasiał serca łąki, —  
 Ziemi, w pierś której otchłanną tchnął wiedzę —  
 Aby jej szczęściem móc zwyciężyć słońce!...  
 Wtem do stóp wichry przypadły mu — gońce.

I cichym jękiem spłynęły ich słowa:  
 — „Szyd! Kłamstwo! — Cierpi! — Ocal Ją! Zhań-  
 Gdzie w bohatera piersi dama kona, | biona!  
 Kędy drży mędrów nad szklanicą głowa —  
 Stoi, palona wstydem, bez szat, naga, —  
 Piękna rozpaczą o litość ich błaga! —

O litość — słyszysz?! — błaga ona — płacze!...“  
 — „Przecz nie dławicie się słów waszych brzmie-  
 Gdy ją zhańbili, ją, z Boga wejrzeniem?!.. | niem,  
 Przecz-że mi skargi jęczycie puchacze,  
 Gdy jak wszeteczną do uciech ją wlekli  
 I cud jej ciała orgją spojrzeń siekli?!...“

Szaleńczym głosem w mrok posepny ryknął —  
 Porwał się, groźny jak orkan — i nagle  
 Krepy swych skrzydeł roztoczył, jak żagle,  
 W lot się wyprężył — runął w dół — i zniknął.

.....  
 .....

Gwiazdy już lica z mgieł obmyły senne,  
 Gdy postać jego szła przez mrok z powrotem,  
 Cała warkoczy osypana złotem,  
 I w blaski cała przetlona promienne  
 Onej miłości, której rzeka złota  
 Łódź tęsknot wiedzie w niepamięci wrota.

Jak struna, z harfy niebiańskiej zerwana,  
 W piór jego czarnych miękkim opowiciu —  
 Szczęsny sen dziecka, wrócon starca życia —  
 W bladym uśmiechu jutrzennego rana  
 Spoczęła Prawda, którą wydarł ziemi —  
 Światło pomiędzy światy niebiańskimi.

Wybladłe bólem kwiaty jej oblicza  
 Blaskami mienił ust swoich pieszczotą — —  
 Dwie ich postaci, błyskawicą złotą  
 Pragnień złączone, noc roztajemnicza, —  
 W otchłannym mroku w dziwne kształty mieni,  
 Utkane z woni, dźwięków i promieni.

I pośród mgławic w lutnię z antracytu  
 Rozpieśnia Jego, — na którą Jej ciało  
 Strunami lilji naciągnięte drżało,  
 Owiane tchnieniem ciemnego błękitu...

. . . . .  
 . . . . .

Na śmigłym szczycie lodowej iglicy  
 Wzniósł tam z kryształów, dobytých z gór łona.  
 W nim, jak rybitwa, snuła uwięziona  
 Dni dumań w białym blasku tajemnicy.  
 On jeno sree, zawodem rozdarte,  
 Postawił przy niej sprawujące wartę.

On tylko wiedział — i patrzył w otchłanie,  
 Pod złotym łukiem brwi jej grozą czarne —  
 I znicze tęsknot zapalał ofiarne,  
 Gaszone w boskiej dumy oceanie.  
 Ból szczęścia karmią był mu od tej chwili,  
 Gdy Prawdę ludzie na ziemi wzgardzili.

Majaki tęcz, rzućane w przyszłość, dawne —  
 Ku ludziom zwrócił ostrzem nienawiści.  
 Każdą myśl łamał, zanim snem się ziści —  
 W szyd bohaterstwa zamieniając sławne.  
 Śmiałkom, co wiarą dwoili pawężę,  
 Zwątpienia jadem przytępiat orężę.

Tak lata długie szły, wieki — by chwile  
 Nicuchwytnego, sennego widziadła.  
 Myśl, która gromem z za chmur się wykradła,  
 U nóg mu próchnem padała w bezsile.  
 On tylko wiedział — stojący na straży  
 Tej, co los światów w dłoniach swoich waży.

II.

Przez mgły, przez noc, szatańskim grzmiącą śmiechem,  
 Gnając rumaka burzy dzikim świstem,  
 Pędził ku szczytom z żądz hasłem ognistem  
 Potomek królów. Lotosu oddechem  
 I klehd odwiecznych piastowany dłonią,  
 Serce tajemnic usidlił pogonią.

Gwiezdną tęsknicą zbudzony z łożnicy,  
 Gdzie Uszas twarzą rozkoszy nie zgania,  
 Jeno rozłącza oczyma świtania  
 Wizję, z całunków wskrzese błyskawicy, —  
 Gdzie Saraswati głosy łabędziemi  
 Rozdźwięcza serca w błękity na ziemi...

Zdarł płaszcz, utkany tkliwych spojrzeń baśnią,  
Duch swój obnażył prostotą poczęcia  
I, wzięwszy w niego praboskie zaklęcia,  
Stanął jak twórca ponad zmysłów waśnią;  
I lasem myśli rozśpiewaną duszą  
Był jak olbrzymy, co sny bogów kuszą.

Młode mu piersi żądzą zolbrzymiały,  
Jak oceany pod tehnieniem „atmana“ —  
Iskra przebóstwień, w szczęściu zapomniana,  
Piorunem ognia biła w wieków skały  
I, w blaskach cudną ważąc tajemnicę,  
W noc siebie dała mu za przewodnicę.

— „Ciche doliny, perłowemi oczy  
Kwiatów spijajcie pocałunki słońca! —  
Zachwytom waszym niech nie będzie końca!  
Kraż istnień waszych niech zawsze się toczy  
Po łąk szmaragdach! Wy, skarłałe drzewa,  
Którym wśród liści ptak o szczęściu śpiewa —

Wiecznie samotne, mrące w skarg rozpaczy, —  
Wy, zapatrzone w wody życia mętne,  
Łamiające w wiehrach uściski namiętne  
Swych chorych ramion!... Dziś mi drogę znaczy  
Kształt wasz upiorny w konania godzinie —  
I ból przedemną jak wystaniec płynie.

Na szczyt! na szczyt! W objęciu nieb mateczynem  
Kotłyszcie się, nabrzmiałe ziarnem kłosa!...  
Ryżowych pól niech pełnią się pokosy  
Za spokój wasz — ja dzisiaj będę czynem  
I ducha w takie zanurzę odmęty,  
Że wstanie z nich, jak Kryszna, bólem święty.

Nie wiedzieć wam, jak gromów surmy jęczą,  
 Strzały błyskawic zastygają lasem, —  
 Na sen błękitów waląc się z hałasem,  
 Jak w krwawych łunach zwyciężone męczą!  
 Jam poznał tę, co mękę dusz wydzwania,  
 Obleczone w nową formę bytowania.

Głosem rakszasów legion nędz mnie goni  
 I legion pragnień spopielających woła,  
 Bym wieniec Mai snów odrzucił z czoła  
 I obosiecznej, strasznej jął się broni, —  
 Tak z podniesioną, zdobny krzywd szyszakiem,  
 Gnał za błyskawic ich tajemnym znakiem.

Snem powtarzanym zjawą nieprzytomnie,  
 Przeczuć szaleńczych pognany ostrogą,  
 W noc tę apiorną, obłąkaną trwogą,  
 Duch mój wśród żądań swych stanął niezłomnie  
 I hańbę groźnej klątw ludzkich potęgi  
 W śmierci bojowej porozwijał wstęgi.

Na szczyt!! Kto jesteś?... Szlak mej drogi dumnie  
 Zagradzasz szydem wyprężonym ciałem?!...  
 Przed konia mego nieprzytomnym cwałem  
 Cofnij się! Runiesz, podobien kolumnie,  
 Co z świątyń Boga strącona rozpaczą  
 Ziemi, gdzie sereca krwawym szlochom płaczą! —

Jako trumnisko legniesz, gdzie nadzieje  
 Próżno zarody złote jutra kładną —  
 Gad się prześlizga po nich piersią zdradną  
 I zapomnieniem w przeszłość je rozwieje!...  
 Żadna się w tobie boleść nie spopieli  
 Ni kształtów ducha śmiercią wyanieli!...

## III.

Oto się orły na błękitach ważą  
I skrzydeł wielkich nieuchwytnem drzeniem,  
Jakoby nowych lotów objawieniem,  
Niepokój niecą. Z wyplakaną twarzą  
Dawnych bóstw widma przemykają nizko  
Pod Olimp, zwany świętą ich kołyską.

W cień schodzą gromów zeusowych czciciele,  
Ślepe narzędzia wszechmądrej Ateny.  
Skalpel zwątpienia tnie żywota weny.  
Chwila — a raną kolumn kapitule  
Na gmachy świątyń i gruzem zasieją  
To, co im wiarą było i nadzieją.

Tysiące rąk się wyciągnie z błaganiem,  
Tysiące oczu bielmem ból powlecze,  
I krwią rozpaczy legjon sere ociecze  
Gdy władztwo runie — trupem legnie na niem.  
Lecz oni, żywi — co dalej iść muszą  
Po grzązkich piaskach z poszarpaną duszą?...

O nich rozmyślał, gdy wieczorne zorze  
Rozwarły swoje przekrwione źrenice,  
I, rdzą pokrywszy blasków tajemnice,  
Klucz w lazuruwe porzuciły morze —  
Aby, zawarłszy błękitne przymierze,  
Niebo i wody w jednej stopić wierze.



— „I ludzkim sercom potrzebne spoidła“ —  
 Dumał, marzeniem dążąc ku przystani,  
 Kędy wyklęci, biedni, zapomniani,  
 W Nik szeleszczące obleczeni skrzydła,  
 Zrównani będą sprawiedliwą dłonią  
 Z tymi, co szczęścia nadmiar w życiu trwonią.

„Nie ty, kraino, co w tarkusów morzu  
 Śnieżnych swych kolumn przeglądasz się gajem—  
 Nie ty, w imieniu której dzisiaj stajem,  
 Z snów przebudzeni na miłości łożu,  
 By skronie w hełmy, ręce zdobiąc w miecze,  
 Iść cię wystawiać krwią, co z sere pociecze.

Nie ty, świątynio, co jak mew obłoki  
 Białym marmurem rzeźbisz błękit złoty —  
 Nie ty, balsamie zmysłowej pieszczoty,  
 I nie wy, fauny z lotnymi podskoki, —  
 Wy sere ludzkości nie spoicie wiarą,  
 Gdy imię wasze zabrzmie pieśnią starą! —

Ja syn twój, Grecjo! Z mej potwornej twarzy  
 Patrzą na ciebie źrenice milezenia, —  
 A za mną ciągną duchy zapomnienia,  
 Którym się przyszłość w nowych bytach marzy—  
 Te, na rozdrożu dawnych wiar wymarcia,  
 W nienarodzonych szukają oparcia.

Im się kraj w kształty ludzkości rozpręży,  
 Jeden za wszystkich na ofiarę składa —  
 A w każdej śmierci jest światów zagłada,  
 A każde życie nowe mrok zwycięża. —  
 I nie w przyszłości ziemi nie zostanie,  
 Co nie wniknęło w światów bytowanie“.

Codzień innemi przebiegając drogi,  
Cofał się, wracał, zbaczał z nich, wymijał,  
By nieć pajęczą — myśl jutra rozwijał,  
Jak nimbem strojąc nią przeszłości bogi.  
Pędząc, jak rzeka nierównem korytem,  
Bieg swój zatrzymał w jasny dzień przed szczytem.

Przecuciem wiedzion, wdzierał się na skały,  
Chwiał się, zapadał w rozpadliny czarne,  
I strasząc twarzą chimery ementarne,  
W niebezpieczeństwa grze zapamiętały,  
Szedł ku wyżynom, nie patrząc z powrotem  
W ciemnię, co szydu szekęła chichotem.

Aż kędy świata jakby dwa ramiona  
Zbiegły się w punkcie złotego zenitu —  
Gmach dziwu płonie, czar boskiego mytu —  
Jakowaś orgja światła nieskończona  
W powietrza drganiu bez końca się spala,  
Dręcząc przychodnia mękami Tantała.

Wtem — czy wysokość zdrowy sąd w nim miesza,  
A szczyt zawrotny mózg mu szaleńcem maści?...  
Zaledwie wzrokiem pył wietrzny roztrąci,  
Żrenica jego w tęczach się zawiesza,  
W których cud piękna kształtami się jawi  
I pieśnią blasków jemu błogosławi.

„Tyżeś to wreszeie, błyskawico złota,  
Od której oczy me, pięknem oslepte,  
Ty w miłowaniu spalasz serca skrzepłe!  
Tobą zbudzona boskich trwał tęsknota  
Wiedzie twój wszelki drogami dobrymi  
W misterjum szczęścia! Prawdo, ty dla ziemi

Snem Prometejów! Ja, nim urzeczony,  
 Twojem imieniem będę z światem gadał,  
 W imienia twojem błędy dusz spowiadał,  
 Uzdrawiał ślepeć blaskiem twej korony, —  
 Niech baśń świetlana ducha im kolebie,  
 By w tobie, piękna, rozpoznał sam siebie!

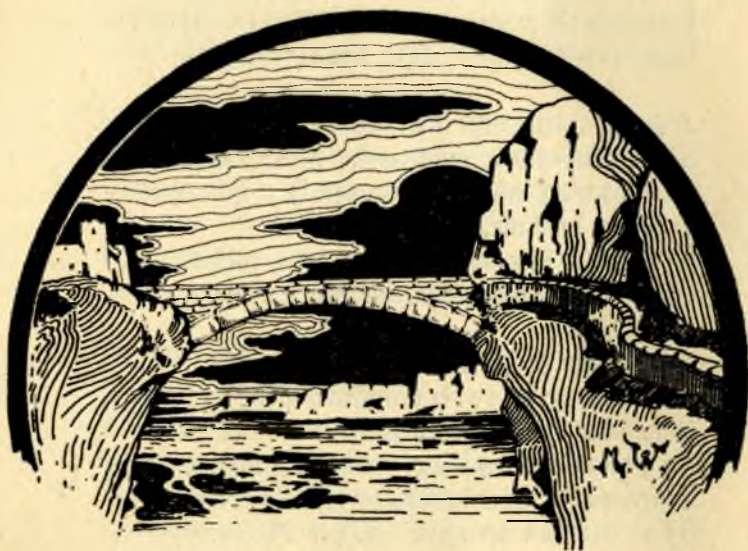
Śpią gaje laurów, róże i cyprysy. —  
 Miłość i śmierć w przyjazny uścisk brata  
 Sen. Cisza drogi pozasnała świata,  
 Wieczności na nim rzeźbiąc mądre rysy —  
 Gdy dwóch wędrowców ze skalnej wyżyny  
 Dążyło w ludzkie, zdjęte snem, krainy.

Jeden z nich, szpetny, w piersi bohatera  
 Serce jak ołtarz mądrością niósł święte,  
 Przez którą, sądził, szczęście jest poczęte, —  
 Jeśli jej braknie, i ono zamiera.  
 W niej się skryształowała wiara tego męża:  
 „*Dobrem* zdobyte *szczęście* ból zwycięża“.

Towarzysz jego ciemny i ponury,  
 Niby alchemik, co w samotnej celi  
 Duszę nad ogniem zwątpienia popieli —  
 Na podobieństwo owej czarnej chmury,  
 Która na wodach czerwonych się wiesza,  
 By w otchłań wrogów zatopić Mojżesza —

Ciągle, wytrwale, nieodstępny kroczy  
 Za tym, co szczęścia głosi objawienie.  
 Czasem w drobniutkie rozpyła się cienie  
 I też kroplami mąci męża oczy, —  
 Wreszcie, jak symbol zawistny cierpienia,  
 Wraz z nim za bramy wślizga się więzienia.

Tam praw żelazem pancerzoną dłońią  
Czarę trucizny do ust mu nachyli,  
Przed konającym stając w jednej chwili,  
Bez blasków złudnych, co ma kształty słońią,  
I syczy, w sznury rozsypany węży:  
„Głupoty ludzkiej *piękno* nie zwycięży“!



*(Dokończenie nastąpi).*

WALERY GOSTOMSKI.

## W KAPLICY SYKSTYŃSKIEJ.

*(Ciąg dalszy).*

Wzmaga się ten rys u pozostałych, starszych, wiekiem, lub zgoła sędziwych postaci wieszczych, choć nie u wszystkich z jednaką uzewnętrznia się wyrazistością i siłą. Mało jest widoczny w pełnym spokoju wytężonej pracy myślowej proroka Joela. Przepyszna, mądra jego twarz o rysach wybitnych i szlachetnem wyniosłem czole wyraża ogromnie skupioną uwagę na odczytywanym ze zwitku papierowego tekście, gdy poza nim dwa gieńjuszki jakąś nader ożywioną toczą rozprawę. Niezrównany, pełen jakowejś wzniosłej mocy i wielkości starzec-mędrzec Zacharjasz, co dużo bólów wszechludzkich przeżyć i przecierpieć musiał, spogląda teraz na nie z niezmaconym spokojem swej sędziwości.

Przedstawiony jest z księgą w ręku, którą właśnie otwiera, aby w niej odnaleźć jakąś myśl dawną, przez pół zapomnianą. Spokojną też w układzie i nastroju widzimy podeszłą w leciech matronę, Sybillę perską, pogrążoną w czytaniu małej książeczki, którą zbliża do swych osłabionych wiekiem oczu. Natomiast w trzech ostatnich figurach cyklu rys tragiczny coraz wydatniej, coraz bardziej niepokojąco się zaznacza w gięście, postawie, wyrazie twarzy.

Czerstwy, silny starzec, prorok Ezechiel, — pełnym wyrazu i ożywienia ruchem całej postaci, gięstem głowy i ręki zwrócony do niewidzialnych słuchaczy, zdaje się coś głosić, oznajmiać, nauczać; a w oczach szeroko otwartych wielkie znać poruszenie, zniecierpliwienie, gniew może na tę oporność pospolitego tłumu. Jeden z dwóch jego gienjuszków z palcem ku górze wzniesionym prawi też coś wymownie, gdy drugi intensywnym spojrzeniem w dal spogląda.

Nadludzko olbrzymia, tytaniczna starucha, Sybilla Kumejska, w swej demonicznej nieomal wielkości i grozie jest jedną z najpotężniej, najgłębiej pomyślanych kreacji Michała Anioła. Jej ogromne muskularne cielsko, jej twarz ciemna, surowa, a mądra, tysiącnymi zmarszczkami porwana, z wyrazem ponurej zaciętości nad księgą wyroczną schylona — cały ten niesamowity, mroczno-groźny jej tytanizm czyni ją jakby skupioną w obrazie plastycznym syntezą demonizmu zgrzybiałej kobiecości, od niepamiętnych czasów uosobianego przez wyobraźnię ludową w mnóstwie mytycznych i legiendowych tworów. Panujący w tej postaci ogólny ton posępno-mroczny jak dziwnie rozjaśniony zostaje figurkami dwóch ślicznych wesołych dzieciączków-gienjuszków, które z figlarnymi minkami z boku zaglądają do rozehylonej księgi starej czarownicy.

Czy mają one oznaczać błysk pogodny na ciemnym, chmurnym tle tragicznych przeznaczeń człowieczeństwa?...

Sybilla Kumejska wyobraża jakby zewnętrzną grozę tych przeznaczeń, ciężącą nad nimi złowrogą fatalność—cała ich groza we wnętrzu duszy ludzkiej ukryta, cały tragizm czującej i wiedzącej świadomości ludzkiej skupia się w potężnej, pełnej ducha postaci proroka Jeremiasza, przewyższającej siłą i plastyką wyrazu wszystko, co kiedykolwiek w sztuce osiągnięte zostało. Tym razem kreacja artysty dość wiernie odpowiada swemu historycznemu pierwowzorowi. Śpiewak upadłej Jerozolimy, twórca Lamentacji mógłby się rozpoznać w przedziwnej figurze tego bolejącego starca, ale li tylko jako człowiek, bezmiernym cierpieniem owładnięty, nie jako rabi hebrajski, oplakujący niedolę swego ludu. Jeden tylko drobny zewnętrzny szczegół w obrazie przypomina nam historyczną postać Jeremiasza: napisy *Aleph, Vav* na małym zwitku papieru z boku leżącym. Są to, jak wiadomo, nazwy liter hebrajskich, któremi znaczone są w Biblii strofy Lamentacji proroka. Pozatem niema nic, co by się odnosiło do określonego momentu dziejowego. Zawsze więc ta wszechobecna u Michała Anioła postać ponadhistorycznego, wiecznego człowieka—tutaj jawiąca się w obrazie odwiecznej, nieśmiertelnej jego boleści. Jak wymowny i prosty zarazem ten obraz;—jaki w nim patos straszliwy bez patetycznego giestu, jaka posągowość bez posągowej pozy.

Siadł oto człowiek ciężko na ławie cierpienia. Zgięta się wyniosła, olbrzymia jego postać, pochyliły się mocarne ramiona, głowa dumna na piersi opadła, zamroczone żałością oczy nieruchomo, beznadziejnie w dół spoglądają. Twarz śmiertelnie bladą wsparł na rękę prawej, zastaniając nią oniemiałe z bólu usta, lewa ręka bezwładnie zwiisa mu na kolanie, bezwładnie skrzyżowane obwisły pod ławą nogi potężne, co zda się na ruinie świata niewzru-

szone stać by mogły. Każdy szczegół, każdy rys, każdy palec u ręki, każdy muskuł twarzy wyraża tu bezmiernie olbrzymie cierpienie olbrzyma, bezdenną boleść niezgłębionych otchłani duszy ludzkiej.

To jakby uosobione człowieczeństwo siedzi tu przed nami na ławie wiekaistej swej męki, siedzi i boleje boleścią wszystkich swych rozbitych nadziei, upadłych ideałów, zdruzgotanych świętości. A niby dwa echa tej posągowej tragedji ludzkości, za główną figurą dwie niewieście postacie z tła obrazu się wyłaniają: jedna z głową spuszczoną cała zda się łzami gorzkimi opływającą, druga z twarzą bólem kamienną, bez łzy w oku, rozpacznie w dal spoziera. Cała ta uwieczniona na stropach Sykstyny wizja tragiczna czemże jest, jeśli nie emanacją plastyczną najgłębszego jestestwa duszy artysty, duszy tak bardzo udręczonej męczarnią wyżyn, tak straszliwie wstrząśniętej tragedją szczytów ludzkości.

Z wyżyn jej i szczytów pochodzą zaiste te wieszce olbrzymy, co z wyniosłych stropów świętego przybytku wiary i sztuki spoglądają od wicków na rojący się w dole, rozciekawiony tłum mniej lub więcej karlego pospólstwa ludzkiego. Górna, dostojna dusza artysty przemawia nimi, niby znakami swej myśli natchnionej, przemawia nie tylko lotem nadziemskich ideałów, lecz także gorącym, namiętmem pragnieniem ziemskiej ich realizacji. Dlatego to owe apostaciowania ich artystyczne odznaczają się nie tylko potęgą swego wyrazu duchowego, ale także fizyczną mocą, fizycznym ogromem swych kształtów cielesnych.

Stasznie zauważył Klaczko, iż wyobrazić sobie owych olbrzymów, ruszających się i chodzących po ziemi, można by chyba wśród zmienionych na niej przyrodzowych warunków bytu. Dodajmy jednak, że wyobrazić ich sobie bez ziemskiej podstawy w nadziemskiej bujających dziedzinie byłoby istnem niepodobieństwem.



W tem właśnie ich tragizm, w tem tragizm osobionych przez nie idei artysty, iż dla swej realizacji, dla swego życiowego, nie samego tylko artystycznego ucieleśnienia, potrzebowałyby one przemienionej ziemi, przemienionej ludzkości.

**VII. Człowieczeństwo w żywiołowej swej mocy i w powszedniej swej słabości: *Ignudi* i przodkowie Chrystusa.**

Jakby mogła, jakby powinna wyglądać owa ludzkość przemieniona, to z niesłychanem wytężeniem swych mocy twórczych usiłowała wyrazić, uprzytomnić nam w całej swej sztuce genialna fantazja artysty.

Jakby mogło wyglądać człowieczeństwo w pełni żywiołowych swych sił, które wyższą potęgą ducha owładnięte świat ziemski, świat ludzki przeobrazić bytyby zdolne:—o tem mówi nam wyrazistą mową swych kształtów szereg przedziwnych postaci, obok proroków i sybill najwydatniej, najplastyczniej zarysowujących się na stropie Sykstyny.

Ponad czworokątnymi przedziałami, mieszczącymi figury natehnionych wieszczów i wieszczek, na gzemсах rozmieszczonych po czterech rogach gienazyjskich obrazów środkowego pasma plafonowego, widnieje dwadzieścia w najrozmaitszem upozowaniu rozsiadłych i zupełnie nagich postaci młodzieńczych. Z cudownej iscie mocy i harmonji swych kształtów cielesnych istne Herkulesy i Apoliny zarazem, z twarzy, pełnych wyrazu, czasem wdzięczno-smętne Adonisy, czasem wesołe, swawolne fauny, a z rozhakania szalem życia pijanych ciał młodych—niekiedy jakby orgjastyczne dyjonizyjskie efeby-satyry.

Dziwne postacie! Jako motywy zdobnicze zdają się zbyt zbyteczne, stanowią nawet pewne przeładowanie ornamen-

ta figarycznego, w niespokojnych swych ruchach i giestach nazbyt się rozrzucają pomiędzy ramami przyległych obrazów, czasem nawet na ich powierzchni poszczególnymi częściami zachodzą.

Cóż więc mają za znaczenie, jaką rolę odgrywają w ogólnym planie kompozycji malarskich?

Formalne ich zadanie polega na podirzymywaniu pod obrazami girland z żółędzi i liści dębowych lub zawieszonych na szerokich taśmach medaljonów marmarowych z wyobrażeniem różnych seen z Pisma Świętego.

Ale czyż do tego potrzeba było owych olbrzymich herkulesowych figar? — Jakieś małe lekkie *putti* lepiejby się tu pono nadawały. Inny chyba motyw twórczy musiał tu powodować artystą.

Nietrudno go wynaleźć we właściwym zawsze Buonarrotiemu upodobaniu do odtwarzania pięknego nagiego ciała ludzkiego, a szczególnie męskiego ciała w pełni żywiołowej jego mocy. Temu upodobaniu puścił tu wodze, rzucając z tą swoją gienjalną samowolą twórczą owych dwadziestu *nagich* (*ignudi*, jak ich zowią Włosi) w najdziwaczniejszych pozach na gzymsy stropu sykstyńskiego.

Ale przedziwnie wszechstronna, z najistotniejszych głębin człowieczeństwa wynikająca twórczość Michała Anioła łączy zawsze w swoich najkapryśniejszych choćby na pozór kreacjach treść z formą, zamiśl artystyczny z głębokomyślną dążnością ideową. Dzięki temu *ignudi* stali się niejako dopełnieniem proroków i sybill w tej tragiczno-wzniosłej epopei, malowanej na stropach Sykstyny,—dopełnieniem w określonym powyżej znaczeniu, jako żywiołowy materiał ludzki, w swej orgjastycznej pełni i mocy gotów na przyjęcie wyższych potęg ducha, ze szczytów człowieczeństwa spłynąć nam mających. *Ignudi* to ludzkość, w rozkwicie swej cielesności młodzieńczej stanowiąca armję, wiedzioną przez owych z wyżyn, ze szczytów

Królów-duchów na zdobycie krainy nadludzkiego ideału. Ich postawy osobliwe, ich ruchy nieskończenie urozmaicone, dziwnie nieraz gwałtowne, jakby szalone, niepojęcie zawite, wielokształtne i wieloznaczne, czy nie są to niejako różnorodne możliwości wielkich gościw życiowych, przez czyny uwarunkowanych?

Ale nie w samych tylko gościwach ich znaczenie. Nie są to tylko piękne ciała ludzkie w ruchu; — i poruszenia pięknych dusz ludzkich odbijają się na tych twarzach wyrazistych, myślą, uczuciem rozjaśnionych, pełnych młodzieńczego życia, młodzieńczego wdzięku. Jak wszystkie nagie postacie Michała Anioła, i owi cudni nadzy młodzieńcy nie mają w sobie ani cienia pospolitego wabika zmysłowego. Namalowani z całą naturalną prawdą ciała ludzkiego, bez żadnych osłonek i przyzwoitek, mają oni w sobie jakąś przedziwną dziewiczość, niepokalaną czystość cielesno-duchową. Każdy z nich mógłby być Endymjonem. Kochankiem najczystszej bogini, co w noc czarów miesięcznym promieniem czoło uśpionego całuje.

Iści się tu prawdziwy cud sztuki: artystyczne wskrzeszenie ciała ludzkiego w pełni rajskiej, przedgrzechowej jego niewinności i w pełni rajskiego wdzięku.

Siła i dzielność męska łączy się tu z uroczym wdziękiem dziewczym. Obok typów pełnego werwy rozhakania chłopięcego, mamy tu postacie w układzie, ruchu i wyrazie oblicza cichym czarem dziewictwa nawskroś rozpromienione. Jest w tem jakaś kształtem cielesnym przyodziana nadpłciowość czystego piękna, jakiś nadludzki hermafrodytizm, w żywej realnej postaci ludzkiej wcielony. Marzyła o nim dawna Hellada w pełnym rozkwicie swego bytu i w pełnym odzwierciedleniu idealnej jego treści w dialogach Platona. Po wiekach zapoznania i zwyrodnienia, jakiemu nieraz ulegał, zmartwychwstał oto promienny pierwotną swą czystością i krasą, technieniem wyższego

ducha owiany w areytworze wielkiego chrześcijańskiego artysty, „kochanka Muzy przezczystej“, co, jak mówi Tasso, „nie ze znikomych wawrzynów helikońskich, lecz z gwiazd nieśmiertelnych w niebie złotą ma koronę.“

A jednak i w tej wizji rajskiej młodzieńczych aroków nie widać rajskiej szczęśliwości odbicia. Na twarzach eudnych młodzieńców zrzadka tylko, wyjątkowo nieomal wyraz pogody i wesela zabłyśnie. Częściej nierównie smutek, tęsknota, żalność kładą na nich swe cienie przejrzyste, z poza których dziwną opalizacją przeświecają promienie młodości, czasem niepokój, trwoga, nawet boleść omraczają te jasne oblicza. Chmurna tragiedja szczytów i na idylliczne doliny wdzięku cień rzuca złowrogi. Co prawda, nadzy młodzieńcy Michała Anioła zdają się niekiedy przybywać z dzikich dolin orgjastycznego djonizejskiego szału:—takie niektórzy z nich zdradzają w ruchach i pozach rozpętanie żywiołowej mocy, taka zda się w nich wre bujna pełnia życia, a ta, skoro w swym nadmiarze poza brzegi jego pocznie się przelewać, nieodzownie tragiczny przybiera charakter, zwłaszcza, skoro idący ze szczytów duchowych pęd wyższych dążeń zwróci ją ku dalekim, niedościgłym kresom ludzkości.

Obok tej tragicznymi odgłosami rozbrzmiewającej idylli młodzieńczej, mamy na sklepieniu Sykstyny wdzięcznie naiwną idyllę dziecięcą i to w bezpośrednim sąsiedztwie, często w bezpośredniej styczności z najwynioślejszymi postaciami tragiedji szczytów. Dwa rodzaje dziecięcych postaci wprowadził artysta do swej malowanej epospei wszechzłowieczeństwa. Jeden to owe wzmiankowane nieraz powyżej małe gieńjuszki, towarzyszące stałe prorokom i sybillom. Są to jakby uosobienia rodzących się ich natchnień, świtającej ich myśli wieszczej—czasem posłuszne służebne jej duchy, czasem kapryśnie przekorne demoniki przeciwieństwa. Jakże często tę podwójną rolę

odgrywają w twórczej myśli ludzkiej rodzące się pierwsze jej przebłyski. Ruchliwe ich apostaciowania, zwawo uwi-  
 jające się dokoła kolosalnych wieszczych figur, jak zawsze  
 u Michała Anioła pełne są indywidualnego charakteru.  
 Twarzyczki ich często weale niepiękne mnóstwo mają wy-  
 razu, a ten wraz z wyrazistą, urozmaiconą giestykulacją  
 w osobliwy sposób łączy naiwno-figlarny wdzięk dziecięcy  
 z powagą budzącej się wyższej myśli.

Drugi rodzaj postaci dziecięcych to figurki karjaty-  
 dek, podtrzymujących po obu stronach proroków i sybill  
 gzymusy, na których siedzą nadzy młodzieńcy. Kaprys fan-  
 tazji artystycznej, wbrew logice konstrukcyjnej, każe tu  
 dźwigać małym dzieciaczkom ciężkie podstawy z herkule-  
 sowemi postaciami, mającemi za zadanie podtrzymywać  
 lekkie medaljony i wieńce dębowe. Jest to jakby wesołe  
 intermezzo w nieskończenie poważnej i surowej tragedji  
 ludzkości, rozgrywającej się na stropach Sykstyń. Dzie-  
 ciaczki-karjatydy nie biorą na serjo swych obowiązków  
 dźwigania. Nie zdają się weale być utrudzone tą funkcją  
 i jak najswobodniej sobie igrają, figlują, jakby dla zabaw-  
 ki tylko ją pełniły. Ruchliwe, wdzięczne ich figurki dzi-  
 wnie miłe stanowią kontrast z poważnemi postaciami,  
 obok których zostały umieszczone, a choć nagie ich ciała  
 mają wygląd marmurów, tak pełne są życia w ruchu,  
 gieście, w rozbawionych, filaterynych lub kapryśnych min-  
 kach, jak gdyby były najwierniejszem odbiciem rzeczywi-  
 stego światka dziecięcego. Mamy tu nowy dowód nie-  
 zmiernej wszechstronności gienjusza artystycznego, który  
 z wyniosłych, nadehmurnych szczytów swego tragicznego  
 natchnienia umiał zstąpić na niziny tej idylli dziecięcej  
 i w drobne ornamentacyjne figuryńki tyle zdołał wlać  
 szereg, serdecznej prawdy życiowej.

Ten mały światek wesołych chłopaczków, figlarnych  
*putti*, na krótką chwilę tylko odrywa uwagę widza od peł-

nego surowej, smatnej powagi świata ludzkości, stanowiącego istotny przedmiot wielkiej kompozycji plafonowej. Pozostaje nam jeszcze do rozpatrzenia ostatnia jej część, tak różna od poprzednich swym wyglądem zewnętrznym, tak uzupełniająca je w swej odmienności wewnętrznym swem znaczeniem.

W trójkątnych wygięciach sklepienia ponad oknami (w tak zwanych pendentywach), oraz w okalających je półokręgiem od góry lunetach, widzimy grupy postaci męskich, kobiecych i dziecięcych w pozycji siedzącej lub półleżącej jakby w spoczynku, często we śnie, rzadko przy jakichś domowych zajęciach; tło obrazów ciemne nocną oznacza porę. Pomieszczone obok napisy zawierają imiona przodków Chrystusa, jak je podaje genealogja w Ewangelji św. Mateusza. Nigdy jednak artysta nie postąpił sobie dowolniej z figurami historycznymi, jakie rzekomo miał odtworzyć. Te postaci nie absolutnie nie mają wspólnego z wymienionymi w napisach osobistościami, z których wiele (jak Abraham, Jakub, Dawid, Salomon) wyraźnie przecież zarysowuje nam historia biblijna.

Artysta przedstawia ludzi różnego charakteru i pochodzenia, czasem o typie wschodnim i żydowskim, czasem jakby starorzyskim (figura pod nazwą Salathiel), najczęściej nowoczesnym europejskim, zawsze jednak ludzi żyjących w miernocie, ubóstwie, niekiedy zgoła nędzarzy. Widzimy ich siedzących na ziemi, na worku, na prostej ławie, odzianych w szaty proste, biedne, czasem nieomal w łachmany. Wszysey jakby utrudzeni, wyczerpani, zasypiają często w najniegodniejszych pozycjach, jak ci, co byle gdzie, byle jak spać zwykli, aby tylko po trudach choć trochę zaznać spoczynku. W stanie czuwania mają zazwyczaj twarze pełne troski, niepokoju, zniechęcenia, czasem nady, gniewu, złości, rzadziej tęsknej zadamy. Tylko matki z dziećmi miłym, serdecznym wyróżniają się wy-

razem; niekiedy nawet, rzadki gość, uśmiech na ich twarzach zabłyśnie, dzieci pełne wdzięku, czasem do figlów się biorą, młodzieńcy piękni i kształtni, ale także jakby zmęczeni, o twarzach smętnych, bez silniejszego blasku życia.

Słowem, niewesoły świat ukazuje nam tu artysta i niepiękny wcale, często bez znamion wyższej godności ludzkiej. Znaleźć w nim można wprawdzie niejedną postać piękną, szlachetną, pełną wyrazu; ale obok tego jak wiele pospolitych, szpetnych, lub zgoła karykaturalnych.

I toż mają być przodkowie Chrystusa, ci ludzie tak zbiedzeni, znędzni, tak pozbawieni wyższych znamion człowieczeństwa! Czyż nie może się to wydać co najmniej bardzo osobliwym sposobem przedstawienia rzeczy? Jeden z niemieckich komentatorów Buonarrotiego widzi w tem nawet „eine fast pietätlose Darstellung der Vorahren Christi“. A jednak przy gruntowniejszem zastanowieniu jak głęboko prawdziwą, jak szersze chrześcijańską wyda nam się tu twórcza myśl artysty.

Przodkowie Zbawiciela pojęci tu są jako ludzkość cała, zbawienia potrzebująca, ludzkość, przyciśnięta, zgnębiona ciężką niedolą swego bytu ziemskiego, niezdolna żyć wyższem życiem, którego by nie mogły tak łatwo dosięgnąć często i gęsto padające na powszednich poziomach ciosy złych losów. Artysta przedstawia nam tu ludzi, żyjących przeważnie, lub wyłącznie na tych poziomach, pochłoniętych przez codzienne troski i zabiegi, zacieśnionych, jakby skurezonych i zawiędłych w dusznej atmosferze domowego bytu, zrzadka tylko myślą swobodną sięgających poza jej obręb — przedstawia ich w chwili utrudzenia, wyczerpania, martwej, bezdusznej senności i przez to uwydatnia tem bardziej przyrodzoną ich słabość, doczesną ich nędzę; za tło daje im zawsze szarzyzną pół-

światłą, lub gruby pomrok nocny, niby symbol ich ciemnej, szarej doli, tak dalekiej od dziedziny światła.

W szczegółach taka tu różnaitość: tyle postaci charakterystycznych, tyle twarzy wyrazistych, giestów wymownych, sytuacji znamiennych, iż każdy z tych obrazków na bacznią zasługiwałby uwagę, nastroczałby mnóstwo uwag o życiu, jego sprawach i niedolach. Ramy niniejszej pracy nie pozwalają na szczegółowe roztrząsania; musimy poprzestać na kilku ogólnych spostrzeżeniach i przykładowo wybranych rysach.

Należy przedewszystkiem zaznaczyć różnicę, zachodzącą pomiędzy obrazkami w trójkątnych pendentywach i w półkolistych lunetach ponad oknami. Polega ona nie tylko na różnym układzie figur, ich rozmiarach i ilości, ale, co ważniejsza, na odmiennej charakterystyce, odpowiadającej dwum różnym sferom bytu ludzkiego. Obrazy w trójkątnych pendentywach wydają mi się scenami z życia ludowego w ściślejszem znaczeniu. Widzimy tu ludzi w najprostszych, bardzo pierwotnych warunkach bytu. Siedzą lub leżą wprost na ziemi utrudzeni, wynędzniali, w ubogiej odzieży, bez żadnych w swem otoczeniu dogodnień bytu, bez żadnych śladów dostatku czy dobrobytu. Choć nie widać urządzenia ich mieszkań, należy się domyślać, iż są to chyba namioty lub jakieś nędzne, pierwotne chaty. Twarze tych ludzi—przeważnie kobiet i dzieci—nie odznaczają się uduchowieniem, ani szczególną pięknoscia, mają jednak przeważnie rysy prawidłowe, niewykrzywione przez namiętność i nałogi, dużo prostoty i spokoju w wyrazie, dużo cichej rezygnacji, znoszącej z podaniem ciężką dolę życia.

Oto np. obraz uśpionej rodziny. Na przodzie mąż o twarzy dobrotliwej i stroskanej drzemie półleżąc jakby na straży domowego ogniska, gotów w każdej chwili zerwać się na jego obronę. Żona jakby poza szańcem ciała



mężowskiego śpi skulona, trzymając dziecko w objęciach z ustami, przyściśniętymi do jego twarzyczki; całując je, zasnęła widocznie. Jaki wymowny w swej prostocie, pełen charakteru i serdecznego uczucia obrazek rodzinny. Podobny nastrój panuje też na innych obrazkach tego cyklu. Wszędzie życie rodzinne w najprostszycich swych formach, wszędzie też same postaci utrudzonych biedaków, też same twarze niewesołe, ale spokojne i zrezygnowane. A jednak jaka w tem wszystkiem różnaitość kompozycji i charakterystyki, układu i ugrupowania figur. Każda postać żyje swem własnem, odrębnem życiem, każda twarz ma własny, indywidualny charakter; tylko wspólna ciężka dola wszystkie naznacza wspólnemi znamionami trudu, trosk i cierpień życiowych.

Większa jeszcze różnaitość panuje w następującym cyklu obrazków w półokrągłych lunetach ponad oknami. Tutaj mamy jakby sceny z życia mieszczańskiego, z życia klas średnich: typy więcej zróżniczkowane, sytuacje bardziej urozmaiczone; ale też na twarzach liczniejsze ślady rozmaitych zboczeń natury ludzkiej, często przebija na nich zniechęcenie, złość czy chciwość, rysy twarzy pod wpływem tych uczuć ujemnych różnym ulegają wykrzywieniom, stają się szpetne, przykre, niekiedy karykaturalne.

I tutaj mamy przeważnie sceny wczasów domowych, ale w ludziach mniej znać utrudzenia, więcej za to niepokoju w ich mimice, ruchach i giestach, zdradzających podniecenie wewnętrzne. Postaci spokojne mają zazwyczaj wyraz zamyślenia, kontemplacji, jak np. mężczyzna z piękną, szlachetną twarzą, siedzący w wyprostowanej postawie, jakby w wielkiem skupieniu ducha, gdy obok młoda kobieta w przedziwnie naturalnym, niepozbanionym wdzięku upozowania, czesze sobie włosy.

Pomysłowość artysty w układzie i ugrupowaniu figur prawdziwie niewyczerpana, a przytem tak oryginalna, tak

dziwaczna niekiedy. Oto np. na drugim z rzędu obrazku widzimy jakiegoś bardzo szpetnego starca o cudackiej koziej brodzie, ze złą miną wpatrującego się w główkę swej laski, wyobrażającej poczwarnie wykrzywione ludzkie oblizcze. Obok prześliczna, pełna wdzięku młoda matka z uśpionem dzieciątkiem. Na innym obrazku okropnie szpetny, z wyschlą, zwiędłą twarzą i karykaturalnym wielkim nosem mężczyzna coś pilnie zapisuje, a na przeciwnej stronie matka, otoczona trojgiem dzieci, które cisną się jej do łona, wieszają na szyi. Gdzieindziej rodzina żydowska o pysznych charakterystycznych twarzach i postaciach. Tam znów Arab w białym burnasie, dalej starzec z ponurą miną i złowrogim spojrzeniem, młoda kobieta, przyglądająca się masce, młodzieniec nad książką, człowiek w podeszłych latach z tablicą, na której zdaje się zapisywać rachunki, gdyż obok wisi worek z pieniędzmi.

Jednym słowem nieskończona rozmaitość typów, charakterów, sytuacji, różne sprawy i stosunki życia ludzkiego przedstawione w rysach zwięzłych, dosadnych, nieporównanie wyrazistych. Najwydatniej w nich występują wielkie atrudzenie życiem i akryty jakby bunt, akryta złość przeciw niemu. Tylko pojawiające się na wszystkich prawie obrazach matki z dziećmi serdecznym splecione uściskiem są wiekuiścią w miłości afirmacją życia, tylko ukazany w pełni rezygnacji i poddania ład szlachetnych prostaków jest wiekuiстым w trudzie i mozołe twórcą-odnowicielem życia.

Widzieliśmy wyniosłe szczyty człowieczeństwa, widzieliśmy żywiotowo bujne, młodością kwitnące jego doliny, a oto oglądamy teraz rozległe nizinne przestwory jego powszedniej szarzyzny, tak pełne mroków niedoli, tak słabo rozświetlone promieniami z wyżyn. A jednak i na nich żyje, rozwija się człowiek wieczny, wieczny swą przyrodzoną słabością, swą nędzą cielesną i duchową, ale

także siłą swej miłości, niezłomnym wysiłkiem trudów i mozolów swego powszedniego żywota. Żyje na tych smutnych nizinach człowiek wieczny i wraz ze szczytami ludzkości, wraz z młodzieńczo kwitnącemi jej dolinami, oczekuje przyjścia swego prawdziwego człowieczeństwa w pełni jego mocy i chwały. Pojawiło się ono przed wiekami na ziemi, z nieba zstąpiło, jako aczłowieczone Słowo Boże — dlaczegoż jednak obecą mu pozostała taka ogromna większość synów ziemi? „Do własności przyszedł a swoi go nie przyjęli, a ilekolwiek ich przyjęli go, dał im moc, aby się stali synami Bożymi“ (Ew. Jan I, 11, 12).

Dlaczego jednak tak niewielu ich było, a ci niewielu dlaczego, stając się synami Bożymi, musieli nieraz zrywać wszelkie prawie węzły, łączące ich z synowstwem ziemi? Czyż ziemia ma być zawsze wrogiem niebios? Czyż nigdy ideał niebiański nie stanie się rzeczywistością ziemską?

Oto bezdennie głębokie a straszliwie żywotne pytania, stanowiące istotę obrazowej tragedii człowieczeństwa, rozwijającej się na stropach Sykstyny, a właściwie ujawnionej tu tragedii duszy artysty, wielkiej, szlachetnej duszy ludzkiej, pełnej ideału Chrystusowo-humanitarnego, pragnącej realizować go w sztuce i w życiu, realizować tu na ziemi całą ożywczą prawdą dążeń duchowo-chrześcijańskich, całą żywą, żywotwórczą siłą cielesno-ludzkiego bytu.

Zewnętrzny, formalny materiał, służący do uplastycznienia tych pragnień, bierze artysta z odwiecznej tradycji chrześcijaństwa, z tradycji przedchrystusowych wieszczów i proroków, zwiastujących Mesjasza-Zbawiciela. Wiemy jednakże, jak dalece własną, indywidualną treścią ożywia i napełnia te starodawne przeczucia ludzkości, jak je rozciąga poza historyczny fakt chrześcijaństwa w nie-

skończoność wiekuistych humanitarnych jego zadań. Beznadziejność w danej epoce, w całej epoce nowożytnej tych pragnień i przecząc realizacji chrześcijańskiej, tego ponownego do dusz ludzkich zstąpienia Chrystusa, rysem głęboko tragicznym wybija w całej tej rozpatrzonej dotąd epopei barw i kształtów, najwyższem zaś natężeniem rozpaczliwego iście tragizmu wybucha w owym przepotężnym jej finale, jaki w wiele lat później dodał artysta w olbrzymim obrazie sądu ostatecznego.

*(Ciąg dalszy nastąpi).*





Z CYKLU „ODLOTY“.

I.

*Rozpowiły się z mgły  
Szczyty „Dent du Midi“,  
W różanych blaskach gorą.  
Budzi się, drga jezioro.  
Duszo, zbudź się i ty.*

*Już niecierpliwa łódź,  
Nim fale zaczną pruć,  
Wydyma żagli skrzydła,  
Jak rumak rwie wędzidła.  
Duszo, pęta swe zrzuć!*

*Mewa z piór strząsa sny,  
Tęsknotą lotu drży.  
Już z nad cichego żlebu  
Porywa się ku niebu.  
Duszo! duszo!... a ty?*

## II.

*Był raz jasny tum...  
Stał wyniosły tum cały wyślacany,  
Grał w nim liści szum, jak na mszy organy,  
Grał w nim liści szum.*

*Przyszedł wichru wiew...  
Zagrał zimny wiew w złotych liści szumie,  
Rozbrzmiał dziki śpiew w pozłocistym tumie,  
Zagrał dziki śpiew.*

*Rozpekł się tum drzew...  
Lecą liście z drzew, wichru tchem niesione,  
Nie wie złoty siew, w którą padnie stronę,  
Leci złoty siew.*

*Aleś ty nie liść...  
Duszo, tyś nie liść, którym wicher miota,  
Wskaże ci, gdzie iść, przeczuć twych tęsknota.  
Duszo, wiesz gdzie iść?*

F. ARNSZTAJNOWA.



# JAK LIŚC JESIENNY

POWIEŚĆ

przez

WACŁAWA SIEROSZEWSKIEGO.

VIII.

Noc była cicha, gorąca. Gwiazdziste niebo ametystowe przeglądało się wraz z gwiazdami w ametystowym morzu. Parowiec, otoczony seledynową mgławicą własnej jasności, sunął jak gorejący bolid po cichej niewidzialnej wodzie. Jak ogony wlokły się za nim brzozy białej piany, na których tańczyły ogniste zygzaki wydłużonych świateł. Czarne dymy kłębiły się w górze śladem gwiazdy naczelnej latarni, zawieszanej na szczycie niewidzialnego maszta. Niby dwa różnobarwne ślepie migotały z obu boków czerwone i zielone ognie sygnałowe. Różaniec niezliczonych iluminatorów oświetlonych z wewnątrz opasywał białe boki parowca, niby sznur pereł. A tu i tam na pomostach, na mostku kapitańskim, na galerjach boez-

nych i u rufy płonęły lampy elektryczne, ujawniając brzegi, kanty, płaty płaszczyzn, leciachne zarysy rozpuszczonego w ciemnościach statku.

Jeno białe brzuchy szalup ratunkowych lśniły mocno w bijącej z dołu łunie, podobne do płynących w powietrzu bez wiatru i wiosel łodzi „latającego Holendra“.

Powiewy powietrza ciepłe, łagodne jak maśnięcie wygrzanego słońcem aksamitu, przyjemnie łaskotały twarze podróżnych, którzy tłumnie wylegli z kajut.

Na tyłach i bokach parowca w pierwszej i drugiej klasie majaczyły jasne pary, siedzące na ławkach lub spacerujące po przestronnych galerjach. Na dziobie w klasie trzeciej, gromadki ludzi, rozmawiających półgłosem, kryły się w cieniu towarów, albo, wsparte łokciami na blankach wysokiej burty, patrzyły w milezeniu w nieprzejrzaną bezdeń wód, szumiących tuż pod nimi.

— Pan pyta, jak się to stało... opowiem... czuję, że nie jest to u pana prosta ciekawość — mówiła szeptem Kate do Rózyckiego.

— O tak — odrzekł — Niech mi pani wierzy...

Siedzieli ukryci w swej nyży, gdzie nikt ich nie widział i dokąd szepty ludzkich gawęd i rozmaite dźwięki samego statku dochodziły, jak gdyby z oddali.

— Zaczęło się od tego, że w fabryce obcięto zarobki, skrócono czas pracy. Z początku nie czuliśmy tego, rodzice mieli oszczędności... Ale zwolna wyczerpało się wszystko... Trzeba było odebrać młodsze rodzeństwo ze szkoły. Uczyłam je w domu. Miałam rok siedemnasty, byłam mało co mniejsza niż teraz, umiałam szyć, pracować, prasować, czytać, pisać, rachować... Mogłam zgodzić się i za bonę do dzieci, i za gospodynię do dobrego domu. A działa nam się coraz gorzej... Jedna więcej gęba w małym gospodarstwie mocno ciążyła. Napisali rodzice



do ciotki do Warszawy, czy nie znalazłaby dla mnie jakiego zajęcia... Odpisała: niech przyjedzie, zaocznie nie można... Wybrałyśmy się z drugą, taką jak ja znajomą też młodą, pierwszy raz w drogę, w świat, którego nie znałyśmy, pierwszy nawet raz kolejną... Pamiętam porządnego miałyśmy stracha... Jedzie się prawie dzień cały, a my bałyśmy się wyjść z wagonu, żeby nie zostać. Piłyśmy i jadły tylko to, co wzięłyśmy ze sobą... Na jednej stacji przysiadła się do nas jejmość. Gadu gadu... A kto jesteście, a dokąd?... Powiedziałyśmy jej wszystko... Zaprowadziła nas do bufetu na większej stacji, poczęstowała herbatą... Serdeczna taka... usłużna... życzliwa... Ach, panie, długo ja się potem bałam życzliwości ludzkiej!... Znam, mówi, waszą ciotkę, a jakże... Mogę was zawieźć, jeśli miasta nie znacie... Bo to łatwo trafić na złych ludzi... A i tu zaraz koło dworca przez plac Broni niebezpiecznie przechodzić, gdyż włóczą się żołdaci i mogą was skrzywdzić...

Zaufałyśmy jej zupełnie... Powiozła nas... Powiedziała, że musi zajechać przedewszystkiem do siebie, aby zostawić rzeczy... Pamiętam, jak dziś, ulicę źle oświetloną, cuchnącą, brudną, odrapany dom, bramę plugawą, wydeptane, oślizgłe schody, któremi nas prowadziła ta kobieta do siebie... Tam posadziła nas, nakarmiła, napiła, ale z wyjazdem zwlekała, a to to, a to owo... Zaczęli schodzić się jacyś ludzie... To byli ci... — szepnęła przez łyzy... I zostałyśmy na noc u tej kobiety, bo nie chciała ani zawieźć nas do ciotki, ani wypuścić... Tłumaczyła, że daleko, że późno, że się boi... a puścić nas samych nie chciała, gdyż mówiła, że miałaby na sumieniu... Zostałyśmy... W nocy, gdyśmy spały znużone, wpadła do naszego pokoju banda mężczyzn ze światłem... z butelkami, pijanych... Stało się... Nazajutrz stara jejmość przepraszała nas, obiecywała złote góry, a gdy uparłam się,

aby iść do ciotki... to zawołała jednego z tych... co pomagał wieczorem... Gdy przyszedł wielki, straszny, z oczami jak dwa sztylety, nie opierałam się... Zrozumiałam, że wszystko przepadło... Lali w nas znowu pod wieczór wódkę i wino przemocą... Przychodzili panowie... I tak poszło wszystko jak w jakiejś malignie... Potem nas półprzypadkowo wywieźli... Rozdzielono mię z moją towarzyszką... Znalazłam się sama, zupełnie sama w obcym mieście, którego języka nie rozumiałam. Później się dowiedziałam, że to Konstantynopol... Dom w ogrodzie, otoczony murem... we drzwiach, w oknach kraty. Brama zawsze zamknięta, a klucz nosiła przy sobie nasza „stara”. Nikt nie mógł ani przyjść, ani wyjść bez jej wiedzy... Było nas w zakładzie ze trzydzieści; były murzynki, czerkieński, niemki, włoszki, było kilka z Polski, ale głównie żydówki...

Choć trzymano nas jak w więzieniu, choć bito za byle co i zamykano nago w zimnym karcerze... wolałam już ten zakład niż to, co było przedtem... Nastął przecie jakiś porządek, do którego powoli włożyłam się... Tylko czasem w duszy coś jakby płakało, gdy wspomniałam swoich...

Na dole był klub, do którego w nocy schodzili się goście... mnóstwo rozmaitych narodowości... czarnych, kudłatych, białych, śniadych... Coraz inni, choć byli i tacy co przychodzili często... Jedli, grali w kości, w karty... Tam schodziłyśmy się co noc, żeby tańczyć, śpiewać... pić z gośćmi, gadać, żartować... Na górze były sypialnie, lustra, dywany, łoża, otomany, elektryczne światło,—bardzo ładnie wszystko urządzone! Co tam z nami wyrabiano! Czego napatrzyłam się przez te kilka miesięcy... Na co nieraz musiałam pozwalać?... Mój Boże i sam szatan nie wymyśli tego, co człowiek pijany... Przychodzili nieraz owrzodzeni, cuchnący; przychodzili starcy bezsilni i goło-

wąsi smarkacze... Wszystkim musiałam ulegać... Ile razy skrzypnęła krata we drzwiach, czekałam wylękła, jaka znowu czeka mnie męka... Ale raz wszedł wysoki, tęgi blondyn... Kiedy „stara“ na korytarzu zebrała nas, niezajęte, wkóło niego, spojrzał na mnie bystro i wybrał od razu... Ten mię popieścił po ludzku, ani wina, ani wódki pić nie zmuszał, pocieszył, pogawędził. Odtąd zaczął często przychodzić i zawsze brał mnie, tak że skoro wechodził, to już mnie bez pytania wołano... Był monterem w warsztatach ckrętowych, dobrze zarabiał, zawsze dawał sute naddatki na perfumy, na pończochy... Chowałam je za podszewkę pantofli jak w więzieniu, bo stara często robiła rewizję i zabierała wszystko, co znalazła... Odtąd lepiej mi się dziać poczęło. Polubiłam bardzo Willa... Kiedym głos jego usłyszała u wejścia, to już mi serce spokojniej i radośniej bić zaczęło: wiedziałam, że będę miała parę godzin bez pośmiewiska, a czasem i pół nocy wypoczynku... Gdym była zajęta, czekał na mnie... Wtedy bywał zły, choć sam rozumiał, że ja niewinna... Wypytywał się mnie szczegółowo, jak teraz pan, o całą moją historję... I o sobie opowiedział wszystko... Już ja wtedy umiałam trochę mówić żargonem portowym, tym, co tu mówią. Przyłgnęliśmy do siebie... Chciał mię wykupić... Kazał się starej wypytać, ile zażąda... Zadażo chciała... Więc postanowiliśmy uciec... Za pieniądze dużo można. Powoli pozyskałam sobie służbę, ubranie męskie dostarczył mi Will... Nareszcie razu pewnego wyszłam z nim niepostrzeżenie od kuchni... w sieni płaszcz na mnie narzucił i uprowadził... Tegoż dnia wsiedliśmy na parostatek i odpłynęli... Will wziął miejsce w Szanghaju... Tu nam minęło lat kilka, jak w raju. Nigdy mi słowem nie wspomniał o tem, co było; tu chłopiec się nam urodził... Wykapany Will... Rósł zdrowo... rumiany... jasnowłosy. Mądry był... Do szkoły zaczęliśmy go posyłać. Aż razu jednego nie wrócił Will z doków o zwy-

klej porze... przyszedli ludzie, powiedzieli, że zabity... Spuszczali okręt, źle jakoś pokierowali, dostał się pod walec i zgniotło go na miazgę.... Myślałam, że oszaleję.... Chłopiec mię od tego uratował.... Musiałam pracować, myśleć o nim... Will tak go kochał... Postanowiłam, że musi zostać człowiekiem wykształconym, dobrym „gentlemanem“, jak ojciec... Will chciał, żeby był „gentlemanem“. Ale czy dużo mogłam igłą zarobić? Dopóki było trochę w domu gotówki, zaoszczędzonej i zebranej ze sprzedanych, niepotrzebnych już sprzętów, tom końce z końcami wiązała... ale nie starczyło. Wtedy... Pan nie wie, co to głodne, sponiewierane dziecko!... Co miałam robić?... A zresztą czem ja byłam i jakie moje i syna mogło być życie?!... Wymówiono nam mieszkanie... Mieliśmy się zacząć tałać... Wiedziałam, że w tej tałaćce czyha na mnie to samo... Ludzie wpehneliby mnie, wdeptali w to samo miejsce... Wolałam sama... z wyboru... wolna... Willa nie było... Nie było powodu, żeby na siebie zważać... Syna oddałam na dobrą pensję... do ludzi pewnych i pojechałam... Bo w Szanghaju nie mogłam i nigdy tam za żadne pieniądze, za żadne skarby nie robiłam... Marynarze są szczodrzy... Potem Sarę spotkałam i już włóczęmy się z nią parę lat... Co rok przyjeżdżałam do Szanghaju na miesiąc i zatrzymywałam się nie w hotelu, lecz u dawnych przyjaciół Willa, i nie chodziłam nigdzie w miejsca publiczne, aby mię nie poznano. Tylko wciąż z synem... cały miesiąc... Żeby pan wiedział, jaki on był... jaki on był!.. Jak wszystko umiał, jak wszystko wiedział, jaki był mądry!... Jaki był ładny, jaki był zgrabny... Malowanie... obrazek cudo-wny... Nieraz idę z nim ulicą i słyszę, jak mówią panie i panowie: „Patrzenie, jaki śliczny chłopak! Czyj syn? A tej pani“... Serce o mało mi wtedy nie wyskakiwało

z piersi... Będziesz, synu, będziesz, mój maluchny Wilusku, gentlemanem!.. Wrócimy do Europy... pojedziemy na kraj świata, gdzie twej starej matki nikt znać nie będzie!.. A zresztą będzie umiała matka w porę zniknąć ze świata, byle tobie nie zaszkodzić, nie zawadzić... Teraz się z tobą tylko nacieszy... napięści. Aż nagle... nie... nie... nie mogę... nie mogę!.. Przyjeżdżam w tym roku... Umarł mój syn... umarł... umarła dziecina.... niema go.... niema!...

Upadła na ręce, twarzą na burzę, jak wówczas przed Formozą, i płacz głęboki, nieutulony wstrząsnął jej ciałem. Różycki stał koło niej bezradny i patrzył na daleki widnokrąg, gdzie zwolna ponad rozbłyskującym w drżącym świetle szkliviem wód wypływał księżyc. Drobnie fale skakały tuż koło miedzianej tarczy miesiąca, łamiąc na tyśiące łuseczek jego krótką, szeroko rozlaną poświatę... Aż miesiąc uniósł się, oderwał od wód i, zebrawszy swe blaski w jeden szlak srebrzysty, wysłał je aż do samotnego na morzu parowca.

Pobladły ognie statku: białe jego boki, czarne dymy i wełniaste piany brózd zagrały metalowym blaskiem.

— Pani... niech pani posłucha!... — szeptał cicho wzruszonym głosem Różycki.

Katarzyna zdawała się nie słyszeć go, już płacz nią nie wstrząsał, leżała cicho, bezsilnie, zwieszona na poręczu jak gdyby w omdleniu.

Różycki podniósł głowę i kłopotliwie obejrzał się za siebie. Było pusto na pomoście, podróżni udali się widocznie na spoczynek. Jedynie tuż obok jego nyży stał czarny cień człowieka, wykonywający ruchy dziwaczne. Gdy Różycki bliżej przyjrzał się zjawisku, zwróciło ono ku niemu usmoloną węglami i sadzą twarz okrętowego palacza.

— Chce pan? — spytał krótko i wyciągnął rękę z piękną pomarańczą na dłoni...

— Nie!...

— Dlaczego? Tam ich dużo! — odparł ze śmiechem, szybko obdarł zębami skórkę z owocu, połknął go chciwie, poczem sięgnął znowu do otworu, wyłamanego w ogromnym koszyku.



## IX.

W nocy „Armand“ zarzucił kotwicę u brzegów Anana. O świcie przybył pilot i wprowadził statek w ujście rzeczki Don-naj. W głębi ponad lądem mgiły się błękitne góry, ale samo wybrzeże było płaskie, a raczej wcale go nie było... Jak okiem zajrzeć, ciągnęły się gęste chaszczcze palm karłowatych, oleandrów, bambusów, wężowatych filodendronów, drzewiastych paproci. Na wysepkach korzeni, krętych, supłowatych jak macki polipa, a rozpostartych szeroko jak nogi raka, wznosiły się całe kolumnady przysadzistych, niechlajnych, kosmatych pni nawodnych, zbrakanych namulcem, oropiałych od grzybów i liszajów. Ponad nimi zbity strop twardych liści łapczastych rzucał noeny mrok. Buchtyljan zwieszały się aż do toni, połyskujących atramentowo; sploty, kiście i fręzle, całe grzywy i bańczaki pędów i pasorzytnych odnóży przężyły się na wszystkie strony, spełzały po odziemkach lub przerzucwały się z rosochy na rosochę, z gałęzi na gałęź, szukając nowych ofiar dla swych zdradzieckich uścisków. Festony drapieżnych blaszczów oplatały gęstą siecią trapy

umarłych lub umierających drzew, kryjąc pod aksamitem swej drobnolistnej zieleni dokonane przez siebie morderstwa. Słońce ledwie gdzieniegdzie wązkami strzałami przesiąkało przez skorupę spletanego listowia. Złote jego ciosy otwierały zagnała dalekie, mierzchnące stopniowo perspektywy wśród rzędów rudo-zielonych pnisk i na czarnych zwierciadłach tajemniczych wód. Miejscami przebłyskiwały długie, proste kanały głębokich łąch, wolniejsze od korzeni i roślinności. Drzewa strzelały tam wyżej, a z koron ich pochylonych i wybijałych pnącze przerzuciły nad tunelami cudowne powietrzne arkady. Parne, cieplarniane powiewy, pełne zjadliwych wyziewów bagnistych, ciągnęły stamtąd aż na parowiec. Miejscami widać było na gładkiej, zastanej wodzie podejrzaną kręgi lub zmarszczki srebrzystych, ledwie dostrzegalnych smug, zestawione przez jakieś pływające tuż pod powierzchnią stwory.

Różykiemu wydawało się nawet, że widzi łuskowate grzbiety smocze. Nagle wymknęła się z jednego kanału maluchna łódeczka, niosąca półnagich brunatnych wiosłarzy w ostrokańczastych kapeluszach ryżowych. Wstrzymali ruchy wiosel i przyglądali się ciekawie białemu „ognistemu smokowi“ cudzoziemców, który bez wysiłku płynął przeciw prądowi. Fala z pod parowca grubym wałem podbiegła pod łódeczkę, podrzuciła ją i zakołysała strasznie. Krajowcy o mało nie wypadli do wody.

— Za nic w świecie nie chciałbym się tam kąpać... Hodowla wszelkich gadów... rajskie miejsce dla aligatorów: — rzekł Różyki do Sary, która stanęła właśnie koło niego i oparła się o burtę.

— Co pan mówi, co rajskie? — podejrzliwie spytała żydówka.

— Raj węży i krokodyłów! Mają używanie! — powtórzył, kiwając głową w stronę nawodnej gęstwiny.

— O tak! powiadają, że tego paskustwa tam jest aż za dużo! Przecie ja tam nie pójdę, ani pan... Więc co nam do tego? Niech sobie chodzą. A co ja chciała panu powiedzieć?... to ja chciała panu powiedzieć, że niech panu da Bóg zdrowie... za tę książkę! Ona już zaraz inna... Ona nawet się śmiała, jak ją czytała...

— A gdzie jest pani Katarzyna?

— Ona siedzi w kajucie i czyta, ona ten Sajgon zna aż za bardzo. My tu już kilka razy były... Tam niema co robić! Tam same urzędniki... Wszystko albo biedne albo żonate... Zresztą jak Kate zechce, to ona sobie wszędzie robotę znajdzie!... Tylko że ona jeszcze nie chce... „Patrzeć na nich — powiada — nie mogę! I nie potrzebuję“! Ona głupia myśli, że jak ona teraz nie ma syna, to jej wszyscy wszystko darmo dadzą... A jak ona te kilkadziesiąt funtów, co ma, straci, to będzie musiała za byle co z pierwszym lepszym łapserdakiem pójść... Oszczędności dlatego dobre, że można czekać na fart, na dobry geszeft, a nie żeby je stracić!... Ona ze mną gadać wcale nie chce... Uszy zatyka i piętami o pościel wali... Ale ona już teraz jest inna... Ja myślę, co ona do rozumu przychodzi... I ja nie wiem, co panu za fatygę zrobić... Ja doprawdy wszystko dla pana zrobić, o co pan poprosił.. Bo bez Kate widzi pan, to mnie nijako, to i ja nie mam sereca. My z Kate więcej jesteśmy jak dwie siostry... My jesteśmy dwie sieroty! Niech panu Pan Bóg wynagrodzi... Szczerze życzę! — brzęczała w kółko jak uprzykrzony owad, podczas gdy Różyeki, kryjąc swe zmieszanie i zaciekawienie, odwracał twarz i wodził wzrokiem po okolicy.

Brzeg wznosił się nieznacznie. Kępy, mielizny, ławice i wysepki zlewały się w cypłe i przylądki. Z namulów tryskał ku górze cały pożar zieleni: kędzierzawe liście rozmaitego kształtu i rysunku, nieskończenie ro-



zmaitych odcieni gwałtownie biło, pienilo się, przelewało przez siebie bujnymi zwałami... W dali, wysoko w błękitach wznosiła się jak portyk świątyni mglista, powietrzna kolumnada palm kokosowych. Pojawiły się na szczytowych palach, podobne do gniazd chaty nawodne, uwierte z błotnistych traw, nakryte ogromnymi kołpakami trzei nowych dachów.

— Więc i pani na brzeg nie wyjdzie? — zapytał od niechcienia Różycki Sarę.

— Ja... nie wiem. Może ja i wyjdę... Mnie mówili żołnierze, co my tu długo będziemy stać... Może do jutra do wieczora... chociaż w rozkładzie powiedziano, że tylko dzień... Ale oni tak zawsze. Oni potem na morzu ten dzień dogonią... Więc ja by chciała wyspać się choć jedną noc w dobrym łóżku..! A pan pójdzie?

— Miasto, już widać miasto! Zaraz będziemy! — krzyknął Różycki radośnie.

Za zwierciadlano błyszczącym zakrętem rzeki zabiełały rzędy domów z czerwonymi i zielonymi dachami. Plamy ich wysunęły się z poza muru zieleni i wraz z nią odbiły w lustrze ciemnej wody. Zaskrzyły się w słońcu szkła okien, zapłonęły flagi wiejące w powietrzu, reje i maszty statków zamglily na przystani.

Majtkowie „Armanda“ wytoczyli czempredzej małą mosiężną armatkę, przymocowali ją do burty i gotowali się powitać francuski port wystrzałem.

Na kapitańskim mostku znowu pojawił się w białym kitlu ze świecącymi guzami sam „père commandeur“.

Podróżni tłumnie wylegli na pokład.

Na puste, sennej do tej pory rzece, począł się powien ruch.

Mały, czarny parowiec, sycząc i gwizdząc, wyzywająco przeleciał mimo sunącego poważnie „Armanda“. Już okazały się pierwsze statki na kotwicach: francuski han-

dłowiec „China“ i japoński „Totomaru“ stały czarne, ciężkie, spracowane i zepętnie bezładne o tej wczesnej porze... A dalej już gęsto, tuż jeden koło drugiego wyciągnęło się całe miasto parowców, dżonek, żaglowych okrętów.... Krążył dokoła nich rój drobnych łodzi, pierog i sampanów, pędzony z miejsca na miejsce wiosłami przez nagich ludzi kolorowych z białymi opaskami wokół bioder. Za-grzmiał armatni strzał, wleciała na główny maszt „Ar-manda“ flaga francuska... Ustało gorączkowe bicie śrub parowca. Spracowane jego ciało przestało nagle drżeć i, kołyszając się wolnie jak łabędź, mocą rozpędu zbli-żało się do przystani, tam, gdzie na wysokim słupie po-wiewała flaga trójbarwna...

Majtkowie rzucili cumy. Parowiec trącił o bafory lądowe i stanął. Umilkł zwolna chłopot wody wzburzo-nej, urwał się oddech kominów, zamiast nich napłynął z ładu gwar tłumów ludzkich, tupot ich nóg i hałas ulicy miejskiej.

Po rzuconych na brzeg kładkach popłynął niezwłocz-nie strumień podróźnych. A więc przedewszystkiem tu-my Chińczyków i Negrów ze swymi tobołkami. Następnie ubrany po europejsku Japończyk powiódł pieczętowiec swoje „dżoro“, podskakujące niezgrabnie na wysokich san-dałach i wymachujące długimi rękawami „kimono“, jak pingwiny skrzydłami. Za nimi mignęły czerwone rajtazy żołnierzy. Dalej wolno i ostrożnie przeszły białe panie z pierwszej i drugiej klasy w towarzystwie jasnokoloro-wych panów.

Różycki dostrzegł wśród nich hrabiego Fioretti z blondynką i Sarę z... Joubertem.

— Aha! — pomyślał — te nie tracą czasu!

Jednocześnie ogarnął go niepokój i podniecenie.

— Gdzież Kate? Czyżby już poszła?

Spuścił się pośpiesznie do kajut. W jadalni było cicho i pusto, w kajutach również. Ani śladu bufetowego. Naczynia były sprzątnięte, szafy zamknięte, ścierka porzucona niedbale w kącie bufetu.

— Zapewne jej nie spostrzegłem! Ale z kim mogła pójść? — rozmyślał z goryczą.

Już chciał skierować się ku schodom, aby biec naład, gdy cicho, jak cień, wysunęła się Kate ze swojej sypialni.

Oboje zmieszali się. Różyki pobladł zlekka, podczas gdy blada twarz Kate zabarwiła się jednostajnie delikatną łuną...

— Pan tu? Więc pan nie pójdzie do miasta? Więc pan zna Sajgon?

— Nie znam... Owszem, poszedłbym... Wiem, że tu jest piękny ogród botaniczny i zwierzyńiec... Ale samemu... nudno... A czyby pani nie poszła? — zapytał nieśmiało.

Spojrzała nań długo i badawczo.

— A... a... czy nie będzie się pan... wstydził?

— Czego?! Pani dla mnie... zupełnie... po tem, co mi pani powiedziała... Ależ zupełnie... — tłumaczył się bezładnie.

Nie spuszczała zeń czarnych błyszczących oczu. Nagle oczy te stały się aksamitne.

— Dobrze — odrzekła krótko — Niech pan zaczeka!

Różyki skoczył do swej kajuty, aby się trochę przebrać.

Dawno wszakże już był gotów i czekał w jadalni z jaki kwadrans, a Kate nie ukazywała się weale; zajrzał więc niedyskretnie przez niedomknięte drzwi. Wśród rozrzuconych sukien i odemkniętych pudełek stała zupełnie ubrana, jak śliczne, jasne widziadło. Jak gdyby poczuwszy na sobie jego wzrok, zrobiła szybki ruch głową w tył, zepchnęła część rozrzuconego ubrania do otwartego kosza, zatrasnęła wieko i odsunęła drzwi. Cofnął się w tył zmieszany

i przejęty. Stała przed nim zmieniona nie do poznania, jakaś nieznana mu, daleka, elegancka dama. Miała na sobie śliczną suknię z étaminy „éerue“ na jedwabnym, różowym spodzie, przeświecającym morelowo przez cieniuchną mgłę zwierzechniej tkaniny. Wązkie, marszczone rękawy, gipiurowy karczerek „à jour“ i długie zlekka plisowane ramiączka były spięte na wierzchołkach wypukłych piersi różowymi kokardami. Nie przecinana w pasie suknia, obeisnąwszy miękkimi zmarszczkami smukłą figurę i spadziste biodra, spływała na dół wytwornym kielichem, rozszytym wstawkami z gipiury.

Matową, owalną twarz ocieniał czarny „Rembrandt“ z czarnymi strusiami piórami, boa z takich samych piór zwieszało się z ramion. Duże czarne rzęsy zlekka drgały nad wesołemi, wilgotnemi oczami, pod zgrabnym nosem śmiały się wilgotne usta.

— A więc jedziemy? — spytała jakimś bardziej głębokim głosem.

Zręcznym ruchem przytrzymała łokciem parasolkę i, posuwając się naprzód wolniuchno, jęła wdziwać bladobiałe rękawiczki z weneckiej skórki... Wiąło od niej delikatnym zapachem „Lotus blossoms“, a wyglądała jak bukiet przedziwnych japońskich złocieni.

Różyki chwilę nie ruszał się, wzruszony do głębi serca, wdzięczny i zarazem zawstydzony, gdyż rozumiał, iż ubrała się wyłącznie dla niego.

Aż obejrzała się i zawołała wesoło:

— Na cóż pan jeszcze czeka... Tam nikogo już niema!

Na przystani wzięli dwie ryksze i kazali wieść się do ogrodu botanicznego. Tędy Anamici, woźnice i konie w jednej osobie, w lot zrozumieli sytuację i polecili wesoło tuż obok siebie, oś w oś, aleją wysadzaną olbrzymiemi drzewami.

Po obu stronach przez otwarte szeroko bramy ogrodzeń widać było niskie, przysadziste drewniane i murywane domy podzwrotnikowe z głębokimi podcieniami na słupach. Bujna, żywa zieleń i jaskrawe kwiaty kipiły dokoła na klombach i kępach drzew.

Na ulicach pusto. Południowy skwar zapędził wszystkich do domów. Rzadko przechodził biało ubrany krajo-wiec, w stożkowatym, trzciniowym kapeluszu, zatrzymywał się i gapił pół sennie na przejezdnych. Słońce piekło nie-miłosiernie, wznosząc się coraz wyżej na ciemnoszafiro-wem niebie.

Kate otworzyła swą japońską parasolkę jedwabną ko-loru róży herbacianej, haftowaną w różowe kwiaty i bla-do zielone trawy.

Różycy parasola nie miał i cierpiał nieznośnie. Pot spływał mu strugami z pod korkowego hełmu. Wil-gotne gorące powietrze tamowało oddech. Zaduch pa-rowea na otwartem morzu wydawał mu się w tej łaźni przyjemnym, chłodnym zefirem.

— Skręcaj pod drzewa! — zawołał po angielsku na woźnicę.

Ten obejrzał się, zrozumiał niecierpliwy gość i usłu-chał natychmiast.

Ale pod drzewami niewiele było lepiej, gdyż przeje-rzyste mdłe cienie wysokich konarów nie dawały żadnej ochrony od bezlitosnego słońca.

Nareszcie stanęli w parku. Doznali jednak zawodu. Zamiast oszałamiającej puszczy zwrotnikowej znaleźli pię-knie utrzymany chędogi ogród, widocznie niezbyt dawno założony, gdzie młode drzewa, szeroko i luźno rozrzuc-o-ne po polankach, nie tworzyły prawie nigdzie cienistych gajów.

Skierowali się więc odrazu do zwierzyńca.

Kate znowu rozpięła swoją piękną parasolkę i odzyskała dobry humor.

— Niech pan się bliżej przysunie, to i panu dostanie się trochę cienia! — rzekła z uśmiechem.

— Mam hełm korkowy! — odpowiedział, tłumiąc upalne sapanie.

Przedewszystkiem zwabiły ich wrzaskliwe głosy papug. Małe papużki, przypominające ślicznymi, jaskrawymi barwami i dziwnymi kształtami tajemnicze owoce lub kwiaty gajów zwrotnikowych, siedziały potulnie albo cicho polatywały po wielkich klatkach. Za to wielkie kakadu, rogacie i czubate we wszystkich kierunkach — białe, czerwone, zielone, żółte i pstre — darły się w niebogłosey. Gdy Różycy z Kate stanęli przed nimi, dzika wrzawa, zgrzytanie, szeczekanie, krakanie i wycie dosięgły, niesłychanej potęgi. Zatkawszy uszy, musieli uciekać ze śmiechem.

Przed klatką małp zatrzymali się dłużej. Psoty i kłótnie tych czarnych, rudych i szaro-żółtych zwierząt z różowymi lub sinymi pyszczkami, bardzo bawiły młodą kobietę, dopóki parę bezwstydných wybryków nie odstraszyło jej, przeraziwszy jednocześnie Różycyego. Odeszła, odwracając od towarzysza rozbawioną, zarumienioną twarz...

Niedaleko stamtąd trafili na ogromne drucianki z węzami.

Kate ze zgrozą przypatrywała stę czarnym, galaretowatym zwojom, powolnym ruchem, przelewającym się z kąta w kąt, wzdłuż wysokich siatek. Nagle dostrzegła w tym kłębie, wlepione w siebie okrągłe oko bez powiek, z ostrą, stalową źrenicą, pośrodku złotej tęczówki, gorzącej przykrym, posępnym ogniem.

Cofnęła się strachlona i nie chciała już oglądać ani dusiciela, ani okularników, ani nawet żmii koralowej,

skręconej w kółko na podłodze jednej klatki, jak krążek krwi.

— Chodźmy stąd, chodźmy... Okropnie!.. Umrzeć od takiego gada. Pomyśleć tylko, że one w tych krajach wpełzają nieraz pod kołdry śpiących, zwijają się na pierśsiach... Brrr!... Nie chcę, nie chcę! Jak pan może w tych podróżach wytrzymać bez hoteli, bez ochrony!

— Wytrzymuję, bo muszę!

— A co pan właściwie robi? — zapytała ciekawie.

— Jeżdżę po rozmaitych krajach i skupuję przedmioty dla muzeów.

— Aha, rozumiem! coś w rodzaju... wędrownego...

— Komiwojażera! Nie, trochę więcej... — przerwał, rumieniąc się — Zapisuję podania, obyczaje...

Zaczął jej wykladać o urządzeniach muzeów, o etnografii, wogóle... o rozmaitych rodzajach i metodach kolekcjonowania...

Wpadł w zapał, nie do tego stopnia jednak, żeby nie dostrzec, że Kate się nudzi, że spoziera z utęsknieniem w głąb ogrodu.

Na szczęście byli niedaleko wielkiej sadzawki, ogrodzonej gęstą i mocną kratą żelazną. Zaledwie stanęli koło niej, zbliżył się krajowiec biednie odziany, otworzył koszyk z kawałkami cuchnącego mięsa i pokazał ręką na stawek.

— Czego on chce?

— Krokodyle... czy pani je widzi? To ich nozdrza wystają nad wodę — cicho zaszeptał niewiadomo dlaczego Różycki.

Dziwne, wystające z mętnej wody parne wyrostki, podobne do pływających korków, poruszyły się; jedna z par znikła, aby rychło wysterknąć niedaleko koło ich brzegu.

Kate nie nie rozumiała i wodziła zdziwionym wzrokiem po pastej sadzawce. Dopiero gdy Różycki rzucił kawałek mięsa, a jednocześnie z wody wychyliła się potworna zębata paszcza, kłapiąc straszliwie i pluskając wokoło, gdy następnie w tem miejscu zawrzało i pokazały się naraz dwa łuszekowate ogony, zaczęła klaskać wesoło w dłoń.

— Aha! aha! Niech pan tak jeszcze zrobi, żeby się pokazały!..

— Trzeba poczekać, aż się uspokoją, inaczej nie zauważą przynęty...

Za chwilę wyrównały się kręgi i zmarszczki na zmąconej wodzie, powierzchnia stała się jak dawniej lustrzana, nie zdradzając najmniejszym ruchem groźnej tajemnicy. Wprawne zaledwie oko mogło dostrzec tu i owdzie zdradzieckie parne punkiki, jeszcze niższe, jeszcze mniejsze niż przedtem, oraz zauważyć obłok namułu, sztucznie wytwarzanego przez kryjące się w nim jaszczury.

Nowy kawał mięsa i nowa walka, nowy chrzest zębów i nowy chaos chlapiących ogonów, szponiastych łap i wygiętych grzbietów gazowatych... Pod koniec Kate rzucała już sama. Różycki patrzył na nią z boku i śmiał się.

— Wie pani, co? — rzekł wolno i ostrożnie. — Proponuję, żeby nie wracać na obiad na „Armanda“. Zjemy lunch w hotelu i pojedziemy kolejką do sąsiedniego anamsko-chińskiego miasta, zgadza się pani?

Znowu spojrzała mu w twarz badawczo.

— A jeżeli nas tam zaskoczy... noc?... — spytała z odrobiną filaterji.

— Niema obawy, ostatni pociąg odchodzi coś o dwa-



nastaj. W hotelu dostaniemy rozkład jazdy... Zresztą mam z sobą rewolwer, może się pani nie lękać!..

Rozśmiała się i ufnie oparła rękę na ramieniu, które jej podał.

W dwie godziny potem pędziła małym czystym wagonem drugiej klasy, wśród ogrodów, rosnących tak blisko toru, że gałęzie palm, bananów, drzew mandarynowych trącały nieledwie o ściany i szyby pociągu.

Miasto, zabudowane chińskimi domami, nie zrobiło na nich wrażenia. Dopiero wieczorem, gdy ustała pracowita wrzawa miejska, łoskot i dudnienie przetwarzanych pak z towarami, gdy umilkły nawoływania przekupniów i robotników, gdy ucichł brzęk łańcuchów, dźwięki bijących o metale młotów, zgrzyt wind i gdy zabrzmiał zamiast nich na ulicach łagodny pogwar swobodnych rozmów, wesoły śmiech wypoczywającego tłumu, gdy zapłonęły rzędy kolorowych lamp na balkonach i u bram domów; gdy zajaśniały przez otwarte drzwi wnętrza jaskrawo oświetlonych sklepów, poczuli się wynagrodzonymi za zmęczenie i kilkogodzinną dotychczasową nudę. Szli w gęstej gromadzie wolno przechadzających się Chińczyków, nie zwracając niczyjej uwagi i nie zaczepiani przez nikogo... Rudy, ciepły zmrok szybko zapadającej nocy sprzyjał im... Szli wyłożonym płytami bulwarem przystani, brzegiem porażonego w ciemności kanału, gdzie tysiące dżonek stały tak zwartym pomostem, iż wody widać nie było i czuło się ją jedynie w świeżości, wiejącej z dołu, i domyślało po cichym, jednostajnym szmerze prądu, trącającego o kałużę statków...

Czasami czerwone światło samotnej latarni zawieszanej na maszcie lub rufie, trafiało w głęboką szczelinę, między wydęte, oślizgłe boki okrętów, między rudle

ogromne jak wierzeje, między piętrzące się niepojęcie trąby, bale, ostrokoły, aż oparło się o czarną, błyszczącą powierzchnię płynącej rzeki i rzuciło na nią rubinową smugę swego odbicia. Reszta ginęła w ciemnościach; nawet las masztów ledwie-ledwie zaznaczał się na głębokim, dalekiem tle aksamitnego nieba... Czuć było jednak u brzegu mnogie, bogate i potężne wojsko, wypoczywające po trudach pracowitego dnia...

Kate przytulała się coraz mocniej do Rózyckiego. Ruch przechodniów nieznacznie, ale stale popychał ich w kierunku boczny, skąd biła lekka łuna. Gdy stanęli na jej rogu, ledwie wstrzymali okrzyk zachwytu. Lamp było tu tak dużo i rozmieszczone były tak fantastycznie jak w jakiejś świątyni tajemnego obrządku. Białe, czerwone, żółte, zielone, niebieskie, lub wszystkie te kolory zmieszane razem w przedziwne bukiety ogniste. Nie świeciły one, nie błyszczały, lecz płonęły łagodną, matową jasnością, siejąc dokoła kolorowy pobrzask, a były wszędzie: wysoko i nisko, na bokach domów, w powietrzu ponad ulicą zawieszane, nie wiadomo na czym, jak stada świetlanych, zastygłych bez ruchu ptaków. U balkonów, nad odrzwiami bogatych klubów i restauracji, tworzyły one girlandy tak równe i zwarte, że wyglądały jak sznurki ogromnych, oświetlonych od wnętrza paciorków, drążonych z onyksu, szafiru, topazu, chryzolit, rubinu, — różańce samogorów, zaczarowanych kamieni Wschodu. Owdzie zwisały nad głowami długie, białe perły z eieniachnego naoliwionego papieru, w których płomień rozlewał się jak mleko. Czarne pręgi hieroglifów ostro odcinały się na nich. Gdzieindziej kapały niby łzy ogniste z okapów domów, opasywały zwojami słupy i rzeźby, ujawniając jaskrawo zabarwione gzemsy, kanty, wypukłości, płaty płaszczyzn ciemnych budowli ledwie w zarysach widzial-

nych. Światło tych tysięcy lamp, zmieszane z gęstym mrokiem, krzyżując się, zlewając, przetwarzając wzajem, wypełniało ulicę tęczową mgłą, pływającą między urwiskami czarnych domów.

Tłum wesoły, świątecznie odziany, kołysał się w dole z łagodnym szemraniem. Na ciemno-błękitnym tle strojów niewyraźnie majaczyły centki bladych twarzy, chwiały się krążki czarnych czapeczek lub czarne kule odkrytych głów, ozdobionych jedynie tęgim warkoczem; powiewały niezliczone jasno malowane wachlarze, niby kędziory pian na falach; błyszczały dymiące słabo małe fajeczki... Od czasu do czasu przepływała wysoko nad tłumem, niesiona przez rostęgo niewolnika, jakaś słynna śpiewaczka w ubraniu białem jak śnieg, opuszonej białym futerkiem z sznurami pereł, połyskujących na głowie i piersiach. Tęczowa łuna światła obrzucała ją ze wszech stron tęczowymi blaski. Migwały jak widziadła i nikły w rzęsiście oświetlonych bramach.

— Wejdziemy! — szepnęła Kate, pociągając Różyckiego — To moje siostry!...

Weszli po szerokich schodach z czerwonej laki, tuż za jedną z takich śpiewaczek, razem z tłumem przechodniów.

Mała kobietka trzymała się z wielkim wdziękiem na ramieniu niosącego ją olbrzyma, oparłszy mu drobną, jaśniejącą pierścionkami rączkę na podgolonej głowie.

Gdy woczyli się do sali, niewolnik postawił ją ostrożnie na stopniach niewielkiej estrady... Tłum rozlał się wśród zajętych, zapehanych stolików, szukając miejsca. Różycki też się za miejscem oglądał. Dostrzegł je trochę w głębi i śmiało skierował się tam, prowadząc Kate za sobą... Nagle poczuł, że tysiąc oczu zwraca się ku niemu, i ogarnęła go trwoga; na szczęście zaśpiewała śpiewaczka.

Usiedli i natychmiast zjawił się chłopak w białym fartuchu. Z trudnością dogadał się z nim Różycki przy pomocy sąsiadów, którzy uprzejmie pomagali im obojga. Jeden z nich w wielkich okularach, oprawionych w sztyldkret, przysiadł się do cudzoziemców i pytał łamaną angielszczyzną, skąd są i co tu robią?...

Zainteresowanie sali znowu znowu zwracało się ku białym gościom; znowu zaciężyły na nich spojrzenia ciekawych, nieprzyjaznych oczu. Różycki niespokojnie macał rękę rewolweru, ale Kate śmiała się, rozglądając wesoło wokół; próbowała nawet wdać się w rozmowę z Chińczykiem w okularach.

Przyniesiono im nareszcie zamówione jedzenie: makaron, ugotowany w wodzie, i potrawkę z kury.

Kate z apetytem zabrała się do nich.

— Niech się pani śpieszy! Niech się pani śpieszy! — naglił Różycki.

Ciekawi skupiali się wkoło nich coraz gęstszym kołem, z dalszych szeregów aż powłazili na stoły, aby ich lepiej obejrzyć... Śpiewaczka przestała śpiewać. Nie było jej widać z poza ściany głów.

— Nie chodzi tutaj... wasza... tutaj głupi... moja wiedz zamorska kobieta... moja was odprowadzi! — radził im Chińczyk w okularach łamaną angielszczyzną.

Zaniepokojony Różycki wystuchał rachunku służącego i zapłacił mu, ile ten zażądał. Kate zdawała się nie rozumieć niebezpieczeństwa i pogodnie i ciekawie spoglądała na tłum.

Dopiero gdy wstali, gdy Różycki chwycił ją pod ramię i poprowadził gwałtem ku wyjściu, poczuła naraz za plecami nawałę niechęci... Rozległy się krzyki, kilka pestek i skórek przeleciało obok nich... Ale przed nimi

tlum się rozstępował; Różycki, blady, prostował, ile mógł, swą niewielką figurkę.

— Wracamy, zaraz wracamy! — zapowiedział, gdy znaleźli się na ulicy. Kate spojrziała nań z boku, nie przyzwyczajona do groźnego tonu jego głosu, lecz usłuchała i wsiadła natychmiast do „rykszy“, którą na szczęście niedaleko znaleźli. Za chwilę lecieli pociągiem, kąpiąc się w świetle elektryczności.

— Żle zrobiłem, żem panią usłuchał! O mało... o mało... nie stało się nieszczęście!

— Cudowny dzień! Nigdy jeszcze takiego dnia nie miałam... Tyle lat jestem tu, a nie wiem.. Nikt mi nigdy nie pokazywał.

Spojrziała nań z wdzięcznością, czarującym spojrzeniem z dołu.

Różycki usiadł i wziął ją za rękę.

— Wie pani co! Już nie warto dziś wracać na „Armanda“. Późno... Lękam się tej drogi do portu przez ciemne i puste uliczki. Rykszy już nie znajdziemy. Zanocejemy lepiej w hotelu!

Spoważniała, zamyśliła się i rękę mu nieznacznie odjęła.

— Ha, cóż! Jeżeli nie można, to przenocujemy!... — odrzekła z ledwie dostrzegalnym uśmiechem.

Gdy w hotelu Różycki zamówił dwa oddzielne pokoje, przyjemny błysk przeleciał po jej twarzy.

— Tak... tak! Teraz nie mogę! Może potem, kiedyś!... — szepnęła, gdy Różycki, mówiąc dobranoc, dłoń jej cokolwiek dłużej zatrzymał.

— Ależ nie podobnego nie powstało mi w głowie! — usprawiedliwiał się niewyraźnie, rumieniąc się, jak dziewczyna.

— Dobrze, dobrze! Wszyscyście jednakowi... Wiem to dobrze! A zresztą może to nieprawda, może pan istotnie inny... pan dobry! Dobranoc!

Długo nie mógł usnąć Różycki, chodził wzburzony po pokoju i żałował, że jest... inny. A gdy nazajutrz rano Kate powitała go chłodno, gdy dostrzegł w jej oczach zimne zamyślenie, a na ustach znany mu zlekka drwiący uśmieszek — był zrozpaczony.



*(Ciąg dalszy nastąpi).*

JILJA DICKSTEINÓWNA.

OD MITÓW KU WIERZENIOM.  
SZKIC PORÓWNAWCZY.



pomroki wieków, z pod pyłu zapomnienia tysiącoletniego wy dobył wiek XIX i na światło pełne wypro wadził przodka naszego najodleglejszego, wskrzesił młodą dziecięcą ludzkość

i dla porównania postawił ją ramieniem o ramię z naszym społeczeństwem dzisiejszem; człowiekowi dojrzałemu i w najbogatszym rozwoju wszystkich sił życiowych podsunął przed oczy wizerunek jego z lat niemowlęcych, z którego za ledwie przeczuć można dziś tak wyraźne i charakterystyczne rysy jego fizjonomji.

Błyskotliwy, świetny, wytworny, ale i pusty nieco *bel esprit*, światowiec — wiek XVIII nie chciał znać tego barbarzyńcy, z głębi borów przedpotopowych, — pomijamy tu sentymentalizm Roussa — bo i czegoż nauczyćby się mógł od odzianego w skóry zwierzęce i samego niewiele wyżej ponad zwierzę stojącego przodka ten subtelny i pełen dowcipu sofista, który najzawilsze zagadki świata rozwią-

zywał tak samo łątwo, łąadko i lekko, jak z gracją i lekko nosił swoje pudrowane peruki, jak łąadko i układnie wyrabiał najskomplikowańsze piruety na lśniących posadzkach wersalskich salonów. Arystokrata z urodzenia, odwracał się od pogrążonego w ciemnocie chłopa, arystokrata z ducha, z pobłażliwym uśmiechem wyższości myślał o tym przodku, opętany przez gusła, czarnoksięstwo i zabobony, tonącego w zasadniczych fałszach, najniefortunniej tłumaczącego sobie świat i jego zjawiska. Z odległości całych epok rozumieć mógł, że opłakane położenie doprowadzić musiało człowieka pierwotnego do tych chybionych wniosków, w szczegóły jednak błędu wchodzić nie miał poco: cieszyć mu się jedynie należało i tryumfować, że ludzkość już z powijkaków wyrosła.

Stulecie następne zmienia postawę: Pięknie przez usta jednego ze świetniejszych swych myślicieli wypowieda swoje w tej sprawie stanowisko: „Błąd historycznie nieraz ukazuje się jako forma, w której odlewa się dzwon prawdy, a którą dopiero po skończeniu odlewania rozbijają“. Ogólnie mówiąc, wiek XIX stwarza perspektywę historyczną. Przejrzał, że niezbędny jest rzut oka wstecz, jeśli ogarnąć chcemy wzrokiem i zrozumieć dzień dzisiejszy, dociekl, że rzecz dana czy zjawisko wtedy dopiero odsłania przed nami tajemnicę swej istoty, gdyśmy prześledzili i poznali jej stawanie się, jej koleje od godziny narodzin aż po chwilę obecną.

*Błąd* nauczyć nas może, i napewno z tego stanowiska uczy nas więcej, niżby nauczyć mogła niezmienna, niezachwiana, bo od pierwszej chwili istnienia człowieka objawiona prawda.

Dość jest ciekawe, że gdy żaden wiek tak nie walczył zajadle z „przestarzałym zabobonem“, nie kładł tyle dobrej woli „pour écraser l'infame“, co była dziedziczką prostą pańszczyzny po bałwochwalezych i przez grube mito-



logiczne wyobrażenia i fałszywe otumanionych przodkach, to z drugiej strony nigdy literatura tak nie pstrzyła się sztucznie powskrzeszanymi postaciami owych mitycznych bożków i boginek, nigdy nie słyszała tylu inwokacji o natchnieniu do istot nadziemskich, a już przede wszystkim literatura, która wydała Holbacha i Woltera, głównych wrogów wszelkiej „nieracjonalności“ i cudowności w świecie.

Dziś o Olimpie i mazał głucho w naczaj poezji, a jednak nikt właśnie, tak jak my, nie rozumie, że mitologia to nieprzebrana skarbnica najdroższych kamieni, które, wydobyte z ukrycia, blask swój wielobarwny rzucą na długie i ciemne dotąd drogi pochodzą ludzkości poprzez „kaskady stuleci“. Ale, bo i rozszerzyliśmy nieskończenie znaczenie terminu „mitologia“. Nie jest to już dla nas prosta księga bajeczek o bogach i bohaterach: to zwierciadło olbrzymie, które rozjaśnionym oczom naszym ukazuje w linjach tak mocnych, że niemal dotykalnych, „rzucone w wszechświat odbicie człowieka“. Twarz naszego przodka najdawniejszego wзира ku nam ze wszystkich olimpów, nieb i piekieł wszystkich części świata, wszystkich ras i plemion; każde prawo, obrządek, obyczaj mówią nam o jego duszy, która dotychczas szczelnie przed okiem potomków była zamknięta. Słusznie nazywa Comte cały okres pierwszy rozwoju ludzkości mitologicznym, i podciąga pod to określenie wszystkie dziedziny ówczesnego życia: w rzeczy samej mitologia to nie tylko pierwotny Zeus, Wiszna, czy Ozyrys, mitologia to najpierwsze ludzkie prawo, etyka, przepisy życia rodzinnego, społecznego, obyczaje wojenne, władza panującego, nawet prawo wymiany, początek przyszłego handlu. Każdy objaw naszego życia duchowego doprowadzić możemy wstecz aż do mitu, każda nauka bez wyjątku, traktowana historycznie, zająć się początkiem swoim o mitologję. „Mit jest jedną z ułomnych i pośrednich konsekwencji naszych najwyższych uzdol-

nień duchowych“ wyraził się Darwin,—i faktycznie, co tylko stworzył czy pomyślał człowiek pierwotny, to z konieczności stawało się mitem, przybierało postać specjalną, zabarwienie charakterystyczne, które właśnie stanowi cechę okresu mitologicznego. A jeśli zgodziliśmy się na tak szerokie rozumienie mitologii, nie będzie chyba zbyt ogólnem określenie jej, jako tej najwcześniejszej iskry intelektualnej, wykrzesanej z pierwszego zetknięcia się człowieka ze światem, pierwszego oko w oko stanięcia umysłu młodego i niewdrożonego w myślenie z przyrodą, a z czasem z własną duszą. O tych próbnych krokach umysłu naszego mówiąc, nazywamy zwykle rezultaty ich religją, częściej jeszcze identyfikujemy te dwa dość nam obce pojęcia: „religja pierwotna była mitologją“, powiadamy, albo co znaczy akurat tyleż: „mitologja stanowiła pierwotną religję“. Może już z wszechogarniającego znaczenia, jakieśmy tu nadali mitologii, przebija wniosek, że zupełnie utożsamiać tych dwóch pojęć nie można. I w istocie w 'dziełach, poświęconych zaraniu naszej kultury i pierwszym brzaskom życia religijnego na ziemi, rysować się poczyną coraz widomiej próba rozdzielenia tej pary zrosłych dotąd ze sobą określeń; na stanowczą wszakże definicję tej różnicy nie zdobyła się dotychczas nauka, i rozmaicie ustalić usiłuje wzajemny obu do siebie stosunek. Na tych kilku stronicach postaramy się uchylić trochę rąbka tej kwestji, opierając się na zdaniu paru najbardziej zasłużonych w tej dziedzinie powag, a także, próbując zdobyć się — o ile siły dadzą — na określenie własne.

\* \* \*

Wychodzimy z założenia, że mitologja i religja—mówimy tu naturalnie o religji pierwotnej, t. zw. bałwochwal-

czej—nie znaczą tego samego. Wypowiadają się za tem mniej lub więcej wyraźnie i Max Müller i Vignoli i Höffding i Lang przedewszystkiem. Tylko, rozdzielając je między sobą, rozmaici myśliciele pierwszeństwo co do czasu przyznają raz jednej, raz drugiej. Müller bez wahania twierdzi, że religja, którą tłumaczy jako poczucie nieskończoności, była weześniejsza, była od samego niemowlęctwa wrodzona człowiekowi, który bezwiednie w rzeczach skończonych wyczuwał coś więcej, niż było dostępne jego zmysłom, z przedmiotów codziennego swego doświadczenia wyciągał przecucie czegoś „au delà”. Höffding przeciwnie stawia twierdzenie, że „człowiek nie może posiadać uczuć religijnych, jeżeli nie uporządkował swoich postrzeżeń nad światem”. W tej koncepcji mitologia będzie pierwszym poznaniem rozumowem, właśnie owem porządkowaniem na swój sposób postrzeżeń, religja zaś zjawiskiem natury uczuciowej. Andrew Lang odwraca sprawę: Pierwszem chronologicznie dla niego, — o wiele jeszcze wyraźniej niż dla Müllera—jest czyste pojęcie bóstwa, bez wchodzenia bliżej w kwestję, jakiej to natury będzie bóstwo. Z biegiem czasu dopiero zaciemnia się to pojęcie czyste i etyczne przez szereg mniej lub więcej sprośnych, „nieprzyzwoitych“ dykteryjek, anegdotek o awanturach i przygodach bogów i bogiń. Materjału dostarcza do tych opowieści rodząca się wiara w dusze zmarłych przodków, którzy, stawszy się bogami, rugują z myśli swych potomków obraz pierwszego bóstwa, nie wywodzącego pochodzenia swego na drodze antropomorficznej. Tu więc religja jest uczuciem a i myślą o świecie zarazem, mitologia zaś to „une chronique scandaleuse”, tylko że jej aktorami są istoty nadprzyrodzone, a areną świat nadzmysłowy. I dla Müllera mitologia jest pewnego rodzaju „patologją”, nie z czei przodków wszelako i włóczęgich się duchów zrodzoną, lecz z błędów natury ję-

zykowej wyłącznie, skutkiem naszej właściwości psychicznej ucieleśniania i uosobiania tego, co w mowie było li-tylko poetyczną przerośnią, metaforą. „Mit jest jedynie modyfikacją języka“, głosi znana zasada Müllerska, „leitmotiv“ wszelkich jego prac w tym kierunku. Porównanie obłoków do stada rumaków, pędzących po niebie, będące zwyczajną metaforą językową, dało zezasem początek mitowi, że w istocie obłoki są jakiemiś rumakami niebieskimi; naiwne wyrażenie dzikiego, że księżyc w czasie zaćmienia połyka słońce, było punktem wyjścia dla całej późniejszej historii, o podobnego rodzaju walkach i niewiści między bogami: słońcem i księżycem. Mit, że jutrzenka jest matką słońca i umiera w chwili urodzenia się pięknego syna, wykwitnął z prostej obserwacji codziennego zjawiska, że jutrzenka gaśnie w chwili wschodu słońca. Od jednego wyrazu sanskryckiego *hari* lub *harit*, który znaczy tyle co świetne, błyszczące,—użytego dla odmalowania złotego blasku słonecznych promieni, wywodzi się długi, przez całe dzieje mitologii aryjskiej ciągnący się łańcuch opowieści, którego pojedyncze ogniwa ukazują nam się czy to jako wspaniały obraz rumaków, wbiegających co dnia na niebo z królewskim rydwanem Słońca—Apollina, czy to, jako mit o pięknej Charidzie, małżonce Hefajstosa, czy wreszcie echem odzywa się jeszcze w naszym polskim nazwaniu *zorzy* (M. Müller). Przykłady podobne możnaby mnożyć bez końca. „Mitologia jednak“—konkluduje Müller—„nie jest religią, tak jak rdza nie jest żelazem“.

Zdaniem więc jednych myślicieli mitologia jest wrzodem na ciele religii, zdaniem innych religia powstaje dopiero na ciele mitologii. Rozstrzygnięcie pytania co do pierwszeństwa jest prawie niemożliwe. Człowiek pierwotny, wchodząc w pole widzenia naszej historii, w niebogatym tornistrze swoim duchowym niósł oba gotowe te ładunki,

i to pomieszane ze sobą i skomplikowane nie do rozwikłania. Gdy więc pytanie rzucone najdawniejszej historii pozostaje bez odpowiedzi, postarajmy się na chwilę, jak nurek, spuścić jeszcze głębiej. Darwin twierdzi stanowczo, że zarodek uczuć religijnych napotykamy już w świecie zwierzęcym. Pies, który z uwielbieniem patrzy w oczy swemu panu, daje wyraz tym samym uczuciom, jakie poruszają nas na myśl o bóstwie. Jest to hipoteza, naturalnie, i nie będziemy tu jej rozstrząsali. Wszelako jedna różnica uderza nas momentalnie, gdy cytujemy ten przykład, mianowicie, że religia jest kultem istoty, czy istot nadzmysłowych, tu tymczasem mamy stosunek do przedmiotu danego bezpośrednio i dotykalnie. Za to z zupełną prawie pewnością powtórzyć możemy za Vignolim, że w świecie zwierzęcym spotykamy się z wyraźnym zarodkiem mitologii, czyli dokładniej, że ta właściwość naszej psyche, która sprawia, że w pierwszej epoce naszych dziejów wytwarzać musimy mity, jest wspólna także i istotom wyższym ze świata zwierzęcego. Jakaż to właściwość? Człowiek — napewno i zwierzę, — jak przemawiać zdają się wszelkie pozory, — rzeczy świata otaczającego, przedmioty, podpadające doświadczeniu biorą animistycznie, — ożywiają je. Wyrazowi *animizm* nadawano najrozmaitsze znaczenia, raz rozumiejąc przezeń najgrubszą postać religii, raz wiarę, że w każdym przedmiocie tkwi oddzielić się od niego dająca dusza, i to najczęściej człowiekowi nieobojętna, zwykle złośliwa i wroga (Gayau). My tu, idąc za Tylorem, używać będziemy tego terminu do oznaczenia, że człowiek pierwotny wszystko traktuje jako żywe, nie dochodząc, czy ruch lub działalność przedmiotu wywołuje dusza, gdyż do pojęcia duszy człowiek dochodzi stosunkowo późno, animistą zaś jest od najrańszej godziny swego obywatelstwa na ziemskim globie, a nawet — jak właśnie powtarzamy za

Vignolim, animizm cechuje już działalność psychiczną zwierząt. \*) Pies za zmiętym świstkiem papieru, który wiatr unosi, uganiać się będzie i warczyć nań w gniewie jak na istotę żywą. Vignoli, dobry znawca zwierząt, przytacza dużo przykładów o tem, jak jego czworonożni przyjaciele lękali się różnych specjalnie dla doświadczenia poprzebieranych „strachów na wróble“, kijów, poobwieszanych ludzkiem odzieniem, gdy tylko raz u straszka takiego dostrzegli jakieś poruszenie, lub usłyszeli głos, który pozornie wydawał. Widzieliśmy często, że konie płoszą się zupełnie na równi żywą i nieżywą przeszkodą, jeżeli tylko ta trochę się porusza. Wiele razy cytowano przykład dziecka, które wyrzutami obsypuje krzesło, ponieważ się o nie, biegnąc, uderzyło.

Co jednak odróżnia człowieka od zwierzęcia w tej sprawie, powiada Vignoli, to jest, że zwierzę w takiej chwili tylko interesuje się przedmiotem, np. lęka się go, kiedy ten bezpośrednio na nie oddziaływa. Gdy sunący się wiecheć po pewnym czasie się zatrzyma, pies przestanie warczyć i skieruje swą uwagę w inną stronę. Człowiek przeciwnie myśleć może o przedmiotach i wyobrażać je sobie, nawet gdy przestaną być bezpośredniemi doświadczeniem. Podobnie przedmiot, który w tej chwili jest mu obojętny, może on sobie wyobrazić swobodnie takim, jakim był przed chwilą, gdy go drażnił, lub niepokoił. Dla zwierzęcia więc przedmiot niejako każdorazowo powstaje i znika, dla człowieka, dzięki mocy wyobraźni, zaszczepia się na stałe i zakorzenia w myśli jako jeden i ten sam poprzez wszelkie zmiany. I tak pozostaje nam na zawsze w umyśle obraz rzeki, która, kiedyś wylawszy, porwała ze

---

\*) Taki animizm jest to właściwie to, co określa się zwykle jako „hylozoizm“, to znaczy, że wszelka materja traktowana bywa jako ożywiona.

swym nurtem drzewa i nasz dobytek, choć dziś sączy się ona, być może, tylko jako skromny i nikły strumyczek. Drzewo, w które raz uderzył piorun, zachowuje raz na zawsze dla naiwnego umysłu coś tajemniczego i niepojętego. Dlatego to człowiek pierwotny zupełnie wyraźnie myśli o zjawiskach, o rzeczach otaczających, nawet o narzędziach, które sam zrobił, jako o czemś żywym, jemu samemu podobnym. Opowiadanie, związane z przedmiotem, traktowanym jako żywy, jako działający z pobudek woli, jako myślący i czujący na wzór człowieka, jest *mitem*. Mitem jest opowiadanie o słońcu, jako o istocie, która codziennie „wyłamuje bramę ciemnej jaskini“; mitem opowieść o dwóch bliźniętach, z których jedno przyszło na świat, a drugie się narodzi, co jest obrazowem przedstawieniem dnia i nocy; mitem opowiadanie induskie o Saramie, która „wytropiła oborę pełną krów, odkryła rozpadlinę skały, odbyła długą podróż, pierwsza usłyszała ryczenie krów i pierwsza uwolniła je z zamknięcia“ Wszystko to jest tylko przenośnia, malująca walkę światła z ciemnością i rozbłyśnięcie pierwszych promieni poranka. W miarę rozszerzania się umysłowego widnokregu człowieka powiększa się i scena, na której rozgrywa się akcja mitów. Pierwotnie interesowały tylko przedmioty bezpośrednio otaczające, z biegiem czasu cały świat, ziemia, niebo, atmosfera zwłaszcza stają się areną, na której występują jako aktorzy przez człowieka za żywe uznane zjawiska. Z kolei, twierdzi Vignoli, czynność „mitotwórcza“ człowieka rozciąga się i na gatunki, na wyobrażenia ogólne. Początkowo pod obserwację podpadały tylko przedmioty konkretne, później przez porównywanie i zestawianie doszedł człowiek do ujmowania typów, a i te, rzecz prosta, stawały przed jego umysłem jako ożywione.

Tak więc te mity to nie innego jak tylko wiadomości człowieka o zjawiskach świata, co go otacza, wiado-

mości tłumaczone na specjalny sposób, jedyny zresztą sposób możliwy w owym czasie; mitologia to najwcześniejsza wiedza człowieka o wszechświecie, to najstarsza postać nauki o przyrodzie, to *fisica poetica* jak mówi piękne orzeczenie.

Jeżeli proces rozwoju myśli ludzkiej rozważać będziemy jako ustawiczne przeplatanie się dwóch faz kolejnych, uniwersalizacji i indywidualizacji, to w zastosowaniu do naszej kwestji powiedziec nam wypadnie, iż pierwsza czynność myślowa naszego przodka, pierwsze zainteresowanie się szerokim światem i nadawanie życia wszystkiemu, co pod zmysły, albo myśl podpadło, było uniwersalizowaniem. Z chwilą natomiast, gdy z tej ożywionej, lecz bezkształtnej masy wyklarowywać się zaczęły pojedyncze, już wyraźne i skrytalizowane mity, z których każdy był objaśnieniem czy symbolem jakiejś specjalnej dziedziny życia, czy przyrody, z tą chwilą wchodzimy w fazę indywidualizowania. Tu wykwitają mity słoneczne (the solar myths) jak je nazywa Müller, wszelkie mity o powstaniu nieba, gwiazd, ziemi, człowieka, które razem składają się na mądrość młodocianego syna ziemi. Czas nadaje tym pojedynczym ciałom niebieskim, czy zjawiskom ziemskim postać coraz to więcej i więcej zindywidualizowaną, obdarza je osobowością i wreszcie w postać zupełnie wykończonych i wyodrębnionych jednostek ludzkich obleka. Stajemy wobec Olimpu bogów i półbogów, jesteśmy w świecie politeistycznym, i rozumiemy, doszedłszy do tej pierwszej stacji w naszej króciutkiej dziejowej wycieczce, że słusznie nazwano wczesne wielobóstwo najdawniejszym systematem dynamiki. Każdy bożek jest uosobieniem jakiejś jednej „siły przyrody“, każdy jest motorem pewnej kategorii zjawisk, kluczem do jakiejś danej części natury. Ale politeizm jest jeszcze i czemś więcej, jest także i gotowym, skonsolidowanym systematem religijnym. Musimy



więc podejść do niego i z tej drugiej strony, masimy prześledzić, gdzie się rodzi i jak się kształtuje ten drugi pierwiastek, o którym milezeliśmy dotąd: uczucie religijne.

\* \* \*

Już w przykładzie Darwina ze świata zwierzęcego tkwiła potencjalnie myśl, że religja jest zawsze pewnym stosunkiem istoty wierzącej do tej, która stanowi przedmiot religji, a także przypuszczalnie i nawzajem stosunkiem istoty wyższej do tej, która jest jej wyznawcą. I faktycznie, choć najrozmaiciej i najbardziej między sobą sprzecznie brzmią różnych epok i kultur odpowiedzi na pytanie: co to jest religja?, w tym momencie zbiegają się ze sobą prawie wszystkie, że jest to pewnego rodzaju stosunek, mniejsza już na razie o to czy uczuciowy, czy prostego postaszeństwa i uległości tylko, czy też analogji, lub nawet pokrewieństwa.

Jakkolwiek głęboko zapuszcza religja korzenie swe w życie ludzkości, czy sięga jeszcze, jak chce Darwin, świata wyższych zwierząt, to jedno powiedzieć możemy z pewnością, że wyrasta ona na gruncie animizmu i pozostaje nieskończenie długo w zakresie wyobrażeń animistycznych, lub tych, co z nich czasem wyrosną. Feuerbach chwilę, w której religja przestaje być obrazową, a staje się systematem, czy teologją, uważa bezwzględnie za chwilę zgonu religji. Człowiek pierwotny, potknąwszy się o kamień, zadrasnąwszy o nizko wiszącą gałąź, nie tylko uważa te przeszkody za istoty żywe, ale co więcej przypisuje im wprost bezwiednie pewne intencje względem siebie. Wszystkie napotkane przedmioty są w jego myśli życziwe lub nieżycziwe, obojętność jest dla niego zupełnie nie do pomyślenia. Z biegiem czasu z całej nieskończoności przedmiotów wysuwają się na pierwszy plan

w umyśle niektóre specjalnie np. życzliwe, albo szczególnie w pewnych celach przydatne. Gałąź, dzięki której udało się w ostatniej chwili wyratować z topieli, strzała, która pokonała zaciętego wroga, uchodząc zaczyna za pewnego rodzaju „omen“. Człowiek nosi na sobie, albo przechowuje u siebie, przedmioty, które mu raz szczęście przyniosły; specjalną cześć żywi dla miejsce, które były widownią jakiegoś wydarzenia cudownego. Tu wszystko już jest nie tylko żywe, ale co więcej: jakieś niepojęte, niezwykle, wyższe i—święte. To *fetysze*. Życie przedmiotów martwych nie jest dla człowieka pierwotnego niczem niezrozumiałem, przeciwnie, martwota jest dlań niepojęta, i niemożność oswojenia myśli z martwotą stanie się z czasem punktem wyjścia dla nieskończonego mnóstwa wierzeń, teorii nieśmiertelności duszy, wiary w istnienie duchów, kultu umarłych. Śmierć,—nie życie,—jest jeszcze w oczach naszej kultury i naszych czasów wielkiem misterjum przyrody.

Tu zatem we czci fetysza występuje po raz pierwszy to, cobyśmy mogli nazwać *poczuciem świętości*, tu w najgrubszej formie nasuwa się nam przed oczy misterjum religijne. W miarę postępu kultury i fetysze ulegają rozwojowi, rozszerza się zakres wiedzy człowieka, rozszerza i suma przedmiotów, które uderzają umysł jego swą nadprzyrodzonością, mocą czy doskonałością. Fetyszami mogą się stawać rzeczy dalsze i mniej zmysłowe. W miarę też jak człowiek początkowo bezbronny, nędzny, uciskany przez przyrodę i ginący tysiącami w nierównej z nią walce, zaczyna wraz z rosnącą kulturą rosgospodarowywać się i coraz pewniejszą stopą chodzić po ziemi, wówczas i wyobrażenie jego o własnej istocie zaczyna rosnąć w cenę i nabierać mocy. Jeżeli początkowo czcił i nabożnie słał się do stóp każdej siły przemożnej, każdego dzikiego zwierza, który czyhał na jego bezpieczeństwo, jeżeli wi-

dział bożka w niedźwiedziu jaskiniowym, wilku, krokodyła, to teraz zaczyna fetysza swego *uczłowieczać*. Dawniej, jeżeli nawet bóg miał ludzką postać, — bo prawem psychologicznym jest, że człowiekowi wszystko najłatwiej wyobrazić sobie po ludzku, — to musiał mieć albo pazury potwora, albo łeb jakiejś bestji, która budziła postrach swą siłą fizyczną; albo kopyta potężne i miażdżące, albo coś w tym rodzaju. Gdyby bożek był istotą ludzką, nie mógłby wzbudzić czei dla siebie, byłby tak samo pożałowania godny, nędzny, osaczony niebezpieczeństwami i z ledwością kruche swe życie ochraniać umiejący. Za prawdą tego twierdzenia przemawiają te liczne potwory pół-ludzkie pół-zwierzęce, znajduwane tak często wśród szczątków i wykopalisk.

Chwila, kiedy Bóg człowieka staje się człowiekiem, jest chwilą tryumfu, zwycięstwa człowieka nad przyrodą; dotychczasowy niewolnik sił wrogich, żywiołów, zwierząt drapieżnych staje się panem stworzenia, i wszystką naturę i jej zjawiska podporządkowuje przedmiotowionej i uosobionej swojej potędze. W gajach świętych, na niewprawną ręką ciosanych ołtarzach zjawia się po raz pierwszy kształt człowieka. Pierwsza modlitwa, zaniesiona do istoty o postaci człowieczej, jest uroczystością koronacyjną nowego władcy przyrody, jest świętem namaszczeniem dzisiejszego króla ziemi.

I znaleźliśmy się znowu w świecie politeistycznym. W rzeczy samej w politeizmie spotykają się ze sobą po raz pierwszy, aby na długi czas spoić się ze sobą: mitologia i religja. Politeizm był pierwszym wykończonym poglądem na świat człowieka, zamkniętą w sobie całością, systematem, który odpowiadał wszystkim potrzebom jego ducha; zaspakajał wszystkie pragnienia duszy ludzkiej, tak intelektualne czysto, jak uczuciowe, a nawet

społeczne. Zamknięty już jest w takich ramach obraz stosunku człowieka do świata, człowieka do człowieka, bogów do ludzi.

A jednak i w takim skończonym systemacie dopatrzeć się zawsze możemy naszych obu założonych składników, w nurcie szeroko i potężnie rozlanej rzeki odróżnić dwa strumienie, toczące każdy nieco odmiennej barwy wody.



*(Dokończenie nastąpi).*



JAN LEMAŃSKI.

## KAPITALISTA.

Kapitał i Praca.  
Materja i Siła.  
Ciało i Duch.  
Zło i Dobro.  
Ciemność i Światło.  
Aryman i Ormazd.  
Piekło i Niebo.  
Choroba i Zdrowie.  
Śmierć i Życie.

### I.

Było to w okresie powstawania mitów.

Bóg pogański, Jowisz, zawołał również poganina, Merkurego, i mówi mu:

— Leć no, Merkury, na ziemię i przynieś mi tu gliny, guana, cegły w proszku i cokolwiek szczeciny albo sierci.

— Na co to?

— To już moja rzecz.

— Ale bo jest glina różna: bielsza, żółtsza, tro-

chę z piaskiem, zduńska... Tak samo i szeciec, jak do szececi: bywa szeciec świńska, leśna, barwierska czyli oset folarski. Cegła też, jak która...

— Weźmiesz gliny palehnej, tłustawej. Szececi najlepszej — z Prus. Cegły — z warszawskiej kamienicy tandetnej, bo to cegła krucha, zdatna na proszek. Po guano musisz biec do Peru. Cheć, uważasz, z tych materjałów stworzyć coś.

— A to będzie coś kapitalnego.

— Nie mylisz się. Będzie to rzecz kapitalna: będzie to Kapitalista.

— Kapitalista? I cóż nam tu po nim, na Olimpie?

— Nie nudź. W każdym stworzeniu boskiem, czyli mojem, jest jakiś pożytek. Ruszaj!

— Lecę.

I Merkury poleciał.

Poleciał do Peru po guano; do Prus — po szececinę; po cegłę — do warszawskiej kamienicy tandetnej; po glinę do Saksonji.

Z tym materiałem powrócił.

Jowisz umieścił gliny wraz z guanem, wsypał to do sproszkowanej cegły i dorzucił szececiny. Następnie zwrócił się w kierunku Prus, zaczerpnął stamtąd powietrza i tehnął je w on materiał.

Natychmiast zjawiła się postać samozadowolona, arogancka, mrużąca oczy z wysoka, postać o trzech, jak kamieniczne gzemsy, podgarlach; postać z dwiema fałdami na karku; postać z kilkopiętrowym brzuchem i z krogalczym, jak łuk gotycki, nosem.

Jowisz spojrział na to jestestwo i pomyślał sobie: I to ja, bóg pogański, stworzyłem ten gotyk? No, ale nie, zobaczymy.

Pomyślawszy to, zwrócił się do nowotworu i mówi:

— No, jakże ci się przedstawia mój Olimp?

Kapitalista rozejrzał się w koło i powiada:

— Phe! Sztuka dla sztuki. Rozrzutność. Zbytne rozszerzanie horyzontów. Lazuru nadmiar, blasku; za dużo obłoków niepotrzebnie się bez pożytku, widzę, próżniaczo po niebie włóczących. Przestrzeń nieuregulowana, pusta. Nic solidnego, nie o coby można zębami zahaczyć. Żadnej realności. Nie widzę kominów fabrycznych, posesji dochodowych, kanałów odchodowych. Niema banków, sądów, więzień, koszar, biur rejentalnych, kafe-szantanów, kantorów stręczeń.... Kultury tu niema, panie.

Jowisz słuchał, słuchał, ale nie mógł wytrzymać dłużej, gdyż, jako bóg pogański, nie należał do cierpliwych.

— Won stąd! — krzyknął na kapitalistę: — Idź sobie precz, na ziemię, i bądź tam trägerem kultury — kulturträgerem.

## II.

Kapitalista, spadając na ziemię, wydobył, nie wiadomo skąd, wielki arkusz polisy ubezpieczeń od upadków niebieskich, rozpostarł go, niby spadochron, i spłynął sobie na ziemię zdrowo i cało.

Niezwłocznie po tem z nieba zstąpieniu, nie namyślając się długo, instynktem jakimś wiedziony, zaczął działać.

Przedewszystkiem ulepił sobie z gliny skarbonkę i zaczął do niej wrzucać znalezione przedmioty świecące, jako to: muszelki, kamyczki drogie i inne błyskotki. Przedmiotów tych, po włożeniu ich do skarbonki, przez maleń-

ką w jej boku szparkę oglądać nie mógł, i zresztą nie miał na to czasu, zajęty ciągiem, dalszem zbieraniem, — ale cieszył się na myśl, że już świat z tych rzeczy cennyh on, kapitalista, ogołocił i zrobił o te świecidełka uboższym. Świat, skoro się o jego skarbach dowie, będzie się gryzł, aż pęknie z zazdrości. Bo cennaść rzeczy dla kapitalisty polega na tem, że ktoś tej rzeczy potrzebuje, pożąda jej, a on ją ma, posiada i nikomu nie da. Niech sobie ludzie pękają z żądzy i z zazdrości. Jeżeli wszyscy pękną, wtedy na świecie zostanie on sam, kapitalista. I zostawszy sam, zawiesi pracę kapitalizowania i będzie sobie żył z renty.

Renta, to kapitalistyczny dogmat. Żyć z renty, to znaczy żyć z dogmatu, żyć teologicznie, być wyższym od samego boga pogańskiego, Jowisza.

Po pewnym czasie, który nazwał epoką skarbonko-wo-pierwotnie-muszelkową, Kapitalista złożył skarbonkę z kamyczkami drogimi i z muszelkami w muzeum—*Capitalium*, poczem wstąpił w epokę żelazną. Mianowicie, kupił sobie kasę żelazną, wytrwałą na ogień i zabezpieczającą mienie od niepotrzebnej, natarczywej ciekawości niemających ziemian, i zaczął chować tam złote krążki i kosztowne papierki procentowe\*).

Chował, chował i czekał, rychło-li świat pocznie z zazdrości pękać.

I z przyjemnością widział, że w świecie robi się wielka, coraz większa rysa, podobna do szpary w skarbonce. Marzyło mu się w snach, że oto już on, spracowany, a raczej korzystający z prac cudzych, zasłużony, czcigodny kapitalista, w tę szparę światową jest złożony,

---

\*) Rzeczem tym, ponieważ się za nie pije i je, dał nazwę pijejeniądz, czyli pieniądz.



jak w mauzoleum i pochowany; że szpara się zamyka, a z nią że się zamyka na czysto i światowy bilans, bez salda. Świat pożądał tyleż właśnie, ile posiadał on, kapitalista. Świat cały był „winien“, a on kapitalista, jest „ma“; świat cały jest „mniej“, a on, kapitalista, jest „więcej“; świat cały jest „minus“, a on, kapitalista — „plus“. Te wielkości nawzajem się znoszą. Zniosły się, pozostaje zero. Koniec wszystkiemu. *Finis orbis terrarum.*

Tak marzył kapitalista. I marząc tak, rozwijał systematycznie, historycznie i dogmatycznie swoją działalność. Dogmat — praca na kapitał. Nie kapitał dla pracy, tylko właśnie praca na kapitał — to dogmat. System do wprowadzania w czyn tego dogmatu: wytwarzanie i rozszerzanie w świecie szpar, pęknięć, rozdwojeń, rozłupań i rozterek; hodowla żądź zazdrości, nienawiści, bójk i kafezantanizmu. Dogmatem również jest kapitalisty to, że oprócz kapitału niema żadnych innych Jowiszów. Był niegdyś Jowisz w epoce diluwialnej, ale dziś jedynie włada światem on, kapitalista. Wolno mu przecież świat ten rozłupać, rozszyć, rozdwoić, na miazgę zetrzeć, w proch obrócić.

Niech no ten Jowisz, jeżeli gdzieś tam w muzealnym pyle przetrwał do dziś, spojrzysz w historję, a ujrzysz, co on, kapitalista, ze światem wyprawia.

Kto świat wziął w posiadanie hipoteczne? On, kapitalista, czy Jowisz? Jowisz patrzy na świat z Olimpu i widzi go tylko w połowie, jednostronnie. A on, kapitalista, jest na tyle dowcipny, że świat na dwie półkule rozszyć, jak pomarańcz, i wysysa — posiada. Władęą tedy jest on, kapitalista. Świat go się boi, zazdrości mu, nienawidzi go, przeklina. Jakiż większy może być dowód władztwa?

## III.

Takimi rozmyślaniami kapitalista, wbity w ambit, wyrzekł się pogaństwa, czyli wiary w swego stwórcyca—Jowisza, przyjął chrystjanizm i postanowił wstąpić w związek matrymonjalny, również z chrześcijanką.

Żonę taką znalazł bez trudności, ponieważ chrześcijanki lubią mieć za mężów nawróconych pogan, o ile ciż są kapitalistami.

Ślub kapitalista miał najdroższy w taksie. Uczta weselna była tak słona, że nikt na niej nie mógł być kwasy. Kiedy przyszło do wznoszenia zdrów, powstał ojciec panny młodej i rzekł:

— Najdroższy zięciu, najdroższa córko i goście najdrożsi. Żywot mój leży przed wami uregulowany i prosty, jak kanał. Cegielka po cegielce budowałem go długo, przy pomocy swoich dłużników, których sam powtręcałem w długi. Przewodniem hasłem była mi praca, opromieniona miłością... dochodów. Przetom się dohodował szczęścia, które może sobie kpić z wszelkiej drożyzny. Tak, moje dzieci kochane, wystarczało, abym się do kogokolwiek zwrócił i szepnął mu: „panie, ja jestem bogaty“, albo: „proszę pani, ja jestem bogaty“, żeby w tym samym momencie ten ktoś, ten pan, lub ta pani stawała się moją najpokorniejszą niewolnicą, moją *najdroższą*, uważacie. Tak, moje dzieci, rośnijcie, mnożcie się i dodawajcie sobie, nie sobie nie odejmując i z nikim się nie dzieląc. Niech koleje waszego życia udzielą wam jak najwięcej udziałów procentowych. Niech droga wasza będzie pełna

rzeczy drogiech, najdroższych, najkapitalniejszych i najkapitalistyczniejszych. Wiwat!

Tu nowożeniec, kapitalista, któremu panna młoda trzymała nóżkę na lakiierku bardzo drogim, nie przerywając tego drogoocennego dotknięcia, uniósł na jednej nodze pół swego tałowia i rzekł:

— Najdroższy teściu, żono najdroższa i najcenniejsi moi goście. Niech mi będzie wolno — a cóż mi nie jest wolno? — podnieść ten kielich i wypróżnić jego drogą zawartość — płacną po piętnaście rubli batelka — za zdrowie pracy! Niech żyje praca cudza... chciałem powiedzieć — codzienna. Niech żyje obowiązek cudzy... chciałem powiedzieć — cywilny, obywatelski, no i obowiązek wojskowy, polegający na obronie prawa, zmagającego do pracy cudzej... przepraszam — codziennej.

W tem miejscu kapitalista, czując wzmagający się prąd w swoim lakiierku, wpadł w jakąś ekstazę weselną i deklamował z rosnącą werwą:

— Tak, panowie! Praca! Czyn! Czyn! Czyn! A czyn to znaczy — akcja. Rozumiecie państwo — akcja, czyli udział. Posiadać udział procentowy to znaczy działać, mieć udział w tem życiu, mieć dział, należeć do podziału władzy nad światem, władać. Panowie! Niech żyje taka działalność. Hej, młodzi przyjaciele, hej ramię do ramienia, opaszmy ziemskie kolisko akcyjnymi przedsiębiorstwami kolejowymi, perkalikowymi, bawełnianymi i inymi. Wiwat! *Vive la bourse! La bourse* panowie! *La bourse* — worek i *labor* — praca! Wiwat!

## IV.

Żona przyniosła kapitaliście, w dodatku do swej osoby, posag, czyli wiano.

Gdyby kapitalista ożenił się był wówczas, kiedy jeszcze należał przekonaniemi do kultury pogańskiej, byłby musiał za żonę odpowiednie *quantum* muszelek świecących „zapłacić“; ale kapitalista zchrystjanizowany otrzymuje za żoną pewną dopłatę sam.

Skąd pochodzi ten zwyczaj wyposażania chrześcijanek?

Posag jest jakimś do panny dodatkiem, jakby nagrodą za to, że ktoś się wogóle z tą panną ożenić zdecydował. Jeżeli zważymy, że im panna bogatsza, tem dostaje większy posag, dojsć musimy do wniosku, że pojąć bogatą pannę za żonę, jest uczynkiem, wymagającym wielkiego bohaterstwa, jest rzeczą tak ryzykowną, że człowiekowi, który się na ten czyn zdecyduje, należy płacić grubo.

Tak też się to zazwyczaj rozumie.

Chrześcijanin, czyli mąż o kulturze stosunkowo nowszej, żeniąc się z panną o kulturze stosunkowo starszej, do poganizmu bardziej zbliżonej, pobiera za to sowitą nagrodę w postaci wiana.

Przedewszystkiem wiano to składa się z *gotówki*.

Gotówka.

Jeżeli *got* pisać przez wielkie *G* i przez dwa *t*, otrzymamy nazwę *Gott* — Bóg. Jakoż dla niektórych narodów (powiedzmy dla Gotów, dzieląc ich na Ost-gotów i West-gotów) gotówka zastępuje miejsce Boga. Istotę

gotyku stanowi zatem niezmierne zbliżenie Boga i gotówki, zbliżenie takie, że stanowi zupełną niemal identyfikację.

Był czas, na długo przed erą chrześcijańską, że te dwa tak sprzeczne zdawałoby się pojęcia, jak boskość i gotowizna, osiągnęły swój syntetyczny wyraz w postaci *złotego cielca*, któremu oddawano cześć bałwochwalczą. Widocznie, jako pamiątka po tym kulecie, przechował się u nas wyraz „gotówka“, albo inaczej „gotyk“.

Gotówka, w języku kapitalistycznym, czyli w gotyku, znaczy więc cześć dla Boga. Albo na odwrót, po gotycku mówiąc, Bóg (*der Gott*) znaczy miłość gotówki.

Pojmujemy teraz dostatecznie, że kapitalista, w imię swoich właśnie kapitalistycznych zapatrywań, nie może nie przyjąć chrystjanizmu, osobliwie gotyckiego.

Co prawda, kapitaliście nietrudno byłoby zdecydować się na przyjęcie chrystjanizmu rzymskiego. W języku rzymskim gotówka — *pecunia* wyprowadza się od *pecus* — bydło.

Utrzymują historycy, że to pochodzi stąd, jakoby w starożytności walorem najwyższym, odpowiadającym wartości dzisiejszego pieniądza, było, że się tak wyrazimy, bydłactwo. Kto rozporządzał największą ilością bydłactwa, ten uważany był za człowieka, posiadającego największy w świecie walor, największe znaczenie. Później dopiero, mianowicie pod wpływem greckim, człowiek znaczył coś ten naprawdę, który miał „talenty“. Nie jeden talent, broń Boże, tylko dużo, dużo talentów. Grek, albo późniejszy Greko-Rzymianin ten był coś wart, któremu Bóg dał dużo talentów takich, z których jeden, o ile był srebrny, był wart około rubli dwustu, a o ile był złoty — około rubli dwóch tysięcy.

Za naszych dopiero czasów, ludzie doszli do tego — upadku powiedzielibyśmy, należąc do kapitalistów; do tego

szczytu, powiedzielibyśmy, do kapitalistów nie należąc — powiedzmy więc dla nie obrażania ni tych, ni tamtych, do tego stanu, że nadaje człowiekowi znaczenie *talent* jeden. Dziś dopiero, po tak długich wiekach, doszliśmy do tego, iż na określenie czyjejs wartości używamy zwrotu: „on ma *talent*“, albo: „to jest człowiek z *talentem*!“

Są jeszcze i do dziś ludzie, mówiący: „o to jest człowiek z gotówką“! Ale ten, kto tak mówi, popełnia dwuznaczność. Mówiąc o kimś, że jest z gotówką, nie daje nam ściśle wiedzieć, czy to człowiek pobożny, czy bogaty. To tylko możemy napewno wiedzieć, że człowiek z gotówką jest człowiekiem gotyckim.

W Polsce był używany grosz (*grossus*), talar (*taler*)—oba wyrazy ost-gotyckie; prócz tego był w użyciu dukat—wyraz west-gotycki, pochodzący stąd, iż dukatami rozporządzali głównie „duki“, tak jak teraz się mówi *luidor* (*Louis d'or*).

Polska nazwa „pieniądz“ oznacza coś, jakąś substancję, czy jakiś wogóle walor, za który (patrz wyżej), można pić i jeść. Kto więcej pije i je, ten po polsku jest bogatszy; albo na odwrót; kto u nas bogatszy, ten więcej pije i je. Co kto woli.

Inny wyraz polski na oznaczenie tegoż obiektu jest: „złoty polski“.

Właściwie należałoby mówić gramatyczniej: zło, ty polskie! Albo jeszcze lepiej: ty, zło polskie! Albo jeszcze i już najlepiej: o ty, polskie zło!

Albo jeszcze, i już naj-naj-najlepiej: Gotówko! O ty gotyckie dla Polski zło!

Takiej to gotówki dostała żona kapitalisty w posagu dużo, dużo. Dużo więcej, niż parę set złotych talentów (patrz wyżej).

Prócz tego dostała posag pani kapitałiscina w naturze.

Klejnótów świecących piękniej, niż perłowa macica, funtów sto, łutów pięć i karatów dwadzieścia trzy i pół.


Pierścieni tyle, iż na każdy palec, u nóg i u rąk licząc palcy po pięć (niektórzy kapitaliści z nadmiaru ciała pozwalają sobie — albo to im nie wolno? — po palcy sześć i więcej) — czyli na palcy dwadzieścia tych pierścieni nasadzwszy do pełna, jeszczeby zostało ich tyle, iż możnaby je mierzyć garncami.

Dalej: zegarków, broszek, szpilek, łańcuszków, spiniek — korey dwa.

Sreber stołowych na tyle osób, ażeby starczyło, gdy wypadnie jeść i pić (albo pić i jeść) państwu młodym i ich krewnym i znajomym, aż do dziesiątego pokolenia włącznie.

Obrusów, serwet, prześcieradeł, powłoczek, poduszek, kołder, materaców, majtek, koszul, skarpetek, chustek, kołnierzyków, mankietów, spódnic, kalesonów, kaftaników, matinek, szlafroków, pantofli, pantofelków i innych garderobianych przynależności tyle, żeby starczyło dla całego kapitalistycznego potomstwa, gdyby toż, ziszczając błogosławieństwo Boga (Gott), rozmnożyło się na świecie jak piasek morski.

O porcelanie stołowej, o serwisach dziennych i nočných, o różnych amywalniach i gotowalniach (znowu got!), o przeróżnych naczyniach pokojowych i kuchennych, o różnych far-furkach i raj-furkach i innych furkach, furach, powozach, karetach, karocach, ekwipażach, cugach, furmanach, forysiach, stangretach, folblutach, drygantach, amantach i innych kapitalistycznych akcesorjach — nie mówimy.



## V.

Kapitaliście nieznanym jest ten stan, który się nazywa brakiem. On ma wszystkiego nadmiar, wszystkiego ma zapas. Kapitalista ma tak dalece wszystkiego zapas, że można o nim słusznie powiedzieć, że się zapasł. Bo kapitalista, po pewnym czasie kapitalizowania, czyli gromadzenia kapitału na zapas w kasie ogniotrwałej, sam się do tej kasy, do jej grubej pękatości upodabnia.

Kapitalista to akumulator pieniędzy, do którego skierowują się ludzkie pożądania, a który je znowu, te pożądania skierowuje do pracy na siebie, do gromadzenia coraz większych zapasów, do coraz większego siebie zapasania. A zapasanie to prowadzi czasem do jaknajwiększego rozpasania.

— *Mais que voulez vous? c'est la vie.*

— *Oui, cest la vie.* Tak, to jest życie, ale życie oparte na lęku, na strachu, na obawie, iż kiedyś tam może jemu, kapitaliście, zabraknąć.

Podstawą życia kapitalistycznego jest strach. Tak, to jest życie, ale życie — straszne.

Kapitalista, przed nasyeniem swej kasy ogniotrwałej, jest żądny, a po jej nasyeniu jest po-rządny.

Kapitalista, przed napełnieniem swej kasy, wyznaje teorię „brania“, a po napełnieniu kasy, wszystkiego wszystkim zabrania, wszystkiego broni.

Kapitalista wyznaje hasło: *toujours prendre, jamais rendre, encore prétendre.*



Kapitalista ma ogromną skłonność do prawa i z prawem ma styczność: jest prawy, poprawny, wprawny (w operowaniu giełdowym), zaprawny (do brania), odprawiający nabożeństwo złotemu cielcowi, lubiący bogate wyprawy ślubne i wyprawy po złote runo z owiec, które się nazywają praconośniami praconosami (merynosami)?

I rzecz ciekawa i szczególna, że te owce, te woły robocze, które pracę kapitalistom dają, nie mają prawa nosić nazwy pracodawców; że tytuł ten pracodawcy uzurpował sobie kapitalista. Pracodawca, to ten, co pracę daje, więc zdawałoby się — pracownik, robotnik, dający pracę swoją kapitaliście. Otóż, widać dla zapobieżenia temu, aby nie stało się zbyt widocznem, skąd praca bierze początek i gdzie jest źródło bogactwa narodowego, Kapitalista tytuł pracodawcy zabrał dla siebie, pracodawcą nazwał się sam, że niby pracę daje on. Tymczasem kapitalista pracę bierze, a nie daje, on z pracy korzysta, w celu gromadzenia coraz to większego kapitału i umieszczenia go w ogniotrwałem więzieniu, ażeby się stawał przez to niedostępniejszym dla pracujących i był dla nich bodźcem do coraz większych pracowitszych wysiłków, a dla kapitalisty — żeby był coraz większym zapasem, który posiadwszy, możnaby się następnie jaknajbardziej rozpassać.

W ekonomjach politycznych stale kapitalista nosi tytuł pracodawcy, a robotnik — pracobiorecy. Kiedy tymczasem rzecz należałoby przemianować naodwrot: kapitalista winien się nazywać pracobiorecą, a robotnik — pracodawcą. A ponieważ bogatym jest ten co daje, a nie ten co bierze, więc by się stało jasnem, że właściwie bogactwo narodu jest nie w posiadaniu i gromadzeniu kapitalistycznym, jeno w pracy. Praca zaś nagromadzona staje się bogactwem narodu wówczas, jeżeli nie tężeje, nie kawali

się w szychty i pokłady w kasach ogniotrwałych, tylko rozplywa się, jak krew, po całym organizmie, jeżeli się właśnie spala, jeżeli ogień ludzkiego żywota syci, jeżeli sytym jest nie sam jeden kapitalista, ale cały naród.

## VI.

Główna nauka, główna wiedza kapitalisty polega na tem, jak *stopę procentową* mocno stawiać i jak ją, stopę procentową, podnosić. Mówi się u nas, że ktoś stoi na dobrej stopie, to znaczy, na stopie procentowej. Gdzie indziej za dobry stan kraju uważa się małość stopy procentowej, ponieważ wogóle małość stopy jest czemś pięknem. U nas zaś stopa jest wielka, wielka mastodontycznie. Bywają przykłady, że za sto pobiera się procentu trzysta i więcej. Jest to stopa jakaś przedpotopowo, ichtio-saurycznie pterodaktyłokrokodylicznie potworna. Zdawałoby się, że na tak wielkiej stopie procentowej kraj stojąc, powinien stać dobrze. A tymczasem bogactwo jest wszędzie, tylko nie u nas. Skąd ten dziwny fenomen? A w kraju, gdzie stopa procentowa jest najmniejsza, jest najbogaciej. Dlaczego? Gdyby więc kapitał nie stał na żadnej stopie; gdyby mienie samo, samo posiadanie kapitału nie przynosiło żadnych zysków, gdyby kapitał był na nie: to, oczywiście, kraj taki byłby najbogatszym.

Staje się dla nas rzeczą jasną, iż duża stopa procentowa, czy to w przedsiębiorstwie, czy to w rencie jest urządzeniem społecznem lichem, jest — lichwą.

Lichwa to rzecz — licha warta; tak samo warci są licha ci, którzy tę lichwę uprawiają, ci, którzy lokują swe kapitały na dobrą stopę procentową.

Wielka stopa skłania kraj do nieruchomości, lub co najwyżej do ruchu bardzo powolnego. Mała stopa znamiętuje rozkwit, szybki pęd życia.

Kapitaliście wszelki szybki ruch życia jest przykry. On kocha wszelką nieruchomość. On chciałby życie całe zamknąć w ogniotrwałej kasie, schować kluczyk do kamiżelki i ciągnąć z kufła piwo, albo wino z buteleczki.

Co leży, to mu miłe; to co fruwa, to co pędzi, co mknie szybko, co wybucha jak piorun, co szybkuje, co błyska, jak myśl — to dla kapitalisty nienawistne. To wszystko nazywa on fantazją, bajką, histerją, teorią, wymysłem, warjactwem, bo to wszystko pozbawione jest należytej stopy procentowej.

— Życie — powiada on — to znaczy zaspakajać apetyty fizjologiczne i basta. Onby te wszystkie wynalazki histeryczne, panie, ten cały tak zwany rozmach życia nadpoziomnego nabił w armatę i wystrzelił. Kapitał, panie, to grunt, jeżeli *nota bene* odpowiednio zahipotekowany i na należytej postawiony stopie procentowej. Dobrze zjadł, naodecinał sobie kuponów, panie, wyspał się, poceekał się z żonką, *da capo* coś przetrzącił, znowu się wyspał, obejrzał barometr, uregulował zegarek, i żołądek, i puls, i basta.

— A jutro cóż się będzie robiło?

— Jutro? Jutro to samo.

— A pojutrze?

— Pojutrze? No, wypielęgnować dzieci, pouczyć je różnych nauk...

— Jakich nauk?

— Przedewszystkiem, aby umiały stopę procentową

Slinks.

krzepko stawiać, podnosić ją i znowu stawiać. Oto jest, proszę pana, postęp.

— Bardzo niebezpieczny dla samego pana, panie kapitalisto.

— Czemaż tak?

— Bo jeżeli teraz za sto rubli bierze pan procenta rubli trzysta; jeżeli syn pański, postąpiwszy w tym postępie, będzie brał za sto rubli rubli pięćset; jeżeli prawnuk za sto rubli będzie zdzierał rubli tysiąc; to a jeszcze dalszych pokoleń, mając rubla, będzie można dostać za niego milion. Zastanów się pan: milion będzie wart rubla. W cóż się obróci wartość kapitału?

— Ale proszę nie zapominać, że ten kapitał, chociażby w postaci rubla, będąc posiadał ja, kapitalista, albo mój wnuk, prawnuk. A milion będzie zawsze tylko pracą, będzie zawsze obowiązkiem milionów pracowania na mnie.

## VII.

— Ale i pan, panie kapitalisto, niech nie zapomina pan, że w milionie może się obudzić świadomość; że miliony te mogą nareszcie powiedzieć sobie: dość! że mogą pana, panie kapitalisto, który uosabiasz moc rubla, nabić w armatę i wystrzelić. Co?

— To jest, panie, teoria, teoria anarchistyczna, utopia, mrzonki, panie, zawracanie głowy. Jak świat światem, kapitał zawsze będzie panował i basta!

— A czy pamiętasz pan, panie kapitalisto, czas, kiedyś dopiero powstawał z gliny, z guana, ze szcęciny i z cegły w proszku? Ten czas, kiedy cię stwarzał Jowisz? Łakomy jesteś antenatów i szcęcisz się nimi, to powinieneś szcęcić się i swoim protoplastą — guanem.

— Proszę mnie nie obrażać.

— Nie obrażam pana, tylko przypominam mu Księgę Rodzaju, Genesis. Był czas, że kapitału nie było; może przyjsię czas, że kapitału nie będzie. Kapitał to rzecz tak przemijająca i krucha, jak to ciało twoje, które choć okrągłe jak zero, i opiera się na wielkich, pulchnych stopach procentowych, będzie rosło, łąściło, aż zepsuje się i ulegnie rozkładowi. A wówczas zacznie się życie inne.

— Jakież to życie się zacznie, panie poeto?

— Życie samej pracy, bez kapitału: życie samego dobra, bez żadnego licha, życie bez lichwy. Takie życie się zacznie, panie kapitalisto! I biada wówczas tobie. Nie cię nie obroni, nawet to, że przyjąłeś chrystjanizm, który jest dla ciebie tylko szyldem dla zwiększenia swojej procentowej stopy. Jowisz, który cię stworzył z guana, gliny, szcęciny i sproszkowanej cegły; Jowisz, który nie zadowolony ze swego dzieła, strącił cię z Olimpu na ziemię, widząc, żeś z pobytu na niej nie skorzystał, a o Olimpie zapomniał: Jowisz napowrót cię na one pierwiastki, z których cię był złożył, rozłoży. Guano twoje powróci do Peru; glina do Saksonji; szcęcina—tam gdzie jej rość najstosowniej; proszek ceglany — otrzyma w spadku warszawska kamienica tandetna; a duch twój nieszczęsny będzie się tułał w krainie ciemności, gdzie panuje najwyższa procentowa stopa.

A my, poeci, będziemy się przyglądali weselnie twoim mękom pośmiertnym. Będziemy patrzyli z wyżyn Olim-

pu na pokutne tałactwo twego biednego ducha. A duch twój wzniesionemi ku nam nikłemi cieniami rąk, będzie nas błagał jak o ratunek, jak o zbawienie, o jedno słowo, któreby rozwidniło mu ciemności. I stanie ci się jasnym, że nie w twojej stopie procentowej moc, jeno moc w ożywczem, twórczem słowie, które nowy żywot zapala.

## VIII.

Dziś na okrągłakach ulicznych porozlepiane sążniste plakaty żałobne, najniezawodniej najdroższe w taksie; po gazetach na całej stronie, albo i na dwóch stronach widać suto płatne obwieszczenia pozgonne; w paru kościołach odprawiają się solenne, drogo opłacone egzekwie; sklepy ogrodnicze otrzymały mnóstwo zamówień na wieńce trumienne, tak, że nie mogą nastarczyć kwiatów; magazyny bławatne przygotowują na gwałt olbrzymie wstęgi z napisem: „Nieodżałowanemu“...., „Czeigodnemu“...., „Zaenemu“...., „Zasłużonemu“...., „Dostojnemu“...., „Ojcu ojczyzny“...., „Ojcu dzieciom“...., „Mężowi żony własnej“...., „Mężowi żon cudzych“...., „Posiadaczowi“...., „Opiekunowi ochron“...., „Kuratorowi szkół“...., Członkowi klubów wszystkich i niektórych innych“....

Co się stało? Czemu tak właściciele remiz przygotowują, myją i czyszczą najdroższe karety, które mają iść na Powązki? Czemu tak dziennikarze szperają po kro-

nikach heraldycznych i koncepcją najdroższe w cenniku nekrologi, czyli trapie słowa?

Skąd ten wrzask? ten tumult? ten lament oliejalny?

Co się stało?

Umarł kapitalista.

Pomimo, że go leczył najdroższy doktor w najdroższym kurorcie; pomimo, że najwyszukańsze miał lekarstwa; pomimo, że przez czas jego choroby leżała na ulicy przed jego domem słoma, aby mu nie przeszkadzało umierać turkoczące życie; pomimo, że modlili się za niego po kościołach i odprawiali na jego intencje wotywy najpobożniejsi, najbardziej renomowani pod względem wpływów swoich w niebie księża: pomimo to wszystko — umarł.

Umarł, pomimo nagromadzenia przez całe swoje życie tych wszystkich drogiej rzeczy, które stanowią jakby życia paliwo. Ale piec, czyli ciało kapitalisty, nie wytrzymało tego nadmiernego paliwa zapasu i rozżyło się jak piec i jak piec przepalony zaczęło ulegać zepsuciu. Glazura na nim zaczęła się łuszczyć i pękać; pozatykało coś kanały wewnętrzne i przewody; przybywało i wtykało się w piec więcej, niż on mógł spalić i wydać, i dlatego piec zaczął dymić; porobiły się w nim szpary, poodpadała glina i miejscami wystąpiły jakby pryszcze i wrzody. Kapitalista, czyli piec, stał się do palenia niezdatnym; nie dawał ciepła, zaziębiał innych, zaziębił się sam i umarł.

Kapitalista, kiedy żył, podobny był grubością do pieca i do kasy ogniotrwałej. Teraz, po śmierci, wcielił się w pękata, jak brzuch, marmurową bryłę. Ten głaz, który był na nim, umarłym, podobny jest do przewróconego na płask pudła kasy ogniotrwałej. Ten łańcuch że-

lazny, służący mu za ozdobę — to dawniejsza dewizka złota. Ten napis grobowy, sążnisty — to jakby nekrolog w dzienniku, na całą stronę, drogo zapłacony. Ta kolumna święta, którą widzisz — to skamieniała skarbonka, a urna na niej — to dawniejsza popielniczka do cygar, w powiększeniu. Na pomniku tym widnieje napis, który jest wyrazem kapitalistycznego dogmatu, a mianowicie: D. O. M.

Jakoż jest ten grób, ten DOM, ten *dom* pośmiertny rezydencją kapitalisty. Jest to kasa ogniotrwała, gdzie mieszczą się drogiecenne relikwie kapitalistycznego ciała.

## IX.

Gdy się zmarło kapitaliście, nie o tem w niebie nie wiadzą \*). Pewnego dnia Jowisz przywołał do siebie Merkurego i powiada:

— Leć no na ziemię, zobacz co porabia to stworzenie, którem stworzył z gliny, z guana, z cegły i sierci.

— Umarło.

— A ty skąd wiesz?

— Jako przedstawiciel i patron dziennikarzy, wiem wszystko: „je sais tout“.

— Czy nawet i to wiesz, czego ja, bóg, nie wiem?

---

\*) Ponieważ z niebem komunikacji jeszcze bez drutu niema.



— Naturalnie. Twoją rzeczą, rzeczą boską, jest stworzyć. A moją rzeczą, merkurjalną jest wiedzieć, co stworzone i co przestało żyć, umarło. Sensacyjna wiadomość o nowym wynalazku i nekrolog — oto dwa działy życia, w których celować przystoi Merkuremu.

— Jeżeli takiś mądry — powiada Jowisz — to powiedz, jakie zmiany zaszły na ziemi, od czasu, gdym zrzucił na nią Kapitalistę?

— Jakie zmiany? Olbrzymie. Dawniej, przed kapitalistą, ci ludzie jedli i pili, którzy pracowali. A gdy przyszedł kapitalista i wynalazł pieniądz, tylko ten je i pije, kto ten pieniądz posiada. I dlatego nawet pieniądz ma tę dziwną nazwę, która właściwie oznacza: pije i je... niądz.

— A cóż znaczy niądz?

— Niądz to końcówka taka jak przy słowie koniądz: ko-niądz, czyli książę-plutokrata.

— Więc pieniądz, powiadasz...

— Pieniądz, jako wynalazek kapitalistyczny, zapanował całkiem nad pracą, nad twórczością, nad rzeczą boską. Na ziemi teraz jest tak, że ten co pracuje, ten cierpi nędzę. A kto pieniądz ma, ten nie pracuje i pije i je.

— Jakże to się stało, na Boga! Mów!

— A tak się stało. Człowiek, ażeby żyć, musiał pracować. Pierwotnie praca, praca w raju, polegała na tem, że człowiek, gdy czuł głód, szedł do drzewa i trząśł je. Spadało owoców znacznie więcej, niż było człowiekowi głodnemu potrzeba. Widząc to, kapitalista, sam za słaby, za leniwy ażeby samemu drzewo trząść, zbierał to, co tamtemu zbywało i chował do śpichrza. Gdy nadeszła zima, głodny człowiek za drzewo — a tu na drzewie

ani jednej sztuki. Co tu robić? Kapitalista wówczas pokazuje jabłuszko i powiada:

— Zostań moim niewolnikiem, to ci dam jeść.

Cóż miał robić człowiek głodny? Zaprzedał się w niewolę, i odtąd musi kapitaliście, jako niewolnik trząść drzewa za darmo, a raczej za tyle, że ledwie mu starczy na zaspokojenie głodu.

— Ależ to okropne!

— Nie inaczej. A cały sekret kapitalisty w tem, że umiał chować na zapas. Czego dziś nie zjadł, to chował sobie, chował, aż się dochował.

— I aż go pochowali, co?

— Tak, pochowali w bogatym mauzoleum.

— Więc teraz, kiedy go pochowali, powinno być ludziom lepiej.

— Wątpię. Zostało po nim coś: został dogmat — ciało.

— To leć na ziemię, zabierz mi to kapitalistyczne ciało i tu przynieś. Rozłożymy je na części składowe: na guano, glinę i sierć i uwolnimy ziemię od tego potwora. Leć.

Merkury poleciał, ale za małą chwilę powrócił i powiada.

— Nie da się ciało zabrać, bo zbyt przytłoczone nagrobkiem i obwarowane łańcuchami.

To weź sobie do pomocy Czas i lećcie.

Powrócił Merkury na ziemię, a z nim Czas. Wybudowali sobie na Powązkach, tuż przy grobie kapitalisty, barak i zaczęli działać. Czas gryzł łańcuchy rdzą, rozkruszał marmur, rozplukiwał go deszczem, niszczył pleśnią. Co uszczknął kawałeczek zwłok kapitalistycznych,

to miesza z czystym powietrzem i posyła do nieba, do Jowisza, ponieważ w niebie mogą istnieć rzeczy tylko lotne.

A kiedy już całe mauzoleum kapitalistyczne czas rozlotnił; kiedy już ostatni szczątek kapitalisty przemienił się w czyste powietrze, wtedy na ziemi ludziom zaczęło się żyć lepiej i będzie coraz lepiej. Amen.



LEOPOLD MÉYET.

### ZAPOMNIANA DEDYKACJA.

(Jeszcze słówko o Słowackim i Komierowskim).

W zeszycie listopadowym „Sfinksa“ za r. 1908, a następnie w oddzielnej i uzupełnionej broszurze (Warszawa, księgarnia Ludwika Biernackiego i S-ki, 1909) drukowałem rzecz o „Słowackim i Komierowskim, na podstawie listów poety, przyczynek do jego życiorysu“.

Listów tych, które ocalały z poufnej i ożywionej między tymi przyjaciółmi korespondencji, ogłosiłem trzy. Jeden z nich z d. 27 czerwca 1848 r., z czasów krótkiego pobytu Słowackiego we Wrocławiu, drugi z d. 30 września t. r. z Paryża, a trzeci wreszcie bez daty i adresu, który w r. 1894 ogłosił dr. Henryk Biegeleisen, jako list do Józefa Reitzenheima.

Pochodzą one zatem z przedostatniego roku życia poety i uderzają, jak trafnie ocenił Józef Kotarbiński, serdecznym tonem dla przyjaciela, miłością dla matki,

a w dwa ostatnich kłębią się głębokie, z gorączką zapachu poetycznego rzucane poglądy i marzenia o „skarbach ducha polskiego“ \*)

Szeregim pewnych faktów i argumentów starałem się udowodnić, że list bez daty i adresu, aczkolwiek w nagłówku nosił napis „Kochany Józefie“, nie był jednakże listem do Reitzenheima, lecz do noszącego toż samo imię: Józefa Komierowskiego. W liście tym między innymi tak pisze Słowacki: „Dedykacja mi twoja była miłą — choć wprowadzie zarumieniłem się, nazwany publicznie *cnotliwym*... Wyraz ten już tak dawno nie słyszany — a taki wielki! spadł na mnie jak cały Pantheon... pod ciężarem posągu Katonowego rozkruszony... Xięgarz nabożny, który ma twoją xiążeczkę, z uśmiechem ją drwiącym przędzie, właśnie dla tego to staropolskiego wyrazu, i dla tej wskrzeszonej nagle idei — która już między trupami leżała“...

Dedykacji takiej nie znajdujemy w żadnej z książek Reitzenheima, w owym czasie lub później wydanych. Mogłaby więc ona pochodzić jedynie od Komierowskiego, gdybyśmy ją na którejkolwiek z jego książek odnaleźć mogli. Nie odnalazłem jej jednak na żadnej ze znanych lub nieznanych, różnemi czasy bezimiennie, czy też pod pseudonimem wydanych. Wyraziłem tedy przypuszczenie, że Komierowski poświęcił Słowackiemu swe „Pieśni dla braci“. Lecz po kilku latach szukania tej książki we wszystkich bibliotekach publicznych i prywatnych na całym Polski obszarze, we wszystkich księżnicach polskich na obczyźnie i w bibliotece królewskiej w Berlinie — udało mi się zaledwie w rodzinie Komierowskich, w Komierowie, w Prusach Zachodnich, odnaleźć jeden egzemplarz

---

\*) „Kurjer Warszawski“ Nr. 344, z d. 12 grudnia 1908 r.

zdefektowany: bez kartek tytułowych, a więc i bez owej możliwej dedykacji.

Aliści traf szczęśliwy dopomógł do odnalezienia tej dedykacji tam, gdzie jej się najmniej spodziewano.

P. Tadeusz Grabowski, profesor uniwersytetu Jagiellońskiego, przeglądając niedawno w Bibliotece Polskiej w Paryżu, znajdujące się tam broszury emigracyjne, znalazł na jednej z nich ową od tak dawna poszukiwaną przeze mnie dedykację. Znajduje się ona przy poemacie, wydanym pod pseudonimem J. Krajoskiego p. t. „Jawy“, Paryż, drukiem i nakładem wydawcy, 1845 w 8-cc, str. 36, cena 50 centym. Na karcie tytułowej motto: „A ten który przywiódł Matkę najmłodszy i był i nie ztorzezył temu, co w domu pozostał, ani temu, co w obcą służbę się udał“.

(Poseł z Ziemi Uciska).

Dedykacja zaś brzmi:

Juljuszowi Słowackiemu

Jako dowód uwielbienia dla Jego enot

Autor \*).

Pod tymże pseudonimem w dwa lata po zgonie Juljusza, wyszła jeszcze jedna broszura p. t. „Oskarżyciel“. Paryż, druk L. Martinet, 1851, w 8-cc str. 31. Na karcie tytułowej motto: „Ludzie dobrej woli, a zdolni ofiary — sposobni są Królestwa Bożego. Te słowa nie przeminą“. Przy tym samym egzemplarzu, tym samym dru-

---

\*) Egzemplarz tej rzadkiej książeczki, dzięki niestrudzonej dla mnie uprzejmości p. Władysława Mickiewicza, dyrektora Biblioteki Polskiej w Paryżu, udało mi się pozyskać dla zbioru swego.

kiem, chociaż z inną paginacją tegoż autora: Wiersz dla Pawliny Z., str. 8 (7½ sgr.). \*)

O książeczkach tych podaje wiadomość w Bibliografji swej Estrejcher, lecz z błędnem nazwiskiem: „Krajowski“ zamiast „Krajoski“. (T. II, str. 462), przytacza nawet, że pierwsza z nich zawiera dedykację Juljuszowi Słowackiemu, nie objaśnia jednak, kto był ich autorem. Tymczasem był nim niezawodnie Józef Komierowski.

Litera J. jest początkową literą jego imienia, nazwisko: „Krajoski“ jest typowym pseudonimem i wskazuje, że jest nim w Paryżu „ktoś pochodzący z kraju, poseł z Ziemi Ucisku“. Pawlina Z. była dobrą przyjaciółką Komierowskiego, znaną w szerokich kołach towarzyskich naszego miasta, panną Pawliną Zbyszewską \*\*).

\*) Podana tu cena 7½ srg. (srebrnych groszy) w walucie pruskiej wskazuje, że książeczkę tę autor przeznaczył do sprzedaży przeważnie w Poznańskim. Jakoż w Poznaniu Komierowski drukował wszystkie prace swoje, zaś „Uwagi o tegorocznem zapatrywaniu się na sprawę polską“ w Berlinie, w 1861 r., nakładem E. Grosa. I ten fakt, acz drobny, również dowodzi, że pod pseudonimem Krajoskiego kryje się Komierowski.

\*\*) Córka Grzegorza, właściciela Kurowa w Lubelskiem i Barbary z Moraczewskich, była przyjaciółką Narcyzy Żmichowskiej i należała do grona „entuzjastek“. W r. 1850 obwiniona o udział w ówczesnym ruchu ludowo-demokratycznym, w związku ze sprawą ks. Ściegiennego, była osadzoną wraz z Żmichowską w więzieniu w klasztorze Karmelitek w Lublinie. Wiersz ów poświęcił Zbyszewskiej Komierowski zapewne po wypuszczeniu jej z więzienia. Zmarła w Warszawie d. 1 września 1892 r., mając lat 70. Poczyniła zapisy na ochronę „Imienia Zbyszewskich“, której była założycielką, zostającą pod opieką Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności, na Kasę Mianowskiego i na Szkołę rzemiosł. (Ciekawe szczegóły o pobycie Zbyszewskiej i Żmichowskiej w więzieniu podał Aleksander Kraushar w broszurze p. t. Kartka z życia Narcyzy Żmichowskiej (1844—1850). Miscellanea historyczne XXXV. Warszawa, 1909.

cja wreszcie, wspomniana w liście Słowackiego, jedyna, jaką spotykamy za życia poety, wskazuje, że autorem ofiarowanego mu poematu był Komierowski, bo jak to objaśniłem w powołanym artykule, nie mógł nim być ani Reitzenheim, ani nikt inny. O jego autorstwie wreszcie przekonywa poniekąd przedmowa, kończąca się hasłem: „Bracia“, dla których w rok później swe „Pieśni“ ogłosił, oraz sposób pisania tych poezji tak bardzo do innych utworów Komierowskiego zbliżony.

I wzajem dedykacja ta przekonywa aż nadto, że ów list mógł Słowacki pisać tylko do Komierowskiego.

Wymaga jednak objaśnienia pewna drobna okoliczność. Oto Słowacki o dedykacji owej, znajdującej się na zbiorce poezji, wydanej w 1845 r. wspomina w liście, którego datę ustaliłem na rok 1848. Mogło to nastąpić z tej przyczyny, że w czasie wydania tych poezji Komierowski nie zbliżył się był jeszcze do Słowackiego, a stosunek serdeczny zapanował między nimi dopiero w późniejszym czasie. Może wówczas książka doszła dopiero rąk poety lub wydrukowana w 1845 r., później znalazła się w obiegu księgarskim.

O dedykacji tej wreszcie mógł pisać, jak to z listu wynika, sam Komierowski i wywołać o niej wzmiankę w liście poety. W żadnym zaś razie okoliczność ta w niczem nawet nie osłabia tych wszystkich wywodów, które o liście Słowackiego do Komierowskiego podałem.



WACŁAW GRUBIŃSKI.

BALZAC O MAŁŻEŃSTWIE.



zekspir powieści, Balzac, jeden z najstynniejszych w Polsce pisarzy francuskich, znów się nam przypomniał dwoma pięknymi tomami w najświeższym wzorowym przekładzie.

Autor „Kabaretowych Igraszek“, Boy, satyryk *sans peur et sans re...ligion*, o którym nie wiadomo, czy jest przewrotniejszy w treści czy w mistrzowskim rymie, postanowił zatruć dość niepewny spokój tym lubiącym czytać przed zaśnięciem mężom, co to znają (względnie) tylko jeden język, mianowicie polski, i przełożył wybornie na mowę Polaków „Fizjologję Małżeństwa“.

W 1845 r. czyli w piętnaście lat po rozechwytaniu pierwszego wydania „Fizjologii Małżeństwa“, Balzac pu-

ścił w świat w formie dopełnienia, książkę o połowę mniejszą, zatytułowaną skromnie: „Małe Niedole Pożycia Małżeńskiego“.

W sześć miesięcy po przetłomaczeniu pierwszej, Boy przełożył drugą.

Więc literaturze polskiej przybyły dwie wspaniałe książki, wydane na ładnym papierze, odbite ładnymi czcionkami i z dobrym portretem gienjalnego twórey wielkiej „Ludzkiej Komedji“.

Pisać o Balzacu, o tej potężnej lokomotywie, która, sapiąc, wolno rozpoczyna drogę, a potem, rozgrzana, pędzi, jak wiatr halny, w świat namiętności, myśli i marzenia; pisać o tym gienjuszku na mięsistych skrzydłach, który wśród wysiłków, w trudzie, wreszcie się jak ptak podrywa i unosi w błękit—razem, razem z ziemią; pisać o tym wizjonerze, o tym duszoznawcy, o tym eradyce, o tym moralisście, o tym filozofie i o tym poecie... pisać o Balzacu dzisiaj, gdy niemal we wszystkich europejskich językach napisano o nim tomy, gdy i w literaturze krytycznej polskiej nie brak o nim studjów, zaciekle go zwalczających, jako talent *niedzrowy* (np. *O literaturze szalonej* Grabowskiego), albo go sadzających na tronie królewskim współczesnej twórczości?! — gdy się szczyjemy polskim przekładem „szkieu“ o tym wielkim mężu, „który po Bogu stworzył najwięcej ludzi“ — przekładem głośnego studjum Hipolita Taine'a! Pisać o Balzacu... kiedy obowiązkiem kulturalnego człowieka jest znać główne prace nieporównanego Honorjusza, podziwiać je i wielbić... pisać *sprawozdanie* z książek Balzacowskich... byłoby to nie w porę.

Ale co innego ofiarować Balzacowi godzinę wspomnienia, (nie obrażając przez to czytelnika przypuszczeniem, że nie zna „Rozmyślań eklektycznego filozofa o małżeństwie“<sup>1)</sup>), przypomnieć sobie razem z kulturalnym czytel-

nikiem, jak to przed kilkudziesięciu laty największy pisarz francuski zapatrywał się na stan małżeński, jakie w nim widział wygody, jakie niewygody, co proponował wysunąć i co znów zatrzymać w stałym węzłku.

Balzac, jako współbiednik, posiada nieocenione zalety: rozporządza wiedzą bardzo dużą, darem jasnowidzenia, odwagą myślenia, znajomością duszy ludzkiej i do-  
wcipem... wprawdzie dość przysadkowatym. Jedną ma tylko wadę: wielką gadatliwość.

W wymienionych książkach Balzac nie jest zacię-  
wiąjącym powieściopisarzem, malującym namiętności ludz-  
kie, więc i powikłania ludzkich istnień. „Fizjologia Mał-  
żeństwa“, zarówno jak i „Małe Niedole Pożycia Małżeń-  
skiego“, to kazuistyka bystrego spostrzegacza, który do-  
broduszenie wykłada życiową mądrość, analizując „sztucz-  
ną egzystencję, na jaką się skazała dobrowolnie para mał-  
żonków, wiążąc się z sobą na całe życie“.

O ile dorosłym paniom nie dałbym do małych  
rączek obydwuch omawianych tutaj tomów, o tyle mło-  
dzieży męskiej, gotującej się zapisać na listę małżonków,  
kazałbym uważnie przestudjować dla ich własnego dobra  
ten stary i nowy testament gniazda rodzinnego. Niech się  
przyszłe żony na mnie nie gniewają. Nie chcę ich przy-  
szłych mężów uczyć czegoś takiego, co by ich słodszy-  
m połowom wyszło na najmniejszą szkodę. Brzydka repu-  
tacja strasznej „Fizjologii“, myślę, że tak zbłąkitnieje, jak  
niebo południa w pięknych oczach pań, gdy przytoczę  
pierwszą z brzegu fizjo-filozoficzną radę:

„Obchodź się z żoną tak, jak z ministrem, od które-  
go zależy nadanie ci upragnionej posady“ (str. 233).

A jeżeli dodam, że na 71 stronie można czytać:  
„Błędy kobiet, to jeden akt oskarżenia przeciw egoizmo-  
wi, niedbalstwu i nieości mężów“ — sądzę, że panie uwie-  
rzą w szczerść moich zapewnień. Ze wskazanych książ-

żek, śliczne narzeczone, może po raz pierwszy w życiu się dowiedzą i zaniepokoją śmiali wasi pretendenci do małżeństwa, że tak zwany przez naszego wieszczą „marny puch“ kobiecy nie jest zgoła gorszy od męskiego mięszsa. Przecież 99 procent mężczyzn nosi w twardej głowie święte przeświadczenie o swej *naturalnej* wyższości nad płcią... słabą. Ach! „iluz orangów—wykrzykuje Balzac— iluz mężczyzn, chciałem powiedzieć, żeni się, nie mając najmniejszego pojęcia o tem, co to jest kobieta“!

Mężczyzna jest dumny ze swego urodzenia, tak jak szlachcic z herbu, z herbu, który kto inny zdobył dwieście pięćdziesiąt lat temu—i w postępowaniu z żoną rządzi się iście szlachecką *vel...* rycerską logiką. Wszło np. w obyczaj, że narzeczoney uprzedza życzenia tkliwej narzeczonej... ale, przeciwnym naturze sposobem, zmienia się najajutrz po poślubnej nocy z barwnego motyla-Wertera w zwykłego męża-poczwarkę. Taka poczwara-mąż (tyran, egoista, nudziarz, niedołęga, głupiec, sportsman, gruboskórzec, nałogowiec, wól...), ma w niewiadomem miejscu męzowskiego organizmu nadezuły gruczołek: „tę szczególną abstrakcję, która się zwie honorem“. Żaden mąż pod słońcem nie chce być zdradzony—od księcia począwszy, kończąc na cyrkowca, solidny mąż zabija kochankę żony, choćby jej sam nie kochał. Każdemu mężowi się zdaje, że jego żonie nie wolno mieć kochankę, mimo że on, jej mąż, nie jest jej kochankiem. Takie rozumowanie urąga oczywiście zdrowej (nie rycerskiej) logice. Z chwilą, gdy święty węzeł miłości nie łączy dwojga małżonków—oboje są wolni. A gdy są wolni, winni postępować tak jak ludzie wolni.

Nie należy mieszać pojęcia miłości z pojęciem małżeństwa. Niedawno p. Wł. Jabłonowski w sprawozdaniu („Książka“) z „Fizjologii Małżeństwa“ porównał to dzieło z „L'amour“ Stendhala, przyznając wyższość, głębszość

i szerszość balzacowskiemu tomowi. Szanowny krytyk przeoczył, że każdy z dwóch autorów pisał o czym innym—Balzac: o małżeństwie; Stendhal: o miłości; że więc na porównania niema tu zupełnie miejsca. Jeden opisuje niedoskonałe życie instytucji, stworzonej przez ludzi, drugi daje obraz pięknej namiętności, rządzącej człowiekiem. Małżeństwo to przede wszystkim forma, pozory. Para kochanków to jedynie prawda. Małżeństwo jest instytucją prawnopañstwową; miłość jest poza prawem. (Pewien Włoch powiedział Stendhalowi, że małżeństwo jest potrzebne tylko dla legalizacji dzieci). Balzac-moralista mówi:

... „byłoby mniej nieszczęśliwych małżeństw, gdyby mężczyźni żenili się ze swymi kochankami“.

A później dodaje:

„Zwyczaj Niemiec, Szwajcarii, Anglii i Stanów Zjednoczonych dają młodym pannom prawa, które wydawały by się we Francji (*coż dopiero u nas!!*) obaleniem wszelkiej moralności; a mimo to — niewątpliwą jest rzeczą, że w krajach tych małżeństwa są mniej nieszczęśliwe, niż we Francji“ (str. 89).

Te mądre słowa były drukowane w 1830 r., ale w 1910 jeszcze rażą nasze dumne, polskie, romantycznie zacofane uszy. Przed osiemdziesięciu laty, z purytańskim oburzeniem czytano na 71 stronie rozmyślań eklektycznego filozofa:

„Słowo *miłość*, zastosowane do czynności rozmnażania się gatunku, jest bluźnierstwem najwstrętniejszem z pomiędzy wszystkich, jakie nam przyniosły nowoczesne pojęcia“.

— O czym się już nie pisze! — krzyczano, poczem, przewróciwszy kartkę, trafiono z wzraszeniem ramion na takie wyznanie autora:

„... kochać, znaczy ciągle pożądać. Mówić, iż nie jest możebnem odczuwać stale miłość dla jednej i tej sa-

mej kobiety, jest taką samą niedorzecznością, jaką byłoby twierdzić, iż znakomity artysta potrzebuje koniecznie kilku skrzypiec, aby wykonać utwór muzyczny i zbudzić do życia jego czarowne melodje.

„Miłość jest początkiem zmysłów. Dzieli los wszystkiego, co jest w człowieku wielkie i co — zrodziło się w krainie myśli. Albo jest szczytną, albo jej wcale niema. *Jeśli istnieje, istnieje na zawsze i nieustannie wzrasta. Taka miłość, to owo bóstwo, które starożytni uważali za dziecię Nieba i Ziemi*“.

Na 75 stronie znów poczwarka-mąż (wół, niedołęga gruboskórzec, nudziarz, hipochondryk, tabetyk...) parsknął głośną złością, przeczytawszy wydrukowane wyraźnie bezwstydnym twierdzenie, że „pieszczoty, zrodzone z miłości, nigdy nie są wyzdaniami“.

I tak na każdej z czterystu okazałych stron ścisłego niby złoto — druku, dowiaduje się spokojny dotąd, teraz troszkę rozgorączkowany pan małżonek, że ma na sumieniu mnóstwo drobnych win męzkowskich, poczynających go swędzić na czole..., które obecnie dotyka ręką takim mniej więcej ruchem, jakim by to zrobił jelen, gdyby rozporządził bodaj jedną ręką. Na każdej stronie czernieje groźba zdrady—i jej usprawiedliwienie. Mąż dostaje pąsów, kiedy utknął wzrokiem na króciutkiem zdaniu, brzmiącym, ach, niezrozumiale dla miliona mężczyzn:

„Można mieć kobietę, nie posiadając jej“ (375 str.).

— Jaktó! — woła zapieniony tęgi przedstawiciel płci tak zwanej mocnej—Więc podług tego pisarza, jeżeli mam konia, to przez to jeszcze go nie posiadam?! Trzeba być bardzo mądrym, żeby wypowiedzieć takie głupstwo! — i zdenerwowaną ręką przewraca kartki „Fizjologii Tortur“, aż jego wzrok błyszczący pada na wyrazy... „człowiek o wyższym umyśle“... Że zaś każdy mąż uważa się w stosunku do swej żony za umysł wyższy, więc nasz czytelnik

nik czyta w tym wierszu łapczywie: ...człowiek o wyższym umyśle potrzebuje tylko rozmiąć swoje myśli na drobną monetę, jeżeli chce być zrozumianym przez swą żonę (*właśnie tak zawsze robiłem!*), o ile wogóle taki człowiek popełni tę niedorzeczność (*właśnie! niedorzeczność!*), aby poślubić jedno z tych biednych stworzonek, zamiast uczynić swą żoną młodą osobę, której serce i duszę poznał i wypróbował oddawna“.

Książka jest drażniącą. Mężczyzna się gniewa. Broni się przed utratą tak zwanych złudzeń (co za idealista!) innemi słowy, chce nadal wierzyć — a nie może! — iż *po mimo wszystko* „obowiązkiem“ żony jest biblijna wierność i posłuszeństwo mężowi. Książka również uczy panów kawalerów, którzy zamierzają wstąpić w ślubne związki, że małżeństwo niekoniecznie jest stworzone dla ich (t. j. mężczyzn) wyłącznej wygody. Książka jest wciąż uśmiechnięta, ale surowa i mądra; odbiera apetyt i sen.

Przeczytawszy pierwszą, mąż otwiera drugą: „Małe niedole pożycia małżeńskiego“. Czyta i od początku czuje, że mu na piersiach duszy odchodzi moralny katar, którego się nabawił, studjując „jednostronny“ wykład „Fizjologii“. Wszystkie małostki, makiawelizmy, dokuczliwości, jezuityzmy, słowem przywary przeciętnej małżonki, są wywleczone bezwzględny kosturem autorskim na południowe słońce bystrej analizy. Czytelnik się śmieje — zgrzytając często zębami. „Małe Niedole“ da mściwie do przeczytania żonie“!

Ale ta świetna książka w drugiej połowie poczyną opisywać małostki i śmieszności przeciętnego męża. Patrzy się przez ten tom o połowę mniejszy od poprzedniego, lecz dwa razy treściwszy, jak przez mikroskop, pod którym żyje świat ludzkich mikrobów. Ileż tam marnego zgiełka, nędznego rachu, głupiego krzyku! chaos próżnych

zabiegów, drobno-serdecznych zawodów, prawdziwych łez, fałszywych uśmiechów i rój krążących, jak ohydne muszki, kłamstewek! Czytanie „Małych Niedoli“ pograża w smutku. Książka przeniknięta jest pogodą, ale pogodą filozofji, streszczającej się w twierdzeniu (błędnem! stokroć błędnem!), że „nie myśmy stworzyli naturę“ (bo to właśnie myśmy ją stworzyli!). Pogoda „Małych Niedoli“ jest brzydką pogodą człowieka bezradnego. Rozwlekła „Fizjologia Małżeństwa“ wspominała co chwilę wielką namiętność, miłość na życie i śmierć, opowiadała o cudach uniesień, o szatach tęsknoty! Co chwilę ironiczny żart przemieniał się w spienioną falę głębokiego życia, w ryk tragicznego huraganu pragnień, w oslepiający piorun nieokiełznanej, szlachetnej młodości! Przecież to wszystko na świecie istnieje! nie codzień, co prawda, jak nie codzień się rodzi gieńjusz, jak nie co rok powstaje areydzieł! ale istnieje na ziemi szczęście, miłość, rozkosz, przemieniająca wybranych w półbogi, istnieje, och! istnieje szczęście nie nazwane dla pomazańców boskich!

Duch „Fizjologii Małżeńskiej“ był młodszy. Z kart tego mądrego śmiechu nieraz się odzywał Dionizos. Ton „Małych Niedoli“ jest mniej piękny. A pogodny finał... Finału niepodobna czytać bez niesmaku. Namiętność skartłowaciała w przyjemność (w piętnaście lat później!), miłość w upodobanie, tęsknota w ciągotki, a ideałem stała się wygoda.

Na 360 stronie „Fizjologii“ Balzac mówił groźnie: „Albo kobieta poniewiera swą miłość, nie przestając należeć do męża, albo też zrywa wszystkie węzły, łączące ją z rodziną, oddając się całkowie i wyłącznie swemu kochankowi. Musi wybierać, gdyż jedynem jej możliwym usprawiedliwieniem jest ogrom jej miłości“. I autor „Fizjologii“ wołał: „Można zadrzeć, kiedy się pomyśli o cier-



pieniach zamężnej kobiety, która ma kochanka! — bo Balzac wiedział, że niezawsze można opuścić dom i pójść za kochankiem. A jeśli tak, to wiedział — że kobieta staje się w swym domu męczennicą, gdyż żyje przewrotnie wśród nieustannych kłamstw, kłamstw nieuniknionych, koniecznych, niezbędnych, które musi, musi sobie kupić życie czyste, szczerze, życie bez skazy, życie tajemne z kochankiem.

Finał drugiej książki brzmi daleko ciszej. Innych i tylko tych innych opisuje ludzi. W epilogu „Małych Niedoli“ autor wkłada w usta męża zdanie, które nie wiem, czy należy rozumieć jako pochlebne dla kobiet:

„Ja jestem mężem najszczęśliwszym w świecie. Karolina jest mi najbardziej oddaną przyjaciółką, poświęciłaby dla mnie wszystko, nawet mego kuzyna Ferdynanda, gdyby było tego potrzeba... tak, śmieję się, a ja ci mówię, że ona jest gotowa wszystko zrobić dla mnie“.

Nie wierzy się uszom. Cóż to do licha znaczy? Przyjaźń dla męża — wyrastająca z wzajemnych zawodów we wspólnem pożyciu? Wspólne interesy? Poszanowanie pozorów?...

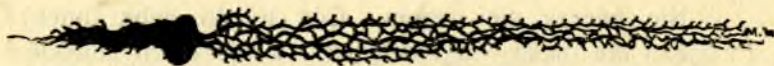
Co jest wart człowiek, który nawet miłość traktuje z punktu widzenia użyteczności. Ibsen w „Borkmanie“ wyrzekł wielkie słowa:

„Dla tej jednej zbrodni niema przebaczenia: dla zbrodni przeciw miłości“!

Człowiek, który był zdolny do wielkiej miłości i miłość tę zapoznał — pogardził samym sobą. Wart jest tylko wzgardy.

---

Ale... prawdziwa miłość zjawia się rzadko, jak gienjusz—powiedział Rousseau. Honoré de Balzac dał w tem drugim dziele obraz wyłącznie ludzi codziennych, przeciętnych. Nie bądźmyż dla nich sarowi. Niechże sobie drepczą po ciasnej orbicie swego przeciętnego świata i niech się nauczą — czytając „Małe Niedole Pożycia“ — brać siebie trochę mniej poważnie. Zyskają na tem z pewnością ich dobre mańjery.



MARJAN WAWRZENIECKI.

NIECO O NUDNEJ NAUCE ARCHEOLOGJI PRZEDHISTO-  
RYCZNEJ.



(Urywek z flirtu na raucie).

Co? Archeologia przedhistoryczna?

I w umyśle czytelniczki piętrzy się stos kamyków, skorap, skorupiek, bronzowych dratów, żelastwa, słowem wszystkich tych okropności, które zazwyczaj mija się pośpiesznie w muzeach, lub które lekceważy się najzupełniej, jako rzeczy zbędne a zawsze śmiertelnie nudne.

Do okropnego tego wspomnienia dołącza czytelnik również nie wesoły obraz rozlicznych broszur, mniej lub więcej grubych, w których drukowano jakieś spory, dowodzenia, mieszczono jakieś dziwaczne rysunki, plany, rzeki, a co karta wi-

dniały szkielety, czaszki, kości. — Były przytem kolumny okropnie nudnych cyfr i t. d.

Ktoś, kto pewnego razu przez pomyłkę otrzymał w księgarni dzieło archeologiczne, zauważył, że był to wielki tom o 400 stronicach, były w nim jakieś rozdziały o dziwacznych tytułach.

Wszystkiego tego starczy, by czytelnik warszawski na wspomnienie wyrazu archeologja doznawał szczerego uczucia wstrętu — a dodatkowy wyraz „przedhistoryczna“, jeśli nie jest błagą lub zwykłym „szkoleniem“ (zakopianizm), to z pewnością świadczy o głębokiem zarozumieniu ludzi, tej nauce oddanych.

Tymczasem wszystkie te wstręty i naturalne u warszawian odrazy, pochodzą jedynie stąd, że stykali się oni niekiedy z *materiałem naukowym*, którym się archeologja posługuje, lub na którym się wspiera, z samą zaś *czystą nauką* mało mieli styczności.

Zupełnie jak gdyby ktoś, wprowadzony do pełnej trupiej zgnilizny izby sekeyjnej, zraził się do anatomji i całej medycyny.

Tymczasem archeologja przedhistoryczna, jako nauka, *jako wspaniały przejaw* głębi i subtelnej przenikliwości *umysłu ludzkiego*, może tylko wywołać żywe zainteresowanie i zniewolić do zawołania z poetą: „I cóż na ziemi potężniejszego *nad człowieka*“.

\*  
\*  
\*

Gdzie milkną kroniki, gdzie ginie wszelki ślad historii, gdzie zaległa głucha, ciemna noc i zawarła w sobie ślady bytowania człowieka, tam rozpoczyna się pole działania archeologii przedhistorycznej.

Ogromna to, niezmierna dziedzina...

Potężny łan dla rozwinięcia niepożytej energii amysłu człowieka.

Wspaniała kanwa, na której *wszechpotężna myśl* uczonego rzuca coraz to wyraźniejsze obrazy bytu człowieka przedhistorycznego.

Czyż wobec takiego pola działalności może być mowa o *nudzie* lub *zbyteczności*?

\* \* \*

Kiedy szmat łądu, zwany obecnie Europą, stał się nakoniec takim, iż istota ludzka egzystować na nim mogła, od tej chwili poczyną działać archeologja przedhistoryczna. Zadaje ona sobie pytanie, gdzie szukać źródła rozwoju tego człowieka, jego dalszej kultury, jego ewolucji duchowej, która nareszcie doprowadza go do stworzenia tak zwanej *epoki historycznej*, w której i my i *nasze obecne istnienie* jest *ogniwem* nieskończonego łańcucha rozwoju ludzkości.

.....  
Naturalnie, powstaje zaraz mnóstwo hipotez, bo fantazja ludzi jest wielostronną. Hypotezy te roztaćać przed niefachowcem, to znaczy dobywać olbrzymi balast literatury przedmiotu, to błyskać własną *erudycją*, zamiast *rozjaśnić* i *uprzystępnić*.

Wsparci na materiale wykopaliskowym uczeni stwierdzają, że *punktem wyjścia wszelkiej kultury* jest pra-kolebka, stara, ale zasłażona *Azja!* \*).

Azja! Azja! Kose oczy, haremy, kręcone włosy, grube wargi... Może semici, może żydzi, może?...

Ach „Rolo“, ratuj! Krzyknie oburzony czytelnik.

Tak, *Azja!* Bolesne to, lecz *prawdziwe*.

---

\*) Oparte na Urgeschichte Europas Sophus'a Møllera z Kopenhagi. 1905 r.

Azja—i z Azji po wybrzeżu afrykańskim aż do cieśniny Gibraltarskiej, biegł prąd kultury, który zapłodnił Europę. Tamtędy szły te drgania, które do tej chwili wyczuwać się jeszcze dają...

Ależ to niepodobna!—zaprotestuje czytelniczka. Niepodobna, aby te grubasy, te zmysłowcy, co w *nas*, *plici nadobnej*, „duszy“ nie przyznają, mogli...

Przecież to tak daleko, niezmiernie daleko, przecież list z Damaszku idzie obecnie do Warszawy całe dni 16-cie, a przecie *wtenczas* ani pary, ani telegrafu... ani... nie znano! To *blaga* z tą całą Azją!

Uroczą czytelniczko, przypomnij sobie, iż 1910 lat temu w Jerozolimie w Azji ukazał się prorok Jezus z Nazaretu, żył, nauczał, a osądzony, straconym został jako „polityczny“<sup>(\*)</sup>, a przecie Ty, *powabna*, po 1910 latach dziś klęczysz kornie u „*Karmelitów*“ w kaplicy przed piękną rzeźbą Oskara Sosnowskiego, wystawiającą tegoż politycznego na łożu śmierci.—No tak.—Ale to religja, to Bóg, cóż to ma wspólnego z archeologją, z człowiekiem przedhistorycznym... z Azją.

. . . . .  
Mój przykład *stwierdza*, że z zakątka Azji wyszła *idea religijna*, która zwołna zdobywała Europę.

My *Polanie* około 968 roku idei tej ulegli i dzisiaj jesteśmy jej gorliwymi wyznawcami, słowem, iż *wpływ Azji trwa*, a nas *niemał dotąd*. To jest, iż *kolebką* naszych *pojęć religijnych* jest *nawet obecnie* Azja. Więc dziwić się nie można, iż *była nią* i w *epokach bardzo odległych*, a zapewne *wtenczas* silniej *promieniowała*, niż obecnie.

---

\*) Jezus, jak wiadomo został oskarżony przez żydów, iż czyni się królem i barzy lud.

Następnie wpływ Azji, dzięki któremu urosła potężna cywilizacja Egiptu, znalazł nową drogę do Europy przez wyspę Cypr, oraz archipelag grecki; stąd poczyną oddziaływać Egipt na Grecję. Dalej idą wpływy na południową część Włoch dzisiejszych i oto człowiek, koczujący po wolnej już od lodów Europie, drogą *handlu* lub drogą *zestknięcia* się różnorodnego, poczyną wpływom tym coraz to silniej ulegać. Obecnie wpływ ten już *udowodniono* masą wykopalisk t. j. właśnie tym *nudnym* naukowym materiałem, o którym wspominałem wyżej.

— Więc były takie wpływy? Jednak przyzna pan, że w epoce, gdy Grecy budowali swoje wspaniałe świątynie, gdy Etruskowie już żłobili w skałach swe groby malowane, a Egipcjanie już zupełnie z pola schodzili, a nas na *północy*, musiały być *niewesołe stosunki*, skoro jeszcze w epokach *historycznych*, jak zapisały kroniki, niewielka była różnica między człowiekiem a zwierzęciem...

Jeżeli jeszcze obecnie włościanin polski w pewne dni roku odprawia jakieś dziwne praktyki, które *my*, inteligenci, zwiemy *zabobonami*, a które są szczątkiem *jakiegoś prastarego kultu*, jak to słusznie śp. Karłowicz w „Wiśle“ utrzymywał?

— Proszę pani, jak bardzo wolno wpływy takie się rozchodzą, niech przykładem będzie chrześcijaństwo. Powstałe w Palestynie, dochodzi do Rzymu i tu walczy, aż uznane 313 r., stopniowo jako „dobra nowina“ dąży ku północy, w 496 r. przyjmuje je Galja, w 600 r. Anglja, w 785 r. Sasowie, w 968 r. Polanie, w 1124 Pomorzanie, w 1386 Litwa, a gdzieś tam na północy Rossji około Archangielska do tej chwili w lasach koczują jeszcze bałwochwalcy.

Wędrowka kultury, wędrowka pewnych typów narzędzi i broni, wędrowka tego, co zwiemy cywilizacją,

w epokach przedhistorycznych, trwa niekiedy tysiącolecia. Trwa przecież setki i dziesiątki lat w *naszych czasach*.

Warszawa ma oświetlenie gazowe i elektryczne. Płock naftowe, a Ryczywół — żadnego oświetlenia nie posiada.

Przyzna więc uroczą czytelniczka, że archeologia przedhistoryczna, *jako nauka*, wypełniająca możliwie najdokładniej tę lukę w dziejach ludzkości, która istnieje poza okresem *pisanej historii*, jest nauką poważną i pożyteczną na równi z innymi swymi siostrami, a może być niezmiernie ciekawą i interesującą nawet dla *profana*, który nie ma prawa *zapominać*, że przecież jest jednym z członków tej właśnie ludzkości, której dziejami przedhistorycznymi ona się zajmuje.





WŁ. BUKOWIŃSKI.

### WRAŻENIA TEATRALNE.

Dwa jubileusze. „Wielki Fryderyk“ Nowaczyńskiego, „Klątwa“ Wyspiańskiego i inne ostatnie i nie ostatnie nowości scen naszych.  
Parę uwag ogólnych.

Obok szeregu nowych i dawnych, w Warszawie tylko nieznanym ze sceny sztuk oryginalnych, druga połowa sezonu zimowego przyniosła nam dwie piękne uroczystości teatralne, dwa jubileusze artystów, którzy należą wprawdzie do pokoleń różnych, ale cieszą się obaj, jeden od lat dwadziestu pięciu, drugi dłużej znacznie — żywem uznaniem i gorącą sympatją publiczności.

Teodor Roland, którego pełne młodzieńczego zapału, znakomite role studentów, mamy jeszcze wszyscy w pamięci, Roland, któremu na scenie nie dalibyśmy często lat nawet dwadziestu pięciu, obchodził przy końcu lutego dwudziestopięciolecie pracy artystycznej, a świeżo znowa (15 kwietnia) Bolesław Leszczyński, podziwiany i uwielbiany przez trzecie już pokolenie widzów, święcił uroczyście złote swe gody ze sceną.

Jubileusze teatralne łączą się zwykle z przedstawieniami benefisowymi na rzecz jubilatów, ale znaczenie ich

przekracza niawątpliwie granice jednowieczorowej owacji, pełnej oklasków i kwiecia, połączonej z tyła a tyłu setkami rubli czy guldenów jednorazowego dochodu. Jubileusze takie to zdobyta z trudem niemałym, a częstokroć jedyna — poza pogrzebem uroczystym i niezbyt trwałem echem uznania pośmiertnego — nagroda artysty za jego talent i pracę, za zapał, krzesany z duszy i rozniecany w duszach, za gorycz zawodów i rozczarowań, za obojętność i bezmyślność „zjadaczy chleba“, za szpilki i docinki krytyki, stronnej nieraz, zblazowanej, znudzonej, niweczającej jednym szyderstwem, jednym zwrotem lekceważącym wyniki wielu dni pracy, wielu nocy niedospanych, wielu wysiłków rzetelnych, wielu przyśpieszonych serca uderzeń i pokonanych trudności.

Bo do aktora, jeśli tylko jest on artystą prawdziwym, dadzą się w całej pełni odnieść słowa, które Karol Bałiński zastosował kiedyś do twórczości poetyckiej: „Bo słuchaj, pieśń ma—to cząstka życia, tam jest krew moja, tam są łzy moje, i mego serca pośpieszne bicie i uczucie moich i myśli roje,—a każdą żeby dostać, wyjawić, muszę wprzód serce mocno rozkrwawić“. Ale los gienjalnego nawet artysty dramatycznego jest o tyle od losu poety smutniejszy, że te pieśni, z rozkrwawionego serca wydobywane, razem z aktorem schodzą do grobu, a imię jego tylko—w najlepszym, wyjątkowym już niemal wypadku, będzie—do czasu naturalnie—„jak dźwięk pusty trwać przez pokolenia“, póki go nie pogrąży fala, nie przysypie piasek niepamięci.

Co zostanie za lat kilkadziesiąt z tych uniesień młodzieńczego zapału, którymi tyle razy czarował nas Roland na scenie? Co zostanie z jego buńczucznej dziarskości w roli Mazepy, z bezbrzeżnego smutku i goryczy jego Nicka, z niezrównanej prostoty i serdeczności Maciusia

w „Zaczarowanym Kole“, które nam przypomniał jego jubileusz?

I kto po latach kilkudziesięciu będzie miał naprawdę pojęcie o wspaniałym głębie, cudownym głosie, odruchach intuicji genialnej, któremi zachwycamy się dziś jeszcze u Leszczyńskiego? Kto tak jak on zagra Wojewodę, Learc'a, Otella, kto bodaj powiedziec potrafi, co on z tych ról wydobywał? Pozostanie przez czas jakiś tradycja, pozostanie legiendą, ale dzieło artystyczne, ale muzyka głosu, ale posągowość postawy, ale to wszystko, co artysta przez długie lat dziesiątki dawał z siebie, co jest odrębnością i istotą gry jego — razem z nim zejdzie ze sceny i powtórzyć, zachować, odtworzyć nie da się nigdy i nikomu.

Dobrze więc, że choć za życia — po długich latach pracy — raz lub dwa razy w odległych czasu odstępach, w przeciągłych i gorących oklaskach przepelniającej salę publiczności, w atmosferze życzliwości, wdzięczności, zapamięta, usłyszysz aktor „Bóg zapłać“ za ciężki trud swego zawodu, za serce swego krew gorącą, a duszą szczęśliwą odczuje, że nie był trud jego jałowym i bezużytecznym całkiem, że przeciwnie zapamięta swoim budził on czasem oddźwięk w duszach, że za serce — sercem mu płacą...

Wznowione na jubileuszowym przedstawieniu Rolanda „Zaczarowane Koło“ Rydla zestarzało się zbyt prędko, a może barw nowości i świeżości nie miało nigdy. Ładny wiersz, sporo reminiscencji z Hauptmanna i Słowackiego, parę scen efektownych, figury przeważnie konwencjonalne, sztuka wogóle niezbyt dawna, a jednak wywiera wrażenie rodzonej siostry „Halszki z Ostroga“ Szujskiego. Teatr to, odgradzony od chwili dzisiejszej całą twórczością Wyspiańskiego i Przybyszewskiego. Sztuka prawdziwa już do niego zawrócić nie może. Ale jako widowisko dla niezbyt wymagającej publiczności, ma on jeszcze pewną rację bytu, kiedy zwłaszcza wojewodę gra z pysznym za-

cięciem staropolskiem Katarbiński, Frenkiel z nieczego prawie stwarza wspaniałego Brzechwę, Knake-Zawadzki jest imponującym Dziadkiem leśnym, a przedziwnym Maciusiem Roland. Trudniej podobno o Młynarkę, któraby zapomnieć kazała o pierwszej wykonawczyni tej roli—Siemaszkowej. Gra p. Barszczewskiej była bardzo dobra, zagrała później tę rolę i p. Mirska, a jednak tamtej Młynarki zapomnieć nie sposób.

„Halszka z Ostroga“ Józefa Szujskiego, nie puszczana przez długie lata na scenę warszawską, w epoce, gdy król polski nawet w teatrze wydawał się jednostką podejrzaną i niebezpieczną, a złe czy dobre stosunki między Polską, Litwą i Rusią z góry skazane były na karę zapomnienia, „Halszka z Ostroga“ dzisiaj jest w teatrze o pół wieku blisko spóźniona. Wartości większej nie miała nigdy, co stwierdza nawet wielbiciel i przyjaciel Szujskiego, hr. Stanisław Tarnowski, uważający ten dramat za *jeden ze słabszych* w dorobku poetyckim autora „Maryny Mniszechówny“ i „Władysława IV“. „Zdaje mi się zawsze—czytamy w pierwszej części tomu szóstego jego „Historji literatury polskiej“—że Beata w swojej zawziętości, Halszka w swojej walce z miłością, Dymitr w swojej namiętności sentymentalnej i w swojej zgryzocie nie mówią nic — chyba on jeden czasem — nic, coby człowieka wzruszyło. Czuję w „Halszce“ jakiś chłód, w jej figurach, (mimo namiętności i wybuchów) jakąś martwość“.

Ani słowa — racja zupełna. Brak tym postaciom dusz żywych i czujących, razić mogły nawet przed pół wiekiem, a cóż dopiero dzisiaj! Ani do jubilatów jednak, ani do kierownika literackiego nie mamy pretensji, że nam ten konwencjonalny i przestarzały dramat pokazali, przeciwnie raczej—uważamy to za zasługę. „Halszka z Ostroga“ należy w każdym razie do literatury dramatycznej, i le-

piej, żeśmy ją poznali późno, niż weale. Grana była wogóle dobrze, wystawiona—trochę za skromnie.

Są w tej sztuce dwie popisowe role kobiece—Beaty i Halszki. Mocno i pięknie odegrała swoją p. Barszczewska, a co do p. Dulęba-Piotrowskiej, to nie podzielałam zarzutów, czynionych jej przez niektórych krytyków za Halszkę, którą — zdaniem mojem — odegrała tak, jak dziś takie dalekie od prawdy postaci grać można, chyba, że się ma talent Modrzejewskiej, ale tego nie znaleźć na drodze. Leszczyński, choć wzruszony gorącym przyjęciem jubileuszowem, owacjami ze strony publiczności i kolegów, miał swój piękny głos i swój giest niezrównany w roli Wasyla Ostrogskiego. Nowicki odegrał z siłą kilka końcowych scen dramatu, a Śliwicki uchwycił dobrze głęboki smutek Zygmunta Augusta.

\*       \*       \*

Te kilka słów o przedstawieniach jubileuszowych. Poza niemi dwa miesiące ostatnie przyniosły w teatrach warszawskich tyle sztuk nowych, że—skrzępowany dziś wyjątkowo i miejscem i czasem—bardzo pobieżnie tylko zaznaczyć je mogę. W teatrze Rozmaitości sensacją dnia był naturalnie „Wielki Fryderyk“ Nowaczyńskiego z Kamińskim w roli tytułowej; w teatrze Wielkim—„Klątwa“ Wyspiańskiego.

„Wielkiego Fryderyka“, który zresztą dla Prus był niewątpliwie i Fryderykiem Wielkim, w wydaniu książkowym nazwał autor powieścią dramatyczną. Książka ta będzie w „Sfinksie“ omówiona obszerniej. Wykrojona z niej sztuka pięcioaktowa jest widowiskiem ciekawem, ale zarazem przykrem bardzo. Nie przeczę, że niektórych scen tej sztuki, jak np. rozmowy Fryderyka ze starsym i szlachetnym von Zietenem, słuchać trzeba z odde-

chem zapartym, do czego przyczynia się w dużym stopniu pełna prawdy, znakomicie opracowana gra p. Kamińskiego. Ale są tam i sceny, wywierające takie wrażenie, jakby autor na zimno i przytem nie bez pewnej przyjemności, a bez racji słusznej, policzkował i kopał przeszłość, a tego właśnie robić nie wolno.

Nie chciałbym być źle zrozumianym. Przedewszystkiem nie idzie mi wcale o idealizowanie dni minionych, lecz jestem tylko przeciwny tak jednostronnemu ich malowaniu, jak to robi w swej sztuce p. Nowaczyński. Gdy Słowacki w „Grobie Agamemnona“ nazywa Polskę pawiem i papugą narodów, to chociaż wiemy dobrze, że jest w tem co najmniej jednostronność, nie potępimy poety. Bo czujemy aż nadto, że krzyk ten jego wypłynął z gorącego, pełnego miłości i pełnego goryczy serca, że cios nie ukuty został na zimno.

Ale gdy p. Nowaczyński—*wbrew prawdzie historycznej*—Krasickiemu, jednemu z najmądrzejszych i najwplywowszych ludzi swojej epoki, autorowi satyr i „Podstolego“, autorowi wiersza „Święta miłości kochanej Ojczyzny“, śpiewanego przez długie lata przez młodzież polską, każe być tylko poniewieranym przez Fryderyka błaznem i dworakiem — niezem więcej; gdy wogóle w dobie, w której w kraju zaczęła się już robota przygotowawcza do wielkiej reformy majowej, zawrzała praca Komisji Edukacyjnej, rozpoczęli już swą działalność tacy ludzie, jak Ignacy Potocki, Piramowicz, Staszic, Kołłątaj i tylu innych, a naród do życia nowego przystępował, gdy w takiej dobie, malując dwór Fryderyka Wielkiego, autor zdaje się patrzeć na Polaków jego jedynie oczyma i w dalekiej bodaj perspektywie nie ukaże nam jednego jaśniejszego promienia, to jednostronności tej niepodobna już uznać za wynik rozgoryczenia, wpływającego z nadmiaru miłości, lecz raczej za danie folgi wrodzonej żyłce do karykaturowania,

co w danym wypadku w utworze scenicznym, przeznaczonym dla szerokiej i niezawsze krytycznej publiczności, uważam wprost za szkodliwe. Krasicki, któremu dopiero cudzoziemiec — von Bischofswerder—dawać musi lekcję patriotyzmu polskiego, Krasicki — pajac bezmyślny, jakiego nam daje Nowaczyński—jest karykaturą, a sztuka drapie i gryzie, ale nie sercem.

Że jest przytem grana znakomicie, że ściąga tłumy do teatru, przyjmujące bez protestu, ba — oklaskujące nawet—niektóre jej jaskrawości, tem gorzej dla nas, bo świadczy to jednak o dziwnym upadku zmysłu krytycznego, ambicji narodowej i miłości własnej, którym ta sztuka urąga.

Protestowano w części prasy, protestowano namięnie, ale nie przeciw „Fryderykowi“. Głosy obłudnego oburzenia wywołało wystawienie „Klątwy“, jednego, jak wiadomo, z najpotężniejszych dzieł autora „Wesela“ i „Wyzwolenia“, jednej z nielicznych tragedji, jakie wydała nowożytna literatura dramatyczna. Protestowano głównie dlatego, że w sztuce jest ksiądz, mający kochankę i dzieci.

Nie będąc analizował tej tragedji, o której pisano już dużo, którą między innymi rozbierają szeroko pp. Kotarbiński i Siedlecki w swych książkach o Wyspiańskim. Zaznaczę tylko, że obojętną wydaje mi się poruszane parokrotnie w prasie naszej pytanie, czy akcja rozgrywa się w „Klątwie“ w wiekach średnich, czy w czasach nowszych. Toczy się ona w duszach ludzkich, które są wieczne, i porusza z mocą potężną odwieczne zagadnienie walki sumienia z grzechem, lub z tem, co za grzech jest uważane. A ksiądz i jego dzieci to tylko szczegół w danym razie, o który doprawdy głów sobie rozbijać nie warto.

„Klątwę“ wystawiono u nas i odegrano z pietyzmem dużym. P. Nowicki, jako ksiądz, p. Barszczewska w roli Matki stwierdzili raz jeszcze swe niewątpliwe prawo do

wielkich ról dramatycznych. Rola Młodej okazała się niezupełnie odpowiednią dla p. Przybyłko-Potockiej, której na pierwszym przedstawieniu brakowało wprost głosu w miejscach silniejszych. Prześlicznie zagrała ją potem p. Ordon-Sosnowska, wydobywając z niej przedewszystkiem przejmujące akcenty liryczne, głęboki smutek w rezygnacji, a unikając przejawów wszelkich, w które tu wpaść nietrudno. Rolę dziewczki grała bardzo dobrze pani Mirska, a potem próbowała sił swoich i w roli Młodej, mającej tym sposobem aż trzy reprezentantki na naszej scenie. Próby tej jednak już nie widziałem. Demoniczna trochę maska p. Ładnowskiego w roli Pastelnika wydaje mi się niewłaściwą; siwobrody mędrzec-patryjarcha byłby tu raczej odpowiedniejszy. W rolach mniejszych wyróżnili się jeszcze pp. Roland, Wilezyński i Kawalski.

Z „Klątwą“ Wyspiańskiego połączono niezbyt fortunnie jednoaktowy dramat p. K. Wroczyńskiego, p. t. „Venus“, rzecz bardzo jeszcze młodzieńczą, rodzaj próby studenckiej, skreślonej z rozmachem po przeczytaniu „Quo vadis“. Szkoda pierwszorzędnych sił aktorskich, które nie tu zrobić nie mogą, szkoda zwłaszcza do takiej Augusty wielkiego talentu p. Marcello-Palińskiej, którą zresztą radziłyśmy widywać na scenie, jak najczęściej.

Sezon ostatni w teatrach naszych możnaby nazwać sezonem sztuk oryginalnych, gdyż p. Kotarbiński wyłącznie niemal takie zalecał do grania, co podnieść z uznaniem należy. Nie jego wina, że rzeczy prawdziwie dobrych i wybitnych znalazł na razie niewiele. Zmieni się to zezasem, jeżeli ten kurs w teatrze naszym utrzyma się na stałe i autorowie oryginalni nie będą odpychani i zniechęceni, jak to było w Warszawie do niedawna.

Z nowości drugiej połowy sezonu zaznaczyć jeszcze muszę trzyaktową komedię Perzyńskiego p. t. „Szczeście



Frانيا“, oraz czteroaktową sztukę pana Jana Adolfa Hertza p. t. „Źródła cnót“.

W pierwszej autor potraktował dosyć powierzchownie pomysł niezły, a w malowaniu środowiska mieszczańskiego nie wznosił się ponad feljetonowość. Jego małżonkowie Lipowscy i ich otoczenie—to przecież ograne szablon; pomysłem nowym jest poświęcenie się zakochanego Frania (p. Lenczewski), pokrywającego swem nazwiskiem „grzech“ panny Heli (p. Dulęba - Piotrowska) z Ochockim (p. Brydziński)—wszystko to razem—temat do nowelki. Rzecz ta, przeniesiona do teatru, nie dorównywa poprzednim sztukom Perzyńskiego, a zwłaszcza „Lekkomyślnej siostrze“. Robota pośpieszna, niedbała.

Bezbarwne środowisko mieszczańskich cnót i grzechów dał i p. J. A. Hertz w swoim „Źródła cnót“, gdzie znów mamy pomysł nieszczególny, choć nowy, rozwinięty i opracowany starannie, z wszelkimi pozorami prawdy życiowej.

Ale pozory to tylko. Gdyby nawet znalazła się znakomitość lekarska, udzielająca rad takich, jakie daje doktor Wolski rodzicom cierpiącego na bóle głowy i bezsenność Bolesława, to z radami temi zwróciłby się do dwudziestosześcioletniego filozofa, któremu ma szkodzić abstynencja, a nie do jego rodziców. A i rodzice ci dziwni są dosyć, ojciec zwłaszcza, który zamiast rozmówić się otwarcie z synem, woli raczej organizować przy pomocy kuzynka komedię całą z damą z półświatka, wprowadzoną do domu w charakterze zarządzającej gospodarstwem, i narazić się potem na słuszne zupełnie wyrzuty syna, że jego serce w błoto wrzucono.

Może to wszystko i pomysłowe, lecz od prawdy, tej prostej prawdy życiowej, dalekie jeszcze tymczasem. Ale

sztuka zrobiona jest dobrze i pozwala przypuszczać, że autor będzie pisał lepsze w przyszłości, gdy drogę własną znajdzie, która polega nie tylko na — niezwykłości pomysłu.

Role Bolesława i Kazimierza zagrali świetnie pp. Brydziński i Wostrowski. Talenty to prawdziwe, o których mówiłem obszerniej, pisząc o „Srebrnych szczytach“ Koneczyńskiego. „Uwodzicielką“ Bolesława była p. Pichorówna, bez zarzutu, jak zwykle. Pp. Wojdałowicz (lekarz), Bednarczyk i Bogusławska (Zarębsey) uzupełnili dobrze obsadę ról ważniejszych.

Wyczerpaliśmy tym sposobem repertuar teatrów rządowych w drugiej połowie sezonu zimowego. Jest on wogóle pod kierunkiem p. Kotarbińskiego ożywiony i zajmujący, razi jednak zwłaszcza u aktorów młodszych, wstępujących dopiero w szranki, pewnym brakiem horyzontów rozleglejszych, nowych idei, nowych umiłowañ i dążeń. Szarzyzna stosunków mieszczańskich, wiecznie te same zagadnienia przyziemnej bardzo miłości płciowej lub jej surogatów — jakże to jeszcze daleko do owego bezbrzeżnego morza życia, niewyczerpanego źródła sztuki. W tamtą stronę, ku szerszym, słoneczniejszym przestworom zwrócić się winien wzrok autorów młodszych, jeżeli chcą naprawdę zaważyć w naszej literaturze dramatycznej.

\* \* \*

Ożywiony, lecz dosyć nierówny pod względem wartości artystycznej repertuar miał w ostatnich dwóch miesiącach i teatr K. Zalewskiego w Filharmoniji. Ozdobą jego była w tym czasie „Aglawena i Selizeta“ Maeterlincka w doskonałej interpretacji ról tytułowych przez pp. Py-

tlińską i Łącką-Pawłowską, oraz Wieczór Adolfa Nowaczyńskiego, złożony z trzech jego wybornych sztuk jednoaktowych („Miłosierdzie ludzkie“, „Cyree Mańkowska“ i „Prawo Mimicry“).

W teatrze w Ogrodzie Saskim największe i zasłażone zupełnie tryumfy zdobywała „Mandragora“ w bardzo dobrej przeróbce Czesława Jankowskiego ze starej sztuki Macchiavella.

## JESZCZE O „LAURY“ WYSPIAŃSKIEGO.

(SŁÓWKO WYJAŚNIAJĄCE).

Szanowny „Poseł Prawdy“ był łaskaw zwrócić uwagę na mój szkic polemiczny, zamieszczony w styczniowym zeszycie „Sfinksa“ z r. b., a dotyczący „Laurów“ Wyspiańskiego.

Nie mam zamiaru prowadzić dalej polemiki, lecz nie mogę nie pomieścić paru słów, wyjaśniających moje poglądy i intencje.

Co do pewnych punktów, Szanowny Poseł Prawdy zgadza się ze mną i powiada, że „p. M. słusznie twierdzi, iż stałych i niezłomnych praw estetycznych nikt dotąd nie odkrył,“ i w dalszym ciągu cytuje moje własne zdania, oraz porobione przezemnie wyciągi z dzieł Kanta, któremi się posługuję, jako argumentami przeciwko nieumotywowanym, albo źle umotywowanym poglądom, wygłoszonym w artykułach „Tygodnika“ o „Laurach“ Wyspiańskiego i „Nowej estetyce“.

Ale dlaczego Szanowny Poseł Prawdy odwraca moje własne argumenty przeciwko mnie?

Gdzie i kiedy ja odmówiłem komukolwiek bądź prawa nieograniczonej swobody wyjawiania swoich sądów?

Szanowny Poseł Prawdy cytuje jedno z moich zdań, ale przez nieuwagę, opuszcza wyrazy końcowe i wskutek tego zmienia całkowicie istotę mego twierdzenia.

Ja napisałem: „To, co p. W. o Wyspiańskim wydrukował, można od biedy opowiadać sobie przy czarnej kawie i cygarze, ale publikować nie wolno, jeżeli się ceni własne pióro“.

Otóż autor „Liberum veto“ podkreślił z własnej inicjatywy wyrazy „nie wolno“, a zbyt milczeniem koniec okresu: „jeżeli się ceni

*własne pióro*“. Wskutek tego niedopatrzienia zdanie moje, wypowiedziane *warunkowo*, zmieniło się w zakaz *kategoryczny*, którego ja, zdeklarowany zwolennik krytyki subiektywnej, nie miałem ani prawa, ani zamiaru wygłaszać.

Owszem, twierdziłem i twierdzę, a umotywowałem to bardzo szeroko\*), że każdy posiada nieograniczone prawo do wygłaszania sądów estetycznych, ale dodałem, że należy „*wnieść własne pióro*“, to znaczy—nie wprowadzać w błąd czytelników przez popieranie swoich *subiektywnych* sądów, argumentami, posiadającymi *pozory obiektywizmu*, a mimo to stojącymi w jaskrawej sprzeczności z faktami historyczno-literackimi, mitologicznymi etc., oraz treścią dzieł krytykowanego autora.

Szanowny Poseł Prawdy pomija zupełnie całe rusztowanie *faktyczne, pozytywne*, na którym oparłem moje zarzuty polemiczne, i przez to sprowadza moje wystąpienie przeciwko artykułom „Tygodnika“ do minimalnych rozmiarów.

A kiedy właśnie to nie *ja* mówię, tylko *mócią fakty*. One i tylko one dały mi prawo do napisania tak bezwzględnej oceny wspomnianych artykułów.

Kto wykaże nicość zarzutów *rzeczowych*, które zajmują trzy czwarte mojej rozprawy, a których wartość i wiarygodność może sprawdzić każdy, nawet nie specjalista, ten tylko dowiedzie, że nie miałem słuszności.

Gdyby w „Tygodniku III.“ pomieszczono czysto *subiektywną* „*impresję*“ o twórczości Wyspiańskiego, nie myślałbym nawet o zabieraniu głosu w tej sprawie, albo, jeżelibym zabrał, to nie w formie polemicznej, lecz zupełnie innej.

---

\*<sup>v</sup> Uzasadniłem mój pogląd na zasadę subiektywizmu w krytyce, nie tylko w „Sfinksie“, lecz i w całym szeregu rozpraw drukowanych w książkach: „Subiektywizm w krytyce“ („Swoi i Obcy“), „Artyści i Krytycy, przyczynek do psychologii krytyki“ („Twórczość i Twórcy“). Próbowałem tam wykreślić granice pomiędzy zadaniami krytyki subiektywnej i obiektywnej. Napisałem tam między innymi, że „granice subiektywizmu w krytyce kończą się tam, gdzie się kończy analiza czysto *estetyczna*, a zaczyna *naukowa*, lub *moralna*“ (resp. społeczna). O dwóch zasadniczych typach wyobraźni (plastycznej i rozlewnej, epicznej i lirycznej), pisałem, opierając się na dziele Ribota („O wyobraźni twórczej“) w mojej pracy p. t. „Słowacki i nowa Sztuka“, próbując zastosować wywody badań psychologicznych do wyjaśnienia istoty i różnicy gienjusza Mickiewicza i gienjusza Słowackiego. Powtarzać wniosków, do jakich doszedłem w moich książkach, nie uważam teraz za konieczne.

Mógłbym poddać analizie typ wyobraźni, rodzaj gustu autora krytyk o Wyspiańskim i t. p., ale nie troszczyłbym się o jego erudycję, znajomość dziejów literatury i sztuki, oraz teorii estetycznych.

Z chwilą jednak, kiedy w „Tygodniku Ill.“ napisano, że Wyspiański nie tylko jest komas niemiły, ale dowodzą *szeroko i długo*, że mamy niejako prawo poczytywać go za coś w rodzaju „plagjatora“; kiedy wciągnęto, i to bezpodstawnie, do dyskusji fakty *konkretne* („Barzę“ Szekspira, „Króla Ducha“ Słowackiego, „Sclavus Sclavans“ Konopnickiej, Kaduceusz, Gorgonę, rogi Rolanda i Hernaniego); kiedy w celu ośmieszenia i poniżenia poety krakowskiego przekręcono—prawdopodobnie bezwiednie—jego intencje i przedstawiono w fałszywym świetle wyjątki z jego utworów; kiedy powołano się na „niezlomność praw estetycznych“: wtedy już zwykła, elementarna uczciwość nie pozwoliła mi *milczeć*.

Nie *sąd* o Wyspiańskim obraził i mnie i wielu, bardzo wielu innych, lecz *metoda*, zastosowana do rozbioru dzieł autora „Wesela“, nieściskość, niedbalstwo, powierzchowność, niedopuszczalna nawet w feljtonach.

Napisałem przecież wyraźnie („Sfinks“, styczeń 1910 r., str. 93). „Szczerego twórcę i duży, choćby dziwaczny, talent można analizować i wyprawać z jego duszy skalpelem krytycznym włókno po włóknie, kłaść pod najdoskonalszy mikroskop, i na zasadzie tak skrupulatnie zebranego materiału stworzyć syntezę *pozytywną* czy *negatywną*, dowieść, czy twórczość danego pisarza posiada jakąś trwalszą wartość, czy nie.

„*To wolno*. Ale nie wolno talentów szczyrych i niepowszednich wydrwiwać i bagatelizować, *opierając* się na poszczególnych *drobiazgach*, *wyrywanych dowolnie z całości* i rozebranych w dodatku *niedbale, niedokładnie*, bez próby wniknięcia w rdzeń rzeczy“.

To zdanie stanowi myśl przewodnią mojego artykułu i nie wątpię, że Szanowny Poseł Prawdy, który w życiu swoim miażdżył i druzgotał autorów i działaczy, których działalność uważał za szkodliwą, nie zaprotestuje przeciwko takiemu postawieniu kwestji.

Podobny zakaz—zresztą czysto teoretyczny—nie jest przecież *nakładaniem kagańca na swobodę myśli i słowa*.

To *prawo*, które obowiązuje nas, wszystkich, autorów, krytyków, publicystów, redaktorów, feljtonistów, słowem tych, co zabierają głos publicznie.

Wolno nam mieć własne zdanie i wygłaszać je łagodnie, czy bezwzględnie, poważnie, czy ironicznie, wolno nam pisać dziwactwa

i paradoksy, ale nie wolno nam *bałamucić* opinii publicznej, błyszczeć *pozorami* nauki i erudycji, nie wolno podawać fałszywych *faktów* i wyciągać z nich fałszywych wniosków.

Możemy się mylić, ale nawet za błąd, popełniony w dobrej wierze—musimy ponosić odpowiedzialność.

Hasła podobne tak często spotykałem na szpaltach „Prawdy“, oraz i w artykułach, podpisywanych przez Posła Prawdy, że, pomimo różnicy upodobań estetycznych, w poglądach na sprawę *rzetelności pisarskiej* stoimy chyba na tym samym gruncie.

W dalszym ciągu porusza Poseł Prawdy ważną i interesującą kwestję liczenia się z sędami estetycznymi, nie tylko krytyków zawodowych, lecz i w ogóle ludzi inteligentnych, a specjalnie twórców — o twórcach.

Zastrzegam się, że nie użyłem w moim artykule ani razu terminu krytyk *zawodowy*, lecz mówiłem o krytyku *urodzonym*, krytykiem „zawodowym“ można zostać z konieczności, lub przypadku, krytykiem „urodzonym“ można być, nie pisząc nawet wcale krytyk.

Pozatem, godzę się najzupełniej na to, że sądy ludzi inteligentnych, (a nawet i nieinteligentnych) o dziełach sztuki posiadają wielką wartość, jako *dokumenty psychologiczne*, i że należy je uwzględnić i badać.

To doskonały materiał do analizy psychologii wrażliwości estetycznej.

Co do sądów artystów o artystach — to znany psycholog francuski F. Paulhan dochodzi do wniosku, że na ogół „Artyści—twórcy posiadają słabe zdolności analityczne i wskutek tego patrzą na dzieła cudze przez pryzmat własnych i, składając na właściwym sobie polu dowody niewątpliwej gieńjalności, wykazują *nieraz* w krytyce dziwną ciasnotę i brak inteligencji“.

Podkreśliłem słowo „nieraz“, żeby złagodzić ostrość cytaty francuskiego psychologa, wiem z obserwacji bowiem, że zdanie Paulhana, aczkolwiek może i słuszne w zasadzie, jest jednak sformułowane w sposób zanadto kategoriyczny. Znam zbyt wiele wyjątków od tej reguły, żeby poczytywać ją za jakieś niewzruszone prawo.

Ale to kwestja, wymagająca obszernej i wyczerpującej dyskusji, popartej faktami, a wskutek tego wykraczająca poza ramy krótkiego wyjaśnienia.

*Ignacy Matuszewski.*

## Przeglądy i sprawozdania.

W. Przyborowski: „Przyczyny upadku Polski“. Warszawa. „Nowości literackie“, 1909 r. Marjan Dubiecki: „Z przeszłości“ (1861—1862). Kijów, 1910 r.

Bardzo oryginalną książkę dał nam znany autor mnóstwa popularnych powiastek historycznych dla młodzieży, jeden z nielicznych historyków okresu lat 61—64; ex powieściopisarz w swoim czasie bardzo lubiany i wreszcie bardzo niefortunny onego czasu publicysta polityczny — p. Walery Przyborowski. Już sam tytuł „Przyczyny upadku Polski” zastanawia i zachęca czytelnika. O tych przyczynach tak utarła się cała historjofiliczna teoria, nadużywana na każdym kroku przez historyków, publicystów i każdego w rezultacie, kto tylko sobie życzy, że człowiek chciwie szuka czegoś nowego pod tym względem.

Dzielko Przyborowskiego, wydane przez „Nowości literackie”, zawodu nie zrobi; znajdujemy tam rzecz nową. „Utarło się zdanie—powiada autor — przez rządy państw rozbiorowych ułożone, a przez znaczną część historyków naszych poparte, „że Polskę zgubiły nie obce sąsiednie mocarstwa, ale niemoc własna, brak rządu, skarbu, wojska i anarchja zupełna, która podwalinami Rzeczypospolitej zachwiała i do koniecznego upadku doprowadzić musiała... Rządy te udowodnić się starały, że rozbierając Polskę, naprzód odzyskiwały



swą własność ongi utraconą, oraz, że wobec przeżycia się politycznego Rzeczypospolitej, wyrok tylko Nemezis historycznej spełniły. Zdanie to zostało przyjęte i przez nas samych, a pierwszym—podług Przyborowskiego—jego przyjęcia przejawem był znany Manifest Tow. Demokratycznego z r. 1836, głoszący, że „ojczyzna nasza nie obcą przemocą, ale wadami stanu społecznego upadła“.

Teorię taką, będącą niezwykle szkodliwą w skutkach dla światopoglądu politycznego narodu i dla wzmocnienia ufności i wiary w siebie, uważa p. Przyborowski za błędną zupełnie. „W twierdzeniu, jakobyśmy byli społeczeństwem rozbieżnym i nieumiejącem żyć politycznie, jakobyśmy tylko z własnej winy przyczynili się do upadku Polski, niema krzty prawdy, a przynajmniej jest jej bardzo niewiele“—powiada lapidarnie.

Przodująca warstwa narodu, szlachta, ani zdemoralizowaną, ani rozwydrzoną nie była, można jej zarzucić brak znamion praktyczności mieszczańskiej, ale nigdy heroizmu, który może być przymiotem ciał rześkich i pełnych żywotności; rządy i urzędy nie były bynajmniej bardziej sprzedajne, niż inne współczesne im urzędy szwedzkie, rosyjskie, pruskie, austriackie lub nawet angielskie, gdzie na tysiąc członków izby lordów tylko 40 nie było przekupionych; mieszczaństwo, którego brak podobno nam zaszkodził, nigdzie nie okazało się lepszym niż nasza szlachta, uciemnienie chłopów w Polsce bynajmniej nie było wyjątkowym w porównaniu z innymi krajami, a masowe wyzwolenie chłopów dałoby bardzo wątpliwe rezultaty, o ile się tyczy sił narodowych, ze względu na brak uświadomienia narodowego i kultury a konserwatywnych i ciemnych mas ludowych.

Rząd był zły i anarchiczny, lecz naród szukał na to lekarstwa i znalazł je w konstytucji 3 Maja.

Wszystkie więc przyczyny upadku, podawane dotąd, tylko część prawdy w sobie mieszczą i przy nich Rz.-plita trwać mogła wieki całe. Hiszpanja lub Turcja mają i dziś jeszcze rządy nielepsze, a jednak istnieją.

„Dzieje zachowały nam liczne świadectwa upadku wielkich państw, i zawsze ostateczną i główną przyczyną tego upadku być musiał obcy“. Państwo, które najazd zdołało odeprzeć, istniało dalej, jeżeli zaś przemoc obca była silniejszą, a inne warunki nieprzyjazne—państwo, mimo najzdrowszych podstaw opaść musiało i upadło. Tak było i z Polską: upadła, bo nie zdołała wyrzucić najazdu obcego ze swych granic, bo w wojnach, z nim prowadzonych, zawsze pobitą została. „Pokonaną zaś była nie dlatego, by sił i zasobów odpo-

wiednich nie posiadała, ale że wodza i naczelnika zdolnego i energicznego nie miała.“

Taką jest teza p. Przyborowskiego, której dowiesć usiłuje on w opartym głównie na rozprawce Prądzyńskiego<sup>1)</sup> krytycznym rozbiornie dziejów naszych walk o niepodległość: Konfederacji Barskiej, wojny 1792 r., Powstania Kościuszkowskiego, wojen z czasów Księstwa Warszawskiego, wojny polsko-rosyjskiej 1831 roku, oraz w końcu w bardzo krótkim i ogólnikowym rozbiornie powstania 1863 r.

Partyzantka barszczan, w liczbie kilkunastu tysięcy lichej kawalerji, uganiających się z 12 tysiącami Rosjan po kraju całym przez lat cztery blisko, właściwie nie zasługuje na miano wojny. Prócz rywalizujących wечно ze sobą Pułaskiego Kazimierza, śmiałego wojaka bez fachowego wykształcenia, i Dumourieza, fachowca bez znajomości terenu i ludzi, z którymi miał walkę prowadzić, nie wydała ona żadnego wybitniejszego wodza. Jedyny plan w całej tej kampanji, opracowany przez Dumourieza, był wykonany źle i zepsuty przez Pułaskiego. Zakończył się on też zdobyciem Lanckorony, najważniejszego stanowiska konfederatów. To też mimo względnie sprzyjających warunków politycznych, jak neutralność Prus, życzliwość Austrii, a pomoc Francji i Turcji, konfederacja upadła.

Wojnę z Rosją w 1792 r. stoczyliśmy, mając 70 tys. niezłego wojska i około 200 dział. Przegraliśmy ją tylko przez brak wodzów, z których jeden, ks. Wirtemberski, był jawnym zdrajcą, a drugi ks. Józef Poniatowski „mdła dusza“ i słaba głowa, prowadził wojnę jak najgorzej. Wojska nie zorganizował, planu kampanji nie opracował, opuścił sposobność do zadania stanowczej klęski nieprzyjacielowi, a później zamiast bić się, demoralizował wojsko ciągłym odwrotem; jedyną większą bitwę, jaką stoczył pod Zieleńcami — poprowadził jak najgorzej. W końcu, mając kilkudziesięciotysięczną armję, popartą powszechnym zapalem mieszczaństwa, i obfite zapasy, z których później Kościuszko 8 miesięcy czerpał, zmarnował wszystko. Gdy król przystąpił do Targowicy, na ratowanie ojczyzny zabrakło mu energii. Ofiarowaną sobie przez oficerów dyktaturę odrzucił i wojska wraz z całą niemal starszyzną opuścił, biorąc dymisję i udając się na emigrację. Kampanję przegraliśmy, powiada p. Przyborowski „nie z powodu braku sił, rozstroju społecznego, anarchji lub zepsucia moralnego, ale dlatego, że nie mieliśmy dobrego wodza, dobrego generała, wielkiego charakteru“.

---

<sup>1)</sup> Ign. Prądzyński: Czwerej ostatni wodzowie polscy.

W gorszych nierównie warunkach, bo z wojskiem słabem (26-tys.), skrępowani przez najazd, walczyliśmy w 1794 r. Mimo to energia narodu przewyciężyła trudności. Na wstępie walki wojsko doprowadzono do 70 tysięcy, a rewolucja w Warszawie dała broń i amunicję. Niestety, wódz powstania „Kościuszko poza zaletami charakteru, który w czasach spokojnych byłby ozdobą społeczeństwa, obok braku wyższych talentów wojskowych, doświadczenia wojennego, jednym słowem tego Bożego tchnienia, które tworzy wielkich hetmanów, miał usposobienie miękkie, zgoła nieodpowiednie dla ówczesnego położenia.“ Nie okazał on energii, woli stanowczej i co najważniejsza nie widać w jego działaniach planu, na szerszą zakrojonego skale. Zamiast kierować wypadkami, dał się im powodować w zupełności. Wygrawszy przypadkiem bitwę Raclawicką, która mogłaby się zakończyć przy normalnych okolicznościach pogromem, zabijającym powstanie w zarodku, Kościuszko marnuje kilka tygodni nad Wisłą, poczem daje się wciągnąć w bitwę szczekocińską. Bitwa ta, prowadzona nieudolnie, kończy się klęską i oddaje południe Polski wrogowi, znów czas dłuższy Kościuszko marnuje, niepotrzebnie rozdrabnia siły powstańcze i wreszcie po dzielnej obronie Warszawy, stawia wszystko na jedną kartę pod Maciejowicami. Na bitwę tę wyruszył z siłami zbyt małemi, bojąc się ogałacać Warszawy z wojsk w razie ponownych rozruchów ludowych, lub najścia Prusaków. Plan bitwy maciejowickiej wreszcie Kościuszko opracował wadliwie i, przegrawszy ją, zgubił całą sprawę.

Klęski w wojnach ks. Warszawskiego tłumaczy Przyborowski tem, że ówczesny rząd polski nie zrozumiał hasła Staszycy, głoszącego: „Srom dla nas wieczny, gdybyście teraz nie odzyskali niepodległości. Tylko nikczemny, będąc uzbrojonym, powraca w haniebną niewolę“. Zamiast wszystkie siły skierować ku uniezależnieniu się i wewnętrznemu wzmoczeniu się, ówczesni statysci nasi powierzyli losy kraju na łaskę i niełaskę Napoleona, w chwili zaś jego upadku, zamiast zbroić się i wystąpić samodzielnie, paktowali z cesarzem Aleksandrem i poddali mu się, gdy armja niepotrzebnie zupełnie opuściła kraj, ruszyła z wodzem swym ks. Józefem do Niemiec: ks. Józef znów miał w swym ręku losy kraju, i po raz drugi „uśmiechem fortuny nie pogardził, ale go nie dostrzegł. Rezultatem ostatniego błędu jego był nowy podział kraju“.

Wojna 1831 r. była jednym ciągiem błędów, wynikających li tylko z winy wodzów naczelnych: Chłopickiego, Skrzyneckiego i Krakowieckiego, którzy zmarnowali doszczętnie olbrzymi wysiłek narodowy, dzięki któremu stanęło w polu 90 tysięcy żołnierza, co miał

i atakować z niebywałą brawurą i lec pokotem w obronie pozycji, gdy nie otrzymał rozkazu do odwrotu. Zasadniczych błędów w prowadzeniu wojny P. widzi cztery: 1) nie zgębiono korpusu litewskiego w początkach wojny; 2) dokonano awanturycznej wyprawy na gwardję; 3) dopuszczono przeprawy Paskiewicza przez Wisłę i 4) zdradziecko poddano Warszawę. Z wyjątkiem 2 punktu, zgodzić się można z Przyborowskim na wszystkie zarzuty. Wyprawa na gwardję była nieudolnie prowadzona, lecz jako pomysł uznana została przez fachowców za świetny i w razie szczęśliwego rezultatu od razu by zmieniła przebieg wojny. Chłopickiego potępia autor stanowczo i słasnie, broni nieco Skrzyneckiego, zbyt, zdaniem jego, spotwarzonego przez Prądzyńskiego i innych, idących za zdaniem tego największego naszego strategika. Postępowanie Skrzyneckiego Przyborowski wyjaśnia jego planem kampanji, polegającym na oszczędzaniu armji aż do chwili interwencji zagranicznej, w którą wierzył tak stanowczo, jak nie wierzył w pokonanie Rosji siłami polskimi. Stąd wypłynęło jego zabójcze dla Polski kunktatorstwo, zakończone zamknięciem całego powstania w Warszawie, którą Krukowiecki i jego następcy oddali zgębionemu i zdeorganizowanemu wojsku Paskiewicza, podczas gdy większość arystokracji, eskortowana przez wyborowy korpus Ramoriny, uchodziła za granicę.

O powstaniu 63 r. mówi autor krótko: było ono w zasadzie błędem, mając zamiar bić się po partyzancku z kilkaset tysiącami nieprzyjaciela, ciągnęło się bez planu—było aktem rozpaczny. Wśród legjonu dowódców zabłysli na chwilę Langiewicz i Sierakowski. Obaj jednak nie wykazali wybitnych zdolności i nawet możliwych warunków do walki nie wykorzystali.

Na tem autor kończy swą książkę, przeznaczając ją dla upadłych na dachu, którym „niech będzie pociechą, ukojeniem i otuchą, ożywi serca, wypłeni zwątpienie“.

Prawdopodobnie p. Przyborowski, puszczać w świat swą pracę, ten tylko cel miał w myśli, daleki od pretensji dania rzeczy, opracowanej ściśle naukowo i stojącej na wysokości dzisiejszego poziomu historycznej nauki naszej. Praca też jego celu dopięta w zupełności. Czyta się łatwo i zajmująco; werwa isticie staropolska, lapidarność stylu i jasny wykład cechuje ją od początku do końca. Na wnioski autora oczywiście trudno się zgodzić, już choćby z tego powodu, że skrytykowani przezeń wodzowie nasi również gienjuszów przeciw sobie nie mieli. Należało więcej miejsca poświęcić rozbiorowi przyczyn, dlaczego Kościuszko musiał w Warszawie zostawić połowę armji „dla obrony kilkunasta zdrajców i łajdaków“, a z drugą

polową iść pod Maciejowice; dlaczego Skrzynecki bał się zniszczyć gwardję, Chłopicki powołać do szeregów „ruchawkę i hołotę“, Krukowiecki wobec nadciągającego nieprzyjaciela armaty przeciw ludowi zataczał na ulicach, a Czartoryscy, Potocecy, Sapiehowie, Sanguszkowie pod osłoną korpusu Ramoriny ku granicy austriackiej zmykali, a wówczas możeby i autor bezwzględnie tak całej odpowiedzialności na barki jednostek nie zwałil.

W każdym bądź razie książkę powinni wszyscy, szczególnie młodzież, uważnie przeczytać. Usunie ona wiele zakorzenionych uprzedzeń i płytko pojętych dogmatów.

Są postacie dziwne w naszym tak podatnym na wpływy zewnętrzne, zmieniające do gruntu usposobienia ludzkie, czasie.

W ciągu lat szeregu wśród przesuwających się, niczem w kalejdoskopie, czy kine matografie, wydarzeń, prądów, idei, czy to wśród ryku burzy dziejowej, czy wśród usypiającego zastojów apatii powszechnej, postacie te stoją niezłomne, jednakże zawsze, wierne ideałom młodości, niezłomne w przekonaniach i stałe w kulcie swych świętości. Z nielicznej już garstki bojowników 63 roku, wśród nas żyjącej i szerszemu kołu znanej, obok niezłomnego Stanisława Krzemieńskiego, postaci niby z jednej bryły wykatej, jeszcze w ogniu poezji romantycznej i w twardej epoce powstania zahartowanej, taką postacią, acz na przeciwnym krańcu przekonaniowym stojącą, będzie Marjan Dubiecki.

W roku zeszłym miałem sposobność na szpaltach „Slinksa“ omówić pracę jego o jednej z najpiękniejszych postaci z dziejów martyrologii zeszłych pokoleń, Romualdzie Traugucie, obecnie znów mam przed sobą świeże wspomnienia weterana tego dawnych walk naszych, zatytułowaną: „Z przeszłości“, w Kijowie, u Leona Idzikowskiego wydane.

Wspomnienia te opowiadają nam o t. zw. „Zjeździe horodelskim“ 10 października 1861 r., oraz dają dzieje wygnania autora wraz z bratem do Wiatki, Tambowa i wreszcie zapadłej miejsciny pośród stepów kapezackich Lebedianiu. Trzymając się formy wspomnień osobistych, autor nie daje faktów nowych, z wielką nawet szkodą dla opowiadanych przez siebie wydarzeń. Zbyt, mojem zdaniem, mało opowiada np. o Zjeździe horodelskim, ograniczając się do malowniczych niezwykle obrazów i żywych opowiadań. Nieco ogólniejszych wyjaśnień przyczyn tej wiekopomnej manifestacji, opowieść choćby krótka o jej organizacji, celach, osobistościach, kierujących nią i przygotowaniach do niej, wśród których były tak oryginalne duchy, jak Leonard Sowiński, przydałoby się bardzo. Po-

mimo jednak tych braków, opowiadanie czyta się z zajęciem niezwykłym, szczególnie pięknym jest obraz zbliżającego się do Horodla olbrzymiego pochodu manifestacyjnego z chorągwiami o herbach województw i ziem dawnej Rzeczypospolitej, oraz opowieść o podpisywaniu aktu zjazdu, utrzymane w niezwykle żywym tonie. A oto zakończenie:

„Jesienne słońce już się chyliło ku zachodowi, gdy wkopano krzyż na kopcu i zaczęto się rozchodzić i rozjeżdżać. Rozchodzono się i rozjeżdżano po całodziennem niezmiernem umęczeniu z wielkiem podniesieniem dacha i z rozjaśnionem obliczem, a radością w sercach i miano to przeświadczenie i słasznie, że przeżyło się dzień, mówiący o życiu narodu, iż się godnie uczciło ów wielki fakt dziejowy, który w XV wieku, niosąc pochodnię wiary i księgę praw na wschód wielkich puszczy, za Narew i Bug, rozszerzył granice ówczesnej Europy chrześcijańskiej, dążącej do światła, a wyrwał pogaństwu i zdziczeniu spory kęs ziemi“.

W zakończeniu tem maluje się cały światopogląd autora, wybitnego bojownika katolicyzmu w społeczeństwie naszym. Tym też religijno-katolickim dachem przeniknięte jest i drugie wspomnienie Dubieckiego: „Pierwsze moje wygnanie“.

„Zjazd Horodelski“, który wywołał niesłychane ożywienie patriotyzmu na całym Zabażu, sprowadził represje na obywatelstwo tamtejsze. Represje te polegały na raptownem aresztowaniu i deportacji do głębi Rosji pewnej liczby obywateli wiejskich, oraz inteligencji miejskiej i młodzieży szkolnej. Losowi temu ulegli i dwaj bracia Dubieccy: młodszy, autor wspomnień, i starszy, Aleksander, siedzący na majątku rodzinnym koło Beresteczka. Za postawienie we wsi swej krzyża obaj zostali porwani i wywiezieni do Wiatki.

Piękne bardzo jest opowiadanie o chwilach ostatnich przed aresztowaniem, gdy autor, pełen złych przeczuć, powraca po dłuższej nieobecności do domu i mimowoli ekwipuje się na daleką podróż. Opis tej podróży, odbywanej „po pierokładno“ w towarzystwie jednego policjanta od Żytomierza do samej Wiatki i to z unikaniem w myśl instrukcji urzędowej podróży koleją, należy do najbardziej zajmujących. Po przybyciu na miejsce, wygnańcy, dzięki pomocy osiadłych tam rodaków i życzliwości władz, z uczciwym gubernatorem Niemcem Klingenbergiem na czele, organizują ródzaj klasztoru, gdzie wspólnie mieszkają. Z galerji całej wygnańców, o jakich nam opowiada Dubiecki, szczególnie w pamięć wraża się postać massona, wyłączanego ze wszystkich amnestji, nieugiętego jednak i, mimo unikania wszelkich stosunków z ludźmi,

otoczonego czią powszechną; dalej fanatyka - apostoła katolicyzmu, Kapucyna ze Starokonstantynowa, którego poznajemy z opowiadania starego wygnańca; młodego Korewy, zapaleńca, idealistę, opuszczonego przez matkę lojalistkę, uważającą wygnanie syna za słuszną expiację, i kilku innych.

Kontrast z wygnaniem w Wiatce tworzy wygnanie w Tambowie, dokąd Dubieccy przewiezieni zostali pod opiekę niezycziwej i ostrej administracji, z wybornie choć krótko scharakteryzowanym gubernatorem, zrusyfikowanym Hiszpanem i podstarzałym lowelasem Danzasem na czele; po krótkim jednak tam pobyciu i odwiedzeniu jeszcze Lebidianiu, obaj zesłańcy wrócili do kraju, dzięki staraniom rodziny i moźnej protekcji, aby po dniach sześćdziesięciu znów rzucić się w wir wypadków, które autora wspomnień aż do Nerczyńska zawiodły.

Książkę, acz daleką od dzisiejszego pokolenia dachem i tendencją, czyta się z przyjemnością. Jak w pierwszym opowiadaniu, tak i w tem, są miejsca niezwykle poetyczne i piękne, jak choćby opowieść o wigilji wygnańczej w Wiatce.

*Józef Dąbrowski.*

**Epos.** Najznakomitsze poematy epickie wszystkich krajów i narodów w streszczeniach i wyciągach. Pod redakcją Antoniego Langego. Nakładem księgarni Feliksa Westa w Brodach. Warszawa, Wende i Sp. — Tom I: Epos babilońskie (Enuma Elis). — Tom II: Epos egipskie (Kleohdy, Romanzero, Pentaur). — Tom III: Epos indyjskie (Valmiki: Ramayana).

Na ogromną skalę zamierzone jest i rozpoczęte wydawnictwo, zainicjonowane i redagowane przez p. Antoniego Langego. W „streszczeniach i wyciągach” — a co bezwarunkowo dodać należy — i w świętych przekładach znakomitego poety, zawrze ono wszystkie najwybitniejsze poematy epickie wszystkich czasów i wszystkich narodów, od dzieł pierwotnych bezimiennej twórczości ludowej, na 30 wieków

przed Chrystusem spisanych babilońskich mytów religijnych — począwszy, aż po wiek ostatni, który był kulminacyjnym momentem ewolucji epopei, jako dzieła świadomej sztuki i był zarazem — wedle wszelkiego prawdopodobieństwa — kresem ewolucji tego rodzaju (*genre*) twórczości literackiej, przed przejściem jego pierwiastków składowych w inne rodzaje, inne formy twórcze.

Począwszy od twórczości właściwie nie ściśle epickiej, a raczej teologiczno-poetyckiej Babilonu, stanowiącej najdawniejszy pomnik kultury, sięgający wstecz na 3,000 lat przed Chr., — począwszy od klechd, rapsodów i powieści rycerskich Egiptu, począwszy wreszcie od pierwszego właściwego eposu, wydanego przez prastarą nadgangesową kulturę, od „Ramayany“ i „Mahabharaty“, słusznie, czy niesłusznie — mniejsza o to — związanych przez tradycję z uchodzącym za ich twórcę Valmikim, — wydawnictwo rozpoczęte przez p. A. Langego przechodzi do starogreckiej epopei, „Iljady“, „Odyssei“, objąć zamierza epikę starożytną, by potem wytworzoną przez Rzym epicką poezją („Eneida“ — „Metamorfozy“, — „De rerum natura“, — „Farsala“), zamknąć cykl, obejmujący wieki starożytne.

Średniowiecze dostarcza legend celtyckich, daje „Eddę“, — „Nibelungi“ — epos rycerski Niemców, *Chansons des gestes* francuskie, romanzero hiszpańskie i bohaterskie czyny Cyda, daje rycerską poezję Arabów i *Szah-Nemeh*. Nowożytna epoka daje epos ściśle artystyczny: Danta „Boską komedję“, Ariosta i Tassa, Luizjady i Miltonowski „Raj utracony“, „Messjadę“ Klopstocka arcynadnego i „Henrjadę“, daje epickie dzieła Chateaubrianda, Wiktora Hugo, Byrona, Goethego i t. d.

Słowiańską twórczość zamierza p. Lange traktować bardzo obszernie, uwzględniając wszystko, co Słowiańszczyzna w zakresie eposu wydała, od eposu ludowego (niejako), aż po Zeyera, Puszkina, i t. d. Rozumie się, że równie szeroko traktowana będzie i twórczość epicka polska z Potockiego „Wojną Chocimską“ na czele, z zapomnianymi zupełnie, jak Zaborowski („Bolesław Chrobry), Tomaszowski („Jagiellonida“), Koźmian („Stefan Czarniecki“) i wiecznymi, jak Mickiewicz, Słowacki.

Zakres więc zamierzonego i rozpoczętego wydawnictwa olbrzymi, oparty o jaknajszersze pojęcie kategorii eposu. Znaczenie wydawnictwa, któremu nic podobnego w literaturze naszej przeciwstawić nie można, nie mniejsze.

W epoce dbalej — w każdym kierunku przedewszystkiem o szybkość, łatwość i dokładność informacji, nie mającej ani czasu, ani możliwości bezpośredniego sięgania do źródeł, najczęściej niedostęp-



nych, wydawnictwo takie, wybierające z ogromnego materiału to, co w nim najważniejsze i najlepsze, streszczające sumiennie a zwięzłe to, co podrzędne, albo przestarzałe, odda społeczeństwu a przede wszystkim miłośnikom sztuki, literatury powszechnej, nieocenione usługi.

O sposobie traktowania przedmiotu, zupełne pojęcie dają wydane dotychczas trzy tomy, obejmujące epos babiloński, egipskie i pierwszą część eposu indyjskiego: „Ramayanę”. Każdy tom obejmuje wyczerpujący, acz zwięzły komentarz, oparty o najnowsze wyniki badań naukowych, dotyczących danego przedmiotu, obszernie streszczenie dzieła i świetny a wierny przekład najpiękniejszych i najważniejszych ustępów.

Niezmiernie ciekawą rzeczą rozpoczyna p. A. Lange swe wydawnictwo, mniejsza o to, czy zupełnie słusznie nazwanym „eposem babilońskim”, zbiorem religijnych tekstów ksiąg świętych Assyrii i Babilonu, ksiąg, wziętych zapewne w puściznie po najdawniejszych ludach Mezopotamji, Sumirach i Akadach. „Poemat-wykopalisko”, jak go nazwano, a raczej serja poematów wykopalisk, łączących się treścią i powtarzającymi się wciąż postaciami bogów i bohaterów, zawiera mnóstwo motywów, powtarzających się o wieki później w mitologii Greków i Rzymian, czy Skandynawów i Germanów, niemal identycznych z wielu motywami religijnej poezji Hebrajczyków. Prześliczny jest ten poemat o Gilgameszu, królu-bohaterze, co i z potopu dzięki łasce bogów się dobył i potem z Istarą boginią walki zacięte toczył — o przyjacielu jego Eabanim, co straciwszy niewinność tęskni za nią i razem z Gilgameszem zwalcza kult Istarę i ją samą, bezwstydną.

Niemniej ciekawe, choć więcej znane, choćby ze zbioru Maspera, są klechdy egipskie, jakby pierwsze w literaturze świata nowele, w których także niebrak motywów, spotykanych nieraz później w literaturze Wschodu i Zachodu. Szkoda, że opuszczono zabawną klechdę o Rampsinicie, powtórzoną przez Herodota, a w tyle stuleci później użytą przez Heinego. Poza klechdami i fragmentem eposu zwierzęcego, tom ten zawiera „powieść rycerską” z opisem egipskich obyczajów rycerskich, bardzo podobnych do obyczajów rycerstwa europejskiego wieków średnich. Rycerze—których było niewiele, bo na 10,000 wojska ledwie 10—20 — mieli obowiązek męstwa, honoru, obrony niewinnych, nie wolno im było trudnić się handlem i zbieraniem bogactw; mieli swe signum rodowe, niby herb, odrębne szaty. Spory pomiędzy sobą rozwiązywali za pomocą sądów bożych, pojedynków. Wogóle było to zjawisko zupełnie pokre-

wne o tyle późniejszemu rycerstwu europejskich wieków średnich. O rycerzach więc opowiadają rapsody, z których p. Lange wybrał jeden, bardzo pokrewny duchem późniejszym opowieściom o Rolandzie i Cydzie. Wreszcie tom ten zawiera opowieść epicką o Ramzesie i bohaterskich czynach tego monarchy, który rządził Egiptem na 14 wieków przed Chrystusem.

Pierwszą rzeczywistą epopeją w zbiorze, wydawanym przez p. Langego, jest „Ramayana“, ten „przepotężny wybuch twórczego ducha pierwotnych Arjów“, ten „ogrom dźwięków i obrazów“, który się zwie eposem indyjskim, a który, „wije się, toczy, wybucha, jak bogata roślinność zwrotnikowa, jak palące promienie słońca indyjskiego, rodzica statysięcznych barw, bujnych soków życia, kształtów przeróżnaitych: zarówno pięknych, jak poczwarnych“.

Po raz pierwszy w literaturze polskiej pojawia się tu „Ramayana“ w streszczeniu, obejmującym jej całość, dając tem samem „całkowite pojęcie“ o tym wspaniałym eposie. Zużytkowawszy dwa fragmenty, przełożone jeden przez Lenartowicza, drugi przez p. Święcickiego, p. Lange dał sporo ustępów własnego wierszowanego przekładu. Tłomacz „Nala i Damayanti“ i tym razem okazał się mistrzem wielkim. Niejeden ustęp tego przekładu miałbym ochotę powtórzyć, gdyby na to pozwoliły ciasne ramy niniejszej wzmianki.

Wydawnictwu tak świetnie rozpoczętemu życzymy jaknajlepszego powodzenia i rozwoju.

*A. Strzalecki.*

## PRZEGLĄD PRASY.

**Przegląd Filozoficzny.** (Rok XIII. Zeszyt I i II 1910 r.). „Wyjaśnienie i opis“. Prace, odznaczone na konkursie „Przeł. Filozof.“ Treść: Józefa Kodisowa „Wyjaśnienie i opis“. Franciszek Sękowski „Wyjaśnienie i opis“. Adam Zieleńczyk „Wyjaśnienie i opis“. Kazimierz Sośnicki „Wyjaśnienie i opis w badaniach naukowych“. Stanisław Bobiński „Opis i wyjaśnienie w nauce“. Krytyki i sprawozdania z dzieł Wł. Biegańskiego, W. Wąsika, W. Heinricha, F. Młynarskiego, K. Appa, Wł. M. Kozłowskiego, M. Zielińskiego, M. Sobeskiego, H. Lotzego, M. Montaigne'a i M. Dessoir'a przez: M. Borowskiego, Wł. Tatarkiewicza, F. Znanięckiego, J. Kodisową, J. Segalę, A. Zieleńczyka, M. Sobeskiego. Autoreferaty: K. Twardowski „O filozofii średniowiecznej wykładów sześć“. M. Sobeski „Cieszkowskiego Prolegomena do Historjozolji“. Str. 262.

**Kwartalnik Litewski.** Wydawnictwo, poświęcone zabytkom przeszłości, dziejom, krajoznawstwu i ludoznawstwu Litwy, Białorusi i Inflant. Redaktor i wydawca: Jan Obst. Petersburg. („Księgarnia Polska“). Rok I, Tom I, 1910). Treść: „Do Czytelników“ p. J. Obsta, „Obraz Najświętszej Panny Marji Ostrobramskiej“ p. dr. W. Zachorskiego, „Pomnik Wojciecha Gasztolda w Katedrze wileńskiej“ p. S.

Cerchę, „Homolicki o grobach królewskich w Katedrze wileńskiej“ p. L. Zasztowta. „Ślady epoki kamiennej w gub. Wileńskiej“, p. W. Szukiewicza, „Słowacki i Stattler“ p. L. Méyeta, „Ksiądz Józef Mickiewicz w świetle przyczynków nowych kilku“ p. L. Uziębłę“, „Wspomnienie o Pijarach witebskich“ p. Gozdawę, „Inwentarze ruchomości domowych w dawnych wiekach na Litwie“ p. Z. Glogera, „Herbarz Litewski“ p. J. O. „Niektóre rzadkie druki, znajdujące się w księżnicy Tow. przyj. nauk w Wilnie“ p. dr. Czarkowskiego, „Adam Wendorff, ostatni podkomorzy słucki“ p. X. Czeczotta, „Ślapi Róg“, p. G. Manteuffla, „Piosenki wieśniacze z nad Niemna i Dźwiny“, „Środki lecznicze ludu naszego“ p. J. O. Silva Rerum. Szesnaście pięknych ilustracji na oddzielnych tablicach i kilkanaście w tekście. Winjety, inicjały i t. p., skopjowane z oryginalnych druków litewskich XVII i XVIII w.

**Pamiętnik Literacki.** Czasopismo kwartalne, poświęcone Historji i krytyce literatury polskiej, wydawane przez Tow. Lit. im. A. Mickiewicza, pod redakcją Ludwika Biernackiego. Rocznik VIII (1909).. Treść: I. Rozprawy. W. Lutosławski „Dzieje jaźni u Słowackiego“, J. G. Pawlikowski „Słowacki o przyszłym człowieku“, Schnejder S. „Słowacki jako gnostyk“, Klejner J. „Król Duch. Zasadnicze pierwiastki treści i ich ewolucja w twórczości Słowackiego“, Grabowski T. „Słowacki w okresie powstania Lambra“, Dąbrowski T. „O Trójcy w Króla Ducha“. II. Notatki. Hahn Wiktor „Kilka notatek o Euzebjuszu Słowackim“, Mościcki H. „Józef Massalski — gawerner Słowackiego“, Jankowski Wł. „Z emigranckiej doli“, Stroński St., „Wpływ Dantego w „Grobie Agamemnona“, Hahn W. „Smutno mi Boże J. Słowackiego w poezji polskiej“, Ryniewicz A. „Nowe objaśnienie tytułu Anhellego“, Zawadzki S. „O nieznanem francuskim tłumaczeniu Anhellego“, Turowski St. „Gieneza narodu w Lilli Wenedzie“, German Juljusz „Projekt uzupełnienia Złotej Czaszki“, Hahn W. „Tłumaczenie niemieckie „Genezis z Ducha“, Mączewski P. „Wernyhora“, Hahn W. „W sprawie kartki z autografu „Króla Ducha“, Klejner J. „Zborowski jako „Kefaloforos“, Dąbrowski T. „Wąż satarnowy“, Grabowski T. „Słowacki o piśmiennictwach słowiańskich“, Chybiński A. „J. Słowacki w muzyce polskiej“, Méyet L. „Szczałki korespondencji J. Słowackiego“, Gubrynowicz B. „Z nieznanych rękopisów po Słowackim“, Treter M. „Pamiętki po Słowackim w Muzeum im. XX. Lubomirskich we Lwowie“ (z 15 tablicami), Kozicki Wł. „Sceniczna przyszłość dramatów Słowackiego“. III. Materjały. Wasylewski St. „Zapomniany wiersz Słowackiego“, Pawlikowski M.

„Czwarty autograf „Genezis z Ducha“. Nadto rocznik zawiera bogaty dział recenzji i sprawozdań, dotyczących prac o J. Słowackim, bibliografię o J. Słowackim za r. 1909, zestawioną przez dr. W. Hahna i piętnaście ilustracji, dołączonych na osobnych tablicach, a przedstawiających portrety J. Słowackiego, jego rodziców i rysunki jego z podróży na Wschód.

Tow. Literackie im. Mickiewicza poświęciło ten bogaty w treść rocznik Juljusowi Słowackiemu w setną rocznicę urodzin.

**Biblioteka Warszawska.** Marcowy zeszyt „Biblioteki Warszawskiej“ zawiera ciąg dalszy zajmującej powieści Kazimierza Zdzichowskiego p. t. „Opoka“, rozprawę historyczną J. Iwaszkiewicza „Napoleon w Wilnie“, studjum J. Kallenbacha „Lata uniwersyteckie Mickiewicza“, H. Mościckiego „Młodzież litewska i Dekabryści“, J. Tennera „O pierwiastkach muzycznych w poezji Słowackiego“, K. Ostrowskiego „Sztuka we Francji“, G. Smólskiego „O polskiem czasopiśmiennictwie najstarszej doby“, W. Szyszły „Wrażenia z podróży na wyspy Hawaiki“, obfity dział sprawozdań, kronikę miesięczną, wiadomości naukowe, literackie i bibliograficzne.

**Przegląd Narodowy.** Najnowszy zeszyt „Przeglądu Narodowego“ przynosi czytelnikom rozprawy: S. Kozickiego „Polska a sprawa Wschodnia“, Lenkasa „Stronnictwa litewskie w r. 1905 i stosunek ich do Polaków“, Aleks. Kraushara „Życie potoczne Warszawy w czasach listopadowych“, Z. Wasilewskiego „Między poezją a czynem“, J. Siemińskiego „Historyczne dramaty Nowaczyńskiego“, A. Sadzewicza „Przegląd spraw polskich“, B. Wasiatyńskiego „Przegląd polityki zagranicznej“, Dział „Z pracy“ i bibliografię.

**Ateneum Kapłańskie.** Spis rzeczy, zawartych w zeszycie lutowym: „Charakterystyka współczesnej filozofji“ p. ks. F. Klimka, „Bracia Chrystusa Pana“ p. ks. J. Archutowskiego, „W sprawie aposażenia duchowieństwa parafjalnego w Królestwie Polskiem“ p. ks. Dr. Lasockiego, „Poezja biblijna w życiu religijnem i społecznem narodu izraelskiego“ p. ks. J. Kruszyńskiego. Oprócz tych rozpraw zeszyt obejmuje działy: „Prawo i liturgia“, „Sprawy religijne“, „Przegląd naukowy“, „Ruch społeczny“, „Recenzje i krytyki“, „Notatki bibliograficzne“, Bibliografja i Odpowiedzi od Redakcji w dodatku.

**Prąd.** Zeszyt marcowy miesięcznika „Prąd“ zawiera: „My a niekatolicy“ T. Błażejewicza, „Kilka uwag o pracy społecznej kobiet“ N. Smolińskiego, „Solidaryzm—zasady i krytyka teorii“ M. Pachuckiego, Korespondencje z Lowanium i z Innsbrucka, sprawozdania i krytyki, notatki bibliograficzne, bogatą kronikę. W „dziale młodzieży“ znajdujemy utwory młodych autorów, świadczące pochlebnie o ich aspiracjach literackich.

**Kultura Polska.** W zeszytach marcowym i kwietniowym tego taniego a doskonale redagowanego wydawnictwa — w artykułach wstępnych („Kultura ludu“ i „Solidarność czynników kultury“), w feljetonach p. t. „Pokłosie“, w artykułach okolicznościowych („Służba folwarczna“, „Strejk szkolny na Śląsku“, „Teatr włościański w Warszawie“, „Obrona Polaków w Cieszyńskim“ i inne), Redakcja występuje energicznie przeciwko uciskowi narodowemu, ekonomicznemu i umysłowemu ludu naszego. Pani Marja Grossek pomieściła w tych dwa zeszytach dłuższy artykuł o „Panu Balcerze w Brazylii“ Konopnickiej.

**Książka.** W zeszycie marcowym zamieszcza Redakcja na wstępie artykuł A. Drogoszewskiego p. t. „Pięćdziesięciolecie Tygodnika Ilustrowanego“. W dziale sprawozdań znajdujemy trzydzieści kilka ocen nowych książek, nadto obfity dział bibliograficzny i przegląd czasopism.

**Życie.** Miesięcznik ilustrowany, poświęcony literaturze i sztuce plastycznej. Wychodzi w Krakowie pod redakcją W. Feldmana. Treść zeszytu III: Józef Ruffier „Syn słońca“ poezje. St. Lack „O malarskich dziełach Wyspiańskiego“, Al. Naworski „Mgła. Miasto“, poezje, J. Giżycka „Kobieta“ nowela, Roman Zrębowicz „O stylu Cyprjana Norwida“, Jan Dąbrowski „Nowe poezje“. Obfity przegląd spraw bieżących, sprawozdania i dodatki artystyczne, przedstawiające „Skarby Sezama“, „Wawel“, „Polonję“ St. Wyspiańskiego.

**Widnokreśli.** Dwutygodnik, poświęcony kulturze polskiej; wychodzi we Lwowie pod redakcją M. Olszewskiego. Zeszyty I i II zawierają prace: prof. Twardowskiego „Jak studjować filozofję“, Dr. Chybińskiego „Chopin i muzyka polska“, K. Irzykowskiego „Kamerton śmierci“, wyjątek z dramatu, T. Dąbrowskiego „Literackie schematy“.

C. Jellenty „Przełom w literaturze śmierci“, L. Biegeleisena „Dwie wartości życia zbiorowego“. Przeglądy: społeczny, muzyczny, teatralny, sztuk plastycznych.

**Myśli Niepodległej** № 131 przynosi ciekawy artykuł wstępny pióra redaktora p. t. „Co to jest Szulhan-Aruch“; powinni zapoznać się z nim wszyscy, interesujący się bliżej tak często poruszaną dziś na łamach pism i na zebraniach dyskusyjnych kwestją żydowską.

**Wolne Słowo.** Treść numerów 78 i 79: Utwory L. Belmonta: „Kapitalizm a życie współczesne w oświeceniu Sombarta“, „Marja Konopnicka jako psycholog“, „Wczasy historyczne S. Askenazego w rymach“, „Polski żyd XVIII stulecia“, „Przeproszenie“, „Zaproszenie Jankiela przez Zosię w interpretacji Wiktora Hugo“ (znakomita karykatura artystyczna). Wacław Nalkowski i Eug. Sokołowski o „Sprawie przy drzwiach zamkniętych“. W dodatkach: „Ciotka Stelka“ nowelka. „Małżeństwo i prostytutka“ — odczyt.

## KSIĄŻKI NADESŁANE.

### Powieści i nowele.

Bezimienny „Pieśń uwodziciela“. Powieść. Str. 199. Tom XXXIII „Nowości Literackich“. Wydanie St. Sadowskiego. Warszawa, 1910.

Aleksander Dumas (ojciec) „Karol Szalony“. Powieść historyczna. Tom I z ilustracjami. Str. 191, Nr. 3 „Ciekawych powieści“. Warszawa, Gebethner i Wolff. 1910.

Mychajło Jackiw „Wieczne psoty. Dziewczyna na czarnym rumaku i inne opowiadania“. Z ukraińskiego przetłumaczył Sydir Twerdochlib. Str. 131. Tom 630 „Biblioteki Dzieł Wyborowych“. Warszawa, 1910.

A. Kallas „On i oni wszyscy“. Powieść. Str. 221. Warszawa, E. Wende i Sp. 1910.

Wacław Sieroszewski „Małżeństwo. Być albo nie być. Tula-  
cze“. Wydanie drugie. Str. 348. „Książka“. Kraków. Warszawa, G.  
Centnerszwer i Sp. 1910.

W. Tan „Ofiary smoka“. Romans z życia pierwotnego ludzko-  
ści. Tłomaczyła i przedmową opatrzyła Savitri. Część I str. 140,  
cz. II str. 107. T. 632 i 633 „Bibl. Dzieł Wyborowych. 1910.

#### Poezja.

Czesław Łukaszewicz „O Jasiu i Marysi“ Str. 66. Lwów, B.  
Poloniecki. Warszawa, E. Wende i Sp. 1910.

Bronisława Ostrowska „Chusty oliarne“. Str. 102. Nakład  
Jakuba Mortkowicza. Warszawa. 1910.

#### Dramat.

Bolesławicz „Intermedja ucieszne“. Biblioteka Teatrów Wło-  
ściańskich Nr. 7. Lwów, 1909. Nakładem Związku teatrów i chórów  
włościańskich. Cena 1 kor. (Pod powyższym tytułem ukazało się  
sześć krótkich utworów scenicznych, wzorowanych na intermedjach  
XVI i XVII w. Wydawnictwo to, nadające się nie tylko dla teatrów,  
włościańskich, lecz również amatorskich-wiejskich, nabywać można  
w Związku teatrów i chórów włościańskich we Lwowie, ul. Ossoliń-  
skich l. 10).

Antoni Waśkowski „Sąd“. Tragedja. Str. 24. Kraków, 1909.

#### Studja literackie.

Tadeusz Grabowski „Juljusz Słowacki. Jego żywot i dzieła na  
tle współczesnej epoki“. Tom pierwszy. Str. 323. Kraków. Skład gł.  
w księg. Gebethnera i Spółki, 1909.

#### Studja filozoficzne.

Wincenty Lutosławski „Początki filozofji greckiej od Thalesa  
do Demokryta i Sokratesa“. Wydanie drugie, odbite z wykładów Ja-  
giellońskich. Str. 253. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1910. Cena  
w oprawie rb. 1 kop. 20.



### Studja historyczne.

Ernest Łuniński „Wspominki. Z dni historycznych kart kilka“. Z ilustracjami. Str. 367.

(Tragikomedja ucieczki Walezego. Ostatnie chwile Jana III. Przymierze prusko-polskie i konstytucja majowa w oświeceniu dyplomacji francuskiej. Czyn kapitana Brzozowskiego pod Raclawicami. Misja de Caché'go. Wśród ucieczki. Pani Récamier. Spisek Smagłowskiego a księżę Reichstadtu. Pośrednictwo austrijackie w powstaniu listopadowem. Zamach na Rzeczpospolitą Krakowską. Benedek. Załączniki). Warszawa, E. Wende i Sp. 1910.

### Publicystyka.

Wojciech hr. Dzieduszycki „Dokąd nam iść wypada?“ Str. 389. (Trzy pokolenia. Życie i zgon społeczeństw. Hasła doby dzisiejszej. Stan świata obecny. Przewidywanie przyszłości. Wyniki i wskazówki). Nakład F. Westa w Brodach. Warszawa, E. Wende i Sp. 1910.

W. Lutosławski „Ludzkość odrodzona“. Wizje przyszłości. Str. 276. Kraków, G. Gebethner i Sp. Warszawa, Gebethner i Wolff. 1910.

### Monografie.

Mieczysław Jarosz „Śląsk Cieszyński“. Str. 172. Lwów, H. Altenberg, Kraków, „Książka“, Warszawa, G. Centnerszwer i Sp. 1910.

### Symposion.

J. W. Goethe „Wybór myśli prozą“. Zebrał i przełożył Stefan Frycz. Z rozprawą R. W. Emersona. Str. 182. Lwów, B. Polonicki. Warszawa, E. Wende i Sp. 1910.

### Podróże.

Stanisław Belza „Obrazy i obrazki Wenecji“. Cz. II. Str. 139. Nakład „Ziarna“. Warszawa. 1910.

Kornel Makuszyński „W kalejdoskopie“ (I. Z Włóczęgi. II. Liście z Paryża. III. Wśród żywych i umarłych. IV. Z teatru Ibsena).

Str. 324. Lwów, Towarzystwo Wydawnicze. Warszawa, E. Wende i Sp. 1910.

**Varia.**

Katalog informacyjny dzieł naukowych biblioteki kolejowej przy dr. żel. Warsz. Wied., opracowany przez Marię Gomólińską. Tom I. Książki naukowe treści matematyczno-przyrodniczej. Skład główny w lokalu Biblioteki, Chmielna 71. Warszawa. 1910.

Eugieńjusz Sokołowski „Mór Dzieci“. Dochód z wydawnictwa przeznaczony na rzecz Szpitala Dziecinnego w Lublinie. Str. 31. Cena kop. 30. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1910.

**ODPOWIEDZI REDAKCJI.**

**Pytającym.** Wyróżnione przez sąd konkursowy winiety ukażą się w zeszytcie majowym. Nagrody przyznane zostaną na zasadzie głosowania Czytelników *Sfinksa*.



Wydawnictwo GEBETHNERA i WOLFFA w Warszawie.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI.

## UTOPIJE W ROZWOJU HISTORYCZNYM.

Kwestję przyszłego ustroju społecznego, tak roznamiętniającą umysły i wyobraźnię, dzieło to przedstawia w jej rozwoju historycznym w szeregu świetnych studjów o znamienitych utopistach od Platona do Bellamyego, pisanych w sposób naukowy i obiektywny, bez uprzedzenia i bez bałwochwalstwa.

Cena rb. 2. Z przes. poczt. rb. 2 kop. 30 za zalicz. poczt. rb. 2 kop. 40.

WINCENTY LUTOSŁAWSKI.

## Ludzkość odrodzona. Wizje przyszłości.

W opr. płóc. rb. 1 kop. 60, z przes. rb. 1 kop. 85, za zalicz. rb. 1 kop. 95.

Autor w ciekawem tem dziele ukazuje prawdopodobny obraz stosunków ludzkich w niezbyt dalekiej przyszłości, po gwałtownych wojnach między zaborczemi państwami, a koalicją narodów, pragnących uznania praw narodowości i przekształcenia wewnętrznego ustroju państw. Przedstawia nieuchronne w przyszłości zniweczenie potęgi Prus, odrodzenie Francji i początek ery słowiańskiej, w której narodowi naszemu dane będzie spełnić wielkie powołanie, dalej mówi o losach Żydów. Najobszerniej traktuje o przemianie, jaka nastąpi w stosunkach handlowych i przemysłowych; autor, wbrew większości socjologów i ekonomistów przewiduje, że przemiana ta oparta będzie na zasadzie decentralizacji. Daje też oryginalny, wielce pomysłowy obraz środków komunikacji przyszłości oraz obraz ogromnych robót międzynarodowych, prowadzących do zrównoważenia klimatu na ziemi. Dzieło to jest owocem fantazji wielce bogatej i rzetelnie oryginalnej, niewątpliwie przeto zdobędzie rzesze czytelników i wywoła silne poruszenie opinji publicznej.

**DUCHY** A. Świętochowskiego. Tom pierwszy (w drugim wydaniu) zawiera części: I Alrun, II Moronowie, III Zwiastun, — rb. 1 kop. 50, tom drugi (w pierwszym wydaniu): IV Koniec świata, V Pogrom, VI Barza. — rb. 2.

### UTWORY DRAMATYCZNE JADWIGI MARCINOWSKIEJ

„Wyśniony dramat“, cena rb. 1 kop. 35.  
„Piastowie“ . . . . . „ „ 1 „ 35.  
„Kościaszko“ . . . . . „ „ 2.

### PRAWDA

NAJSTARSZY POSTĘPOWY TYGODNIK POLSKI,  
wychodzi 28 lat w Warszawie

przy stałym współdziałaniu:

Aleksandra Świętochowskiego i Aleksandra Lednickiego.

W dodatku książkowym wychodzi w tym roku  
dzieło prof. Ignacego Radlińskiego

p. t. JEZUS, PAWEŁ i SPINOZA.

Nowi prenumeratorowie dodatki za ubiegłe kwartały otrzymać mogą po połowie ceny, czyli po 20 kop. za 6 arkuszy dodatku.

Prenumerata roczna w Warszawie 8 rb., w Cesarstwie, na prowincji i za granicą rb. 10.

Redakcja „SFINKSA“ poleca świeżo wydane:

IGNACEGO MATUSZEWSKIEGO

„KRÓL - DUCH“ czy „KRÓLOWIE - DUCHY“? Kop. 50.

CYPRJANA NORWIDA

„ODCZYTY o J. SŁOWACKIM“ (2 portrety). Kop. 60.

WŁ. BUKOWIŃSKIEGO:

„POETA MELODJI i GŁĘBIN i POETKA IDEI“ (Asnyk i Konopnicka). Kop. 75.

WŁ. BUKOWIŃSKIEGO:

„ECHA“, poemat. Kop. 80.

Dla Prenumeratorów SFINKSA 25% ustępstwa.

Z powodu znacznego napływu prenumeratorów

# „D Z I E Ń“

NA ROK 1910

## OBNIŻYŁ CENĘ PRZEDPŁATY

stając się odtąd jednym

z najtańszych pism polskich.

**DZIEŃ** nie zmienia formatu i układu treści, wprowadza natomiast nowe działy i **bezpłatnie** dołączać będzie miesięczny dodatek, odzwierciedlający

**Życie kolonji polskich na obczyźnie.**

Każdy wybitniejszy wypadek, jaki się zdarzy w Polsce czy zagranicą,

**natychmiast ilustrujemy.**

---

Żywotność, sprawność, ruchliwość, interesująca treść, podawana w formie przystępnej — oto zasada redakcyjna „**DNIA**“.

---

Ideowo „**DZIEŃ**“ jest pismem niezależnym od żadnej partji, dlatego zdanie wypowiada **śmiało i bezstronnie**. Broni interesów narodowych polskich, staje na szerokim gruncie demokratycznym.

**Zwalcza Niemców i nacjonalistów żydowskich,**

pragnąc, aby na ziemi naszej nie Żyd i nie Niemiec, lecz Polak był gospodarzem.

Wiadomości handlowe i zbożowe z pierwszorzędných źródeł.

Liczne korespondencje z prowincji, Litwy, Rusi i z kolonji polskich.

Przy redakcji „**DNIA**“ bezpłatne Biuro porad prawnych i higienicznych.

Nie wyłączając dni poświęconych, „**DZIEŃ**“ wychodzi o godzinie 6-cj rano.

### WARUNKI PRENUMERATY ZNIŻONEJ NA ROK 1910:

**Na prowincji i w Cesarstwie** wraz z pocztą: Rocznie rb. 9, półrocznie rb. 4 kop. 50, kwartalnie rb. 2 kop. 25, miesięcznie kop. 75.

**W Warszawie:** Rocznie rb. 6 kop. 60, półrocznie rb. 3 kop. 30, kwartalnie rb. 1 kop. 65, miesięcznie kop. 55; za odnośnienie do domu kop. 5 miesięcznie.

**Zagranicą:** Rocznie rb. 14, półrocznie rb. 7, kwartalnie rb. 3 kop. 50, miesięcznie rb. 1 kop. 20

---

Nagrodzona wielkim medalem brązowym na Wystawie Przemysłowo-rolniczej w Częstochowie

## Hodowla róż w Strzałkowie

st. p. i tel. Stopnica, gub. Kielecka

poleca róże krzaczaste w najpiękniejszych odmianach.

**Ceny niskie. — Towar wyborowy. — Wysyłka pocztą.**

Cenniki na żądanie.

# S F I N K S,

MIESIĘCZNIK LITERACKO - ARTYSTYCZNY I NAUKOWY

pod redakcją

**Władysława Bukowińskiego,**

przy najbliższym współudziale

**Ign. Chrzanowskiego i Ign. Matuszewskiego**

i przy współpracownictwie najwybitniejszych polskich sił  
pisarskich i artystycznych.

„SFINKS“ zamieszcza: studja, rozprawy i szkice literackie,  
artystyczne i naukowe; powieści, poematy, dramaty  
i wiersze drobniejsze; przeglądy i sprawozdania literackie  
i artystyczne; sylwetki pisarzy i artystów polskich  
i obcych; reprodukcje artystyczne dzieł sztuki, rysunki  
i winiety artystów wybitnych.

„SFINKS“ stara się być możliwie obiektywnym wyrazem  
i odbiciem współczesnej fali twórczego życia polskiego  
z różnemi jej odcieniami i zabarwieniami.

Każdy zeszyt „SFINKSA“ zawiera około 10 arkuszy druku  
(160 str.) wyborowej treści literackiej, podanej w wy-  
twornej szacie zewnętrznej, przyozdobionej i urozmai-  
conej reprodukcjami dzieł sztuki.

**Prenumerata** „SFINKSA“ wynosi rb. 8 rocznie, rb. 4 półrocznie  
i rb. 2 kwartalnie w Warszawie, a rb. 9 rocznie, rb. 4 kop. 50  
półrocznie i rb. 2 kop. 50 kwartalnie z przesyłką pocztową w Kró-  
lestwie i Cesarstwie za wydanie tańsze, oraz rb. 10 rocznie i rb.  
5 półrocznie w Warszawie, a rb. 12 rocznie i rb. 6 półrocznie  
pocztą za wydanie wykwinne na wytwornym papierze żeberko-  
wym większego formatu.

**Prenumerata** „SFINKSA“ zagranicą wynosi (z przesyłką rekomendo-  
waną) rb. 11 rocznie za wydanie tańsze i rb. 13 za droższe  
w tym samym stosunku półrocznie i kwartalnie.

**Cena ogłoszeń** w „SFINKSIE“ za jednoszpaltowy wiersz petitowy lub  
jego miejsce:

- 1) na I-ej str. kolorowej okładki, na III-ej str. okładki białej i w ru-  
bryce „nadesłane“ zaraz po tekście, kop. 50;
- 2) na ostatniej stronie kolorowej okładki, kop. 30;
- 3) w rubryce „po tekście“, na dodanych specjalnie kolumnach bar-  
wnych, kop. 20;
- 4) pierwszy boczny margines obwolaty (obok spisu rzeczy) rb. 12.
- 5) drugi boczny margines obwolaty, rb. 8.

**Rękopisów otrzymanych Redakcja nie odsyła, listów i przesyłek nie-  
dostatecznie opłaconych nie przyjmuje, odpowiada listownie po otrzy-  
maniu marki na odpowiedź.**

Administracja „SFINKSA“, przy ul. Hortensja Nr. 4, tel. 110-99 w War-  
szawie, otwarta jest codziennie, oprócz niedziel i świąt, od godz.  
10 do 2<sup>1/2</sup> i od 4<sup>1/2</sup> do 6.

Redaktor przyjmuje Interesantów w poniedziałki i soboty od godz.  
6-ej do 7-ej wieczorem.

---

Redaktor i Wydawca: **WŁADYSŁAW BUKOWIŃSKI.**

Druk A. Pęczalskiego i K. Marszałkowskiego, Erywańska Nr. 2-4.

Śmiech zakolebał olbrzymy z granitów,  
Jakby w pieczarach piekło się rozwrzało.  
Wichr skłębził wszystko. Światło gromów zgasło  
Mrok w mgle zatopił jasny majak szczytów.  
Żywioty w gniewie wszechbarwami grały  
Nad śmiałkiem, ległym w rozpadlinach skały...

Kiedy dłoń czasu na srebrzystym sznurze  
Miesiąca nocy nawlekła czterdzieści,  
Cisza zwiastunką była świętej wieści —  
Złowrogi piorun nie chował się w chmurze,  
Świat zjawisk żadnej nie ukrywał zdrady —  
Gdy „Poznający“ z gór zstępował błady.

Lica, mądrości owiane zachwytem,  
Błogostawiły blaskiem kwiatek lichy,  
Co w dłoń mu wtulał lek swych płatków cichy...  
Kwiat miał dla świata nowym stać się bytem,  
Bo z nasion jego owoc się rozplenia  
Czarownej mocy: „uniknąć cierpienia“.

„Próżna, zaiste, walka i zmagania:  
Ból w każdym ruchu pomnaża się, rośnie —  
I każdą chęcią smaga bezlitośnie,  
I każdą żądzą otehłań swą odstania.  
Pragnienie mąci źródło sere człowiecze,  
Kradnie im spokój i w przepaście wlecze...

Tam cię poznałem, o treści żywota,  
Poznałem Prawdę! Bądź błogostawiona,  
Żeś mię w Nirwany chwyciła ramiona  
I otworzyła mi nicości wrota! —  
Że wola moja została mi poto,  
By z mych pożądań walczyła ciemnotą.

Patrzcie — jak jasno! Każda gwiazda śpiewa,  
Liść na gałęziach snem wiosennym dyszy,  
Rzeka spokojem błyska w wiklin niszy,  
A tąka w szafir zieleń przyodziewa —  
I serce ciche niczego nie pragnie,  
Co się ku niemu z ochotą nie nagnie.

Uśnij, człowieku, dla mąk, cierpień, znoju! —  
Duszę twą z ciała ślij precz na rozdroże,  
Gdzie cichych istnień mileżące śni morze,  
Których wzrok słońca nie płoszy spokoju!  
Ten siew na ziemi rozrzucam przestrzenie —  
On w *wyrzeczeniu* da ci *wyzwolenie!*...

Gdy się oddalił smutny prorok życia,  
Z którego każdą chęć żywą wygnano —  
Lucyfer z twarzą, szydem roześmianą,  
Wyjrzał ku gwiazdom ze swego ukrycia.  
Za odchodzącym kierując źrenice,  
Przeżuwał w sobie straszną tajemnicę:

„Smętny wędrowcze po drogach poznania,  
W którym współzucie męka ziemi budzi, —  
Zasiewaj prawdę swoją w duszach ludzi —  
Prawdę mojego z nich naigrawania.  
Jam cię oszukał spokojem, człowiecze! —  
Nikt Jej nie pozna—kto się Jej wyrzecz“!